

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 3/197

1964



• « La Culture » • Revue mensuelle •

Zb. BRZEZIŃSKI I S. P. HUNTINGTON :
CINCINNATUS I APARATCZIK

J. MIEROSZEWSKI :
POLSKA - ROSJA - CHINY

W. A. ZBYSZEWSKI :
NIEMIECKI "WIRTSCHAFTSWUNDER"

SPIS RZECZY

Zbigniew Brzeziński i Samuel P. Huntington:	<i>Cincinnatus i aparatczik (I)</i>	3
Paweł Hostowiec:	<i>Notatnik nieśpiesznego przechodnia</i>	15
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Wenecja ocalona</i>	25

WIERSZE

Kazimierz Wierzyński:	<i>Przebity światłem</i>	38
" "	<i>Koncert</i>	38
Czesław Miłosz:	<i>Dwa wiersze</i>	39

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Polska — Rosja — Chiny</i>	41
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	50

SĄSIEDZI

Bórys Lewickij:	<i>Prądy postępowe w Rosji</i>	59
S.W. Kozłowski:	<i>Przegląd niemiecki</i>	68

KRAJ

—	<i>Pęknięcia i polski klej</i>	73
---	------------------------------------------	----

SPRAWY I TROSKI

(m. l. d.):	<i>W oczach Londynu</i>	81
Danuta Irena Bienkowska:	<i>Jacek o sobie, o Polsce i wielu in- nych rzeczach</i>	86

SPRAWY GOSPODARCZE

W.A. Zbyszewski:	<i>Niemiecki „Wirtschaftswunder”</i>	89
------------------	------------------------------------------------	----

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

B. Marek Nadolczak:	<i>Jeszcze o płk. Hańczy</i>	113
Jan Walewski:	<i>Omyłka Wincentego Witosa</i>	115
—	<i>Konkurs na esej o Powstaniu War- szawskim</i>	120

KRONIKA KULTURALNA

Jan Brzękowski:	<i>Dadaizm i dadaści</i>	121
Czesław Dobek:	<i>Wieczór Zofii Romanowiczowej</i>	128
—	<i>Komunikaty</i>	130

KSIĄŻKI

Czesław Miłosz:	<i>Długi bieg</i>	132
Michał Borwicz:	<i>„Kierunek myśli Ruchu Oporu”</i>	138
Stanisław Bóbr-Tylingo:	<i>Marksiistowskie dzieje Polski</i>	141
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	147



Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	148
--------------	--------------------------------	-----



A. Czerniawski, W. Gombrowicz, C. C.-de-B. Jędrzejewiczowa, M. Kukiel, List z kraju, J. Mond, I.C. Pogonowski, T. Sołowij, J. Stosius, Z. Szpikowski, J. Ulatowski:	<i>Listy do Redakcji</i>	
------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------	--------------------------	--

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Marzec - Mars

1964

INSTYTUT



LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ KULTURY

Bezimiennie, Milwaukee, Wis. (USA)	14,70 F
W. Kasznica, Newark, N.J. (USA) po raz drugi	12,00 „
Jerzy Dobrzański, Toronto, Ont. (Kanada)	31,50 „
Bogusław Wądołkowski, Lyndhurst, N.J. (USA) po raz czwarty	25,30 „
Wilhelmina Skroczyńska jako prezent gwiazdkowy, po raz trzeci	25,30 „
L. Demby, (W. Brytania) po raz piąty	15,00 „
E. Baczymalski (W. Brytania) po raz trzeci	13,50 „
Zdzisław Szczerbiński, Lizbona (Portugalia)	15,00 „
Aleksander Grzonka, Gossau (Szwajcaria) po raz szósty	5,00 „
Inż. Zbigniew Szpikowski, Toronto, Ont. (Kanada) po raz czwarty	46,20 „
Nina Sereda, Montreal, Que. (Kanada) po raz trzynasty	45,00 „
Janina Surynt-Waroczewska, Toronto, Ont. (Kanada) po raz drugi	27,00 „
M. Turski, Toronto, Ont. (Kanada) po raz czwarty	31,50 „
Jerzy Gintel, Caracas (Wenezuela) po raz czwarty	25,30 „
Kazimierz Zdziarski, Caracas (Wenezuela) po raz czwarty	25,30 „
L. H. (Australia) po raz drugi	55,60 „
Roman Królikowski, Johannesburg (Afr. Poł.)	20,00 „

DZIĘKUJEMY

W KWIETNIOWYM NUMERZE "KULTURY"
UKAŻE SIĘ NOWE, SENSACYJNE
OPOWIADANIE PISARZA SOWIECKIEGO
N. ARŻAKA pt. :

ODKUPIENIE

KTÓRE - TAK JAK POPRZEDNIE TEKSTY -
OTRZYMALIŚMY OSTATNIO Z ZSSR

Cincinnatus i aparatczik (I)

I. Przywództwo polityczne w społeczeństwie współczesnym

Kto kawo? — pytał Lenin. — „Kto rządzi?” — wtóruje mu współczesny amerykański uczonek nauk politycznych. Jest to wszak zagadnienie o odwiecznym znaczeniu. Ci o których pytamy, ci rządzący, posiadają zdolności oddziaływania na zachowanie się innych. Są to *przywódcy polityczni*, rządzący zazwyczaj poprzez publiczne i rządowe zespoły, oraz *przywódcy nie-polityczni*, którzy mogą rządzić za pomocą tego rodzaju środków jak bogactwo, dochód, doświadczenie. Przywódcy obu tych kategorii tworzą *elitę* i kierują masami wielokrotnie od niej liczniejszymi.

We współczesnych społeczeństwach przemysłowych przywództwo polityczne różni się wybitnie od tegoż w dawnych społeczeństwach rolniczych, kiedy to polityczne i nie-polityczne przywództwo znajdowało się w zasadzie w tych samych rękach. Cechą odróżniającą jest tam istnienie z jednej strony elity, albo rządzącej grupy czy arystokracji, a z drugiej — masy ludności. Polityczni przywódcy są w tych społeczeństwach jednocześnie kierownikami ich życia gospodarczego, kulturalnego i religijnego. Oczywiście niektórzy z nich mogą być czynni przez większą część życia w polityce, inni znów w sprawach kościelnych, ale wszyscy wywodzą się z tej samej, stosunkowo ograniczonej klasy społecznej i często sprawują kierownicze funkcje na kilku naraz polach życia publicznego. Dystans pomiędzy elitą a masą jest wielki. Niewielu członkom klas niższych udaje się przedostać do elity. Podział pomiędzy nimi jest z reguły dziedziczny. Liczna niższa klasa ludności nie posiada ani bogactwa i znaczenia, ani wykształcenia i kultury, ani praw i władzy, a w wielu wypadkach nawet wolności. Elita natomiast posiada to wszystko. Jest to system według określenia prof. Dahla „skupionych nierówności” (1).

1) Robert A. Dahl. *Who Governs? Democracy and Power in an American City* (New Haven, 1961), 1-8, 84-85.

Ten rodzaj ustroju społecznego występuje w różnych formach w społeczeństwach rolniczych, gdzie własność ziemską jest skupiona w nielicznych rękach, i przeważał w zachodniej Europie do XIX wieku, a w Rosji do roku 1917. Dotąd jest ustrojem wielu krajów Ameryki południowej i Środkowego Wschodu. W Stanach Zjednoczonych istniał, choć w nieco łagodniejszej formie, mniej więcej do roku 1820. Głównym politycznym skutkiem uprzemysłowienia jest zróżniczkowanie dawnej rządzącej warstwy. System „skupionych nierówności” zostaje wówczas zastąpiony przez system „rozproszonych nierówności”, który daje początek nowym formom bogactwa i władzy, a często tworzy nowe złożone społeczeństwo o bardzo różnorodnych funkcjach i wysoce rozwiniętym podziale pracy. Funkcje i instytucje różnego rodzaju kierownictwa — wojskowego, oświatowego, gospodarczego, religijnego i politycznego — specjalizują się. Powstają armie masowe, dowodzone przez zawodowy korpus oficerski. Z rządowej lub prywatnej inicjatywy powstają specjalne instytucje gospodarcze — spółki lub trusty — które ze swej strony tworzą nową klasę przemysłowych menadżerów. Mnoży się i różniczkuje naukowa i techniczna wiedza, pociągając za sobą pojawienie się mnóstwa różnych ekspertów. Szanse jednostki stania się mężem opatrnościowym pomniejszają się tak samo jak słabną szanse jednej klasy do zmonopolizowania w swoich rękach kierowniczych pozycji w społeczeństwie.

Spółeczeństwa mało rozwinięte nie potrzebują skomplikowanych i bardzo zróżniczkowanych instytucji kierowniczych. Natomiast złożona organizacja społeczna już mieści w sobie wielu specjalistów, dużo grup i funkcjonalnych wzorców. Stąd powstaje potrzeba jeszcze jednego typu kierownictwa, który by koordynował i łączył w całość te różne czynności. Na tym właśnie polega rola politycznego przywódcy. Aby ją wykonać musi on mieć pewien stopień władzy nad innymi członkami społeczeństwa. Dlatego, w odróżnieniu od innych, przywódca polityczny ma formalnie nadane sobie prawo wykonywania określonej władzy i w ten sposób staje się rzeczywistym kierownikiem współczesnego państwa. Jego uprawnienia można przyrównać do tych, które posiada liniowy oficer w armii lub zarząd spółki, czy dziekan wydziału uniwersyteckiego. Nadając ogólny kierunek, przywódca polityczny musi dbać o ustalenie swego stosunku z kierownikami poszczególnych gałęzi życia społeczeństwa. W dawnym społeczeństwie rolniczym polityczne i nie-polityczne funkcje kierownicze znajdowały się w rękach tych samych osób. We współczesnym, złożonym społeczeństwie, problem stosunku politycznych przywódców do nie-politycznych, stał się równie ważny jak problem stosunku pomiędzy przywódcami a masami ludności.

W społeczeństwach współczesnych przywództwo polityczne osiąga się przez własne czyny, przez własne dzieła. Ale nasuwa się tu pytanie: jakiego rodzaju czyny? Kto są właściwie ci polityczni przywódcy i skąd oni przychodzą? W znacznym stopniu rekrutują się oni z warstwy zawodowych polityków, tzn. ludzi

usiłujących zrobić polityczną karierę. Rozrost i zróżniczkowanie społeczeństwa sprzyja powstaniu instytucji politycznych i pojawieniu się polityków zawodowych. Biurokracja państwowa rozrasta się i usprawnia. Rządy i parlamenty rozbudowują się i określają ściślej swoje odrębne uprawnienia. I — co najważniejsze — partie polityczne stają się kluczowymi instytucjami reprezentującymi i całkującymi współzawodniczące interesy, oraz rekrutującymi politycznych przywódców. Partie polityczne w znaczeniu grup i facji istnieją tak długo jak sięga historia, ale partie polityczne w znaczeniu zorganizowanych instytucji pojawiły się dopiero w końcu XVIII wieku. Wyraźna warstwa polityków zawodowych wyrosła w społeczeństwach zachodnich dopiero w ciągu XIX stulecia. Dopiero w wieku XIX polityka stała się, według określenia Webera, powołaniem. Zawodowy polityk działa w ramach systemu partyjnego; za jego pomocą osiąga pozycję kierowniczą w polityce państwowej.

Charakter kierownictwa politycznego jest kształtowany przez historię, ideologię i kulturę danego społeczeństwa. W szczególności dotyczy to stopnia udziału w kierownictwie politycznym osób spoza warstwy polityków zawodowych. W państwie współczesnym politycy zawodowi nie koniecznie stają się politycznymi przywódcami, a polityczni przywódcy nie koniecznie są politykami zawodowymi. Każde społeczeństwo ma swój własny model. Przy tym, wprawdzie każde społeczeństwo współczesne posiada dającą się odróżnić grupę polityków zawodowych, jednakże cechy i zdolności poszczególnych grup w tym samym kraju różnią się ze sobą znacznie. Grupy te są však cząstkowym odbiciem ogólnych cech danego społeczeństwa. Polityk zawodowy jest przeto mniej powszechnym typem, niż większość innych specjalistów w świecie współczesnym. Umiejętności techniczne są powszechne, ale umiejętności społeczne różniczkują się według poszczególnych społeczności. Wiedza fizyka nuklearnego w Związku Sowieckim i w Stanach Zjednoczonych jest taka sama. Przymuszczałnie fizyk z moskiewskiego czy leningradzkiego uniwersytetu poczułby się jak w domu w laboratoriach uniwersytetu Harvard lub Columbia. Również chirurg przeniesiony z moskiewskiego do nowojorskiego szpitala miałby niewiele kłopotu z przystosowaniem się do swego nowego otoczenia i pracy. Menadżer fabryki mechanicznej miałby natomiast więcej z tym trudności, bowiem, mimo że wiedza techniczna byłaby zbliżona, ale środowisko społeczne — bardzo różne. Musiałby uczyć się jak należy pertraktować z samorządowymi związkami zawodowymi i ich przywódcami. Ale polityk zawodowy miałby zapewne największe trudności.

Specjalna wiedza polityka ma wyłącznie charakter społeczny, dotyczy życia zbiorowego. Jest to właściwie część wiedzy o typowych cechach ludzkiego zachowania się w ogóle, a nawet więcej — o szczególnych cechach zachowania się ludzi w poszczególnych społeczeństwach. Polityk zawodowy zajmuje się manipulowaniem i kierowaniem ludźmi. Środki i umiejętności w

tych celach stosowane mogą być w poszczególnych społeczeństwach różne. Zmieniają się one z biegiem czasu w miarę zmian politycznych i społecznych podstawowych warunków bytu danego społeczeństwa.

Polityk, będący w pewnych warunkach i w odniesieniu do pewnych problemów, przywódcą drobnej grupy, może być w innych warunkach, zwłaszcza gdy grupa staje wobec odmiennych zagadnień, tylko zwykłym jej członkiem.

II. Przywódcy, politycy i biurokraci

Rządząca w Stanach Zjednoczonych A.P. klasa starych kolonialistów-federalistów w ciągu XIX wieku podupadła i została zastąpiona przez bardziej zróżnicowaną społeczno-gospodarczą elitę, obejmującą również nowego typu kupców i przemysłowców. Upadkowi dawnej klasy rządzącej towarzyszył rozwój systemu partyjnego, rozszerzenie prawa głosowania, rozmnożenie się urzędów elekcyjnych, oraz pojawienie się zawodowych polityków w amerykańskim stylu. Kariera amerykańskiego polityka, postawionego wobec niezliczonej ilości różnych wybieralnych urzędów — lokalnych, stanowych, ogólnopństwowych, polegała na ustawicznym ubieganiu się o wybór przez coraz to większe ciała wyborcze na obieralne stanowiska z coraz większą odpowiedzialnością. W takiej karierze kluczową decyzją był najczęściej trafny wybór czasu i miejsca — o jakie stanowisko ubiegać się w jakim roku. Amerykański polityk wyborczy różnił się przeto znacznie od swego brytyjskiego kolegi, którego interes wyborczy sprowadzał się do dostania się do Izby Gmin i trwania w niej. Amerykański polityk zawodowy jest politykiem wyborczym, a brytyjski — politykiem parlamentarnym. Terminem „polityk zawodowy” określa się w Ameryce ubiegającego się o urząd wybieralny, bądź tego który już zajmuje ten urząd, bądź wreszcie tego (przewodniczący partii, lub kierownik kampanii wyborczej), którego zadaniem jest przeprowadzenie wyboru innych osób na te stanowiska.

W Rosji klasa rządząca najpierw podupadła, a następnie została obalona przez organizację zawodowych rewolucjonistów. Powstałe w wyniku vacuum polityczne zostało wypełnione przez szybki rozrost aparatu partyjnego oraz przez przekształcenie się leninowskiej organizacji zawodowych rewolucjonistów w stalnowską organizację zawodowych władców. W Stanach Zjednoczonych polityk zawodowy jest wytworem demokratyzacji systemu rządzenia, a w Związku Sowieckim wytworem biurokratyzacji partii. Mimo to sowiecki aparatczik i amerykański polityk wyborczy wykazują jako politycy zawodowi pewne podobieństwa. Każdy z nich może nabyć pewne doświadczenie w dziedzinie szczególnych zagadnień publicznych, ważnych dla jego okręgu wyborczego lub *obłasti*. Ale cechą różniącą każdego

z nich jest to, że wszyscy są działaczami mającymi do czynienia jednocześnie z masą różnych kwestii i nacisków. Są wskutek tego zmuszeni do wzajemnego ich balansowania i rozwiązywania zagadnień najniższym stosunkowo kosztem dla największej liczby zainteresowanych. Ponadto, w obu systemach polityk musi być giętkim w poglądach, względnie łatwo przystosowującym się do innych i nie przesadzającym w wierności. Musi wynagradzać swoich przyjaciół i karać swoich wrogów, ale zarazem musi być świadom, że dzisiejsi przyjaciele mogą stać się jutro wrogami — i vice versa. Powinien umieć przystosować się do bardzo różnych okoliczności i odpowiedzialności. Musi być osobnikiem ruchliwym, oddanym całkowicie zajmowanej w tej chwili pozycji lub instytucji, w której działa, ale, jednocześnie, być zdolnym do przejścia szybko na inną pozycję i w odmiennie warunki — ogólne i organizacyjne. Wyższe instancje partyjne co kilka lat przesuwają obiecującego aparatczika z jednej „obłasti” do drugiej i z jednego rodzaju odpowiedzialności do innej. W Ameryce kapryśność wyborców i różnorodność okazji wyborczych systemu politycznego wymagają od polityka wyborczego również wielkiego stopnia ruchliwości.

Jednakże, poza tymi ogólnymi cechami, aparatczik i polityk wyborczy są raczej odmiennymi typami politycznymi, o różnych obyczajach i stylu życia. Różnią się przede wszystkim co do stopnia politycznej profesjonalizacji i związania się z polityką jako zawodem życiowym. Typowy polityk amerykański jest w gruncie rzeczy tylko zawodowym amatorem i łączy zazwyczaj swoją karierę publiczną z jednoczesną pogonią za karierą prywatną w zawodzie prawniczym, handlowym, oświatowym lub dziennikarskim. Jeżeli okoliczności lub wyborcy zmuszą go do porzucenia kariery publicznej, może w dalszym ciągu kontynuować prywatną z małą stratą, a czasem nawet ze znaczną korzyścią. W ten sposób, związane się z polityką nigdy nie jest dla niego tak silne jak u jego sowieckiego odpowiednika. Nawet dla zawodowców polityka w Ameryce jest pod wielu względami zajęciem raczej ubocznym, a nie powołaniem. Spośród 513 naczelnich przywódców politycznych w Stanach Zjednoczonych pomiędzy rokiem 1789 a 1953, zaledwie 5 miało karierę wyłącznie polityczną (2).

Polityk zawodowy może z powodzeniem robić karierę publiczną poza polityką mając na oku, że pierwsze korzyści przyniesie mu to na innych niż polityka polach i że drabina polityczna może być użyta do wspinania się na szczyty w businessie i w życiu towarzyskim. Natomiast jego sowiecki odpowiednik musi zazwyczaj poświęcić dla kariery politycznej całe swoje życie. Rosjanin wchodzi do polityki w taki sposób jak Amerykanin wstępuje do stanu duchownego lub wojska i pogrąża się całkowicie w życie politycznego aparatu. Nie posiadając prywatnej kariery do której mógłby wrócić, wycofanie się z polityki sprawia mu wielkie trudności. Życie jego jest bardziej zogniskowane,

(2) C. Wright Mills: *The Power Elite* (New York, 1956), 402.

lojalność bardziej wyłączna, a zobowiązania silniejsze niż polityka amerykańskiego.

Związaną się aparacza z jego zawodem jest bardziej wyłączną, a sama jego kariera ma cechy wybitnie zawodowe. Kariera aparacza pod wielu względami jest podobna do kariery oficera w wojsku. Praktyka wprawdzie ulega zmianom, ale pewne minimum wychowawczych kwalifikacji jest wymagane. Kariera aparacza, tak samo jak kariera oficera, zaczyna się od dołu drabiny. Podobnie jak dobry oficer, dobry aparatczik posuwa się w górę hierarchii partyjnej do stanowisk coraz bardziej odpowiedzialnych, — od rejonu do *obłasti*, od „kraju” do republiki związkowej, lub do wyższych instancji partyjnych, jak np. moskiewskiej lub leningradzkiej, oraz w końcu do sekretariatu Komitetu Centralnego. Aparatczik może przeto posuwać się na przód stosownie do rodzaju odpowiedzialności na każdym poziomie: ze stanowiska drugiego sekretarza w jednej „obłasti” na stanowisko pierwszego sekretarza w innej. Na różnych stopniach swojej kariery będzie czasowo przenoszony na stanowiska państwowe, administracyjne lub przemysłowe. Będzie od niego wymagane stopniowo dokształcanie się za pomocą kursów korespondencyjnych. Podobnie jak oficer skierowany do szkoły sztabu lub uczelni wojskowej, aparatczik może być powołany na 4-letni kurs szkoły partyjnej w swojej republice związkowej, lub do wyższej szkoły partyjnej Komitetu Centralnego w Moskwie. Szkoły partyjne zostały założone w roku 1946. W ciągu pierwszego dziesiątka lat wyszkolono w nich około 55 tysięcy ludzi, a w wyższej szkole partyjnej — 9 tysięcy. Urzędnicy partyjni do 35 lat wieku i z dobrą przeszłością w pracy partyjnej są wyznaczani na 4-roletni kurs w szkołach między-„obłastnych”. Starsi urzędnicy do lat 40-tu mogą być przydzieleni na 2 lata do wyższej szkoły partyjnej, która prowadzi również kursy korespondencyjne. (W 1956 roku uczęszczało do wyższej szkoły 200 urzędników, zaś 3 tysiące studiowało drogą korespondencyjną). Kilku młodszych wiekiem, lecz już najwyższych dostojników partyjnych, jak np. Polijanskij, Mazurow, Furcewa, otrzymało tam swoją edukację.

Urzędnik partyjny, wyznaczony do takich zaawansowanych studiów, jest poddawany intensywnemu szkoleniu, które ma na celu rozszerzenie jego politycznej i ideologicznej wiedzy, a zarazem biegłości w rozwiązywaniu gospodarczych i techniczno-madzarskich kwestii. Z 3.200 godzin wykładów, przepisanych typowym programem nauki na rok 1957 dla między-„obłastnej” partyjnej szkoły, 41,5 procent było przeznaczonych dla ściśle politycznych przedmiotów, jak np. historia partii komunistycznej, 15 proc. — dla nauk ekonomicznych i planowania i 43,5 proc. dla wszystkich innych różnorodnych specjalności, jak technologia przemysłowa, rolnictwo, regionalne planowanie i statystyka (3).

(3) Program nauk 4-roletniej szkoły partyjnej:

Szkolenie ma na celu wykształcenie zawodowych politycznych kierowników społeczeństwa, którzy by potrafili pokierować życiem społeczno-gospodarczym w ramach ideologicznych celów i trwałych politycznych interesów rządzącej partii. Po zakończeniu studiów, rozpoczynający karierę urzędnik partii jest stale informowany o kolejnych dyrektywach i technice działania i w tym celu otrzymuje regularnie czasopisma partyjne, oraz rozmaite podręczniki, wydawane przez Komitet Centralny i zawierające szczegółowe instrukcje jak należy postępować w poszczególnych wypadkach.

Przedmioty:

Ilość godzin

1. Historia partii komunistycznej w ZSSR	250
2. Materializm dialektyczny i historyczny	200
3. Ekonomia polityczna	300
4. Historia międzynarodowych ruchów robotniczych i narodo- wo-wyzwoleńczych	180
5. Historia ZSSR	150
6. Sprawy partii i państwowe	150
7. Zasady sowieckich nauk prawnych (prawo cywilne, pracy, kolektywów rolniczych)	100
8. Geografia ekonomiczna ZSSR i krajów obcych	100
9. Organizacja i planowanie w przemyśle, budownictwo i transport	200
10. Organizacja i planowanie w rolnictwie	180
11. Źródła energii w przemyśle	80
12. Technologia przemysłowa (w głównych gałęziach przemysłu)	270
13. Budownictwo cywilne i przemysłowe	100
14. Rolnictwo w ogóle, leśnictwo i agrochemia	240
15. Hodowla zwierząt	140
16. Mechanizacja i elektryfikacja w rolnictwie	160
17. Regionalne planowanie lokalnego przemysłu i usługi kulturalne	80
18. Handel, finanse i bankowość	80
19. Technika księgowości i rewizja ksiąg	60
20. Statystyka	80
21. Matematyka	80
22. Praktyka przemysłowa (2 miesiące)	
RAZEM	3.200

Przedmioty nie obowiązujące:

Języki obce
Język rosyjski
Samochody i kierowanie nimi.

Sluchacze, którzy wykonali program, zdają egzaminy państwowe z historii partii komunistycznej, dialektycznego i historycznego materializmu, ekonomii politycznej i ekonomiki narodowej (Związku Sowieckiego).

V.A. Malin, wyd.: *Sprawoznaczenie Partijnego Robotnika*, Moskwa 1959, str. 414-415.

Jak zauważył pewien uczoney (4), „główną zasadą procesu urabiania aparatzika jest poddawanie go na przemian szkoleniu i próbie praktycznego działania”. Wprawdzie może aparatzik wykonywać te czy inne funkcje przez czas dłuższy, jednakże normalny czas pozostawania na jednym stanowisku wynosi, podobnie jak w armii Stanów Zjednoczonych, 3 lub 4 lata. W razie jeżeli zyska reputację zręcznego arbitra sporów i zatargów w przemyśle, w rolnictwie lub w budownictwie, może być przesunięty z jednego krytycznego miejsca na drugie, jeszcze trudniejsze. Jeżeli wykaże większe zdolności może dostać jeszcze bardziej odpowiedzialną robotę, m.in. w politycznym urzędzie nadzorującym wojsko. Powodzenie zależy od politycznych i administracyjnych zdolności, oraz od stosunków z bardziej wpływowymi zwierzchnikami, którzy mogą przyspieszyć posuwanie się w górę po szczeblach hierarchicznej drabiny. W razie niepowodzenia na poziomie *obłasti*, aparatzik zostanie przesunięty na inne, podrzędniejsze stanowisko.

Kariera dwóch sowieckich dygnitarzy, reprezentujących nowych aparatzików, może być dobrą ilustracją powyższych uogólnień.

*Pantielejmon K.
PONOMARENKO, ur. 1902*

Wstąpił do partii komun. w 1925 r.
W latach 1918-31 różne stanowiska w Czerwonej Armii i w przemyśle
W 1932 ukończył Instytut Inżynierii Transportowej w Moskwie
W 1932-35 w aparacie politycznym armii czerwonej, następnie znów w przemyśle
W 1938 wszedł do aparatu K.C. i w 1939 został wybrany do K.C. partii
W 1938-47 — 1-y sekretarz C.K. Białoruskiej Republiki Związkowej.

W 1948-53 — sekretarz K.C. partii, a w latach 1950-53

*Leonid J. BRIEŻNIOW
ur. 1906*

Wstąpił do partii kom. w 1931
W r. 1935 ukończył Instytut Metalurgiczny w Dnieprodzierżyńsku
W 1936-41 praca w partii
W czasie wojny — komisarz politycz. na południowym froncie; w 1946-50 „obłastnoj” sekretarz partii na Ukrainie (w latach 1947-49 Chruszczow rządził na Ukrainie).

W latach 1950-52 — 1-y sekre-

(4) John A. Armstrong: *The Soviet Bureaucratic Elite. A case study of the Ukrainian Apparatus.* (New York, 1959). Str. 37.

równocześnie minister w rządzie ZSSR

ekretarz K.C. Mołdawskiej Republiki

W 1952 wybrany na członka K.C. partii komunistycznej

W 1953-54 — szef wydziału politycznego marynarki wojennej

W 1954 mianowany sekretarzem K.C. Republiki Kazachstańskiej podległym Ponomarence

W lutym 1954 mianowany 1-ym Sekretarzem K.C. Republiki Kazachstańskiej, terenu bardzo ważnego pod względem rolniczym — co się okazało jego klęską

Uważany przy tym za stronnika Malenkowa. Po ustąpieniu tego ostatniego ze stanowiska premiera w 1955 r. mianowany na podrzędne stanowisko ambasadora.

W 1956 sekretarz K.C. Kom. Partii i kandydat na członka Prezydium

W 1957 wybrany na członka Prezydium K.C. w nagrodę za popieranie Chruszczowa w ciągu kryzysu czerwcowego 1957 roku.

W latach 1957-58 reorganizator przemysłu i arbiter.

W 1961 — usunięty z członkostwa K.C. Partii

W 1960 wybrany na prezesa Prezydium Związku Sowieckiego (nominalna głowa państwa) — człowiek, którego warto obserwować.

Porównajmy ten wzór wybitnie zawodowej kariery z karierą „zawodowego” amerykańskiego polityka. Amerykanin nie koniecznie musi startować od dolnego szczebla w polityce. Im wyższą jest jego gospodarcza i towarzyska pozycja przed wejściem do polityki, tym wyższym będzie pierwszy urząd, o który będzie się ubiegać. Jeżeli Amerykanin startuje od jakiegoś lokalnego urzędu — Rady Miejskiej lub prokuratora okręgowego — może posuwać się kolejno wyżej do parlamentu stanowego, stamtąd do jakiegoś ogólnopństwowego urzędu lub kongresu i dalej do stanowiska gubernatora lub senatora. Jeżeli został wybrany na gubernatora małego stanu, będzie prawdopodobnie w końcu kandydował na senatora, jeżeli zaś wybrano go senatorem w dużym stanie, może kandydować na gubernatora. Może również zadowolnić się pozostaniem na niskim szczeblu skomplikowanej amerykańskiej drabiny politycznej i robić karierę w administracji swego miasta, w parlamencie stanowym lub w kongresie. Jeżeli po chlubnej służbie na niższym wybieralnym stanowisku postawi

swoją kandydaturę na wyższy urząd i przypadnie w wyborach, może liczyć na zamianowanie go na stanowisko administracyjne lub sędowe w jakimś rządzie stanowym. Kariery politycznej Amerykanina nie kształtuje świadomie żadna wyższa władza. On sam musi dojść do maksimum tego co mu amerykański system ofiarować może.

Sowiecki polityk zawodowy działa w otoczeniu wyłącznie biurokratycznym. Ponieważ aparat partyjny jest najważniejszą biurokracją w sowieckim społeczeństwie, władza aparatzika zależy od jego pozycji w partyjnej biurokratycznej maszynie. Czym dla Amerykanina są wybory, tym dla aparatzika jest jego pozycja w organizacji. Bezpośrednie otoczenie amerykańskiego polityka jest właściwie jednym z najmniej zbiurokratyzowanych odłamów społeczeństwa amerykańskiego. Stany Zjednoczone mają różne biurokracie — administracyjną, wojskową, przemysłową, oświatową — ale nie ma tam biurokracji politycznej. Stąd, umiejętności wymagane od polityka sowieckiego różnią się znacznie od tych, które są niezbędne dla polityka amerykańskiego. Aparatzik musi posiadać cechy realizatora: zdolność amerykańskiego przedsiębiorcy starego stylu do wyżyłowania, zachęcania, napędzania strachu, oraz giętkość w podstawianiu żagli pod wiatr i zharmonizowaniu się ze swoim otoczeniem. Musi też posiadać biegłość w wewnętrznych walkach biurokratycznych, w przewidywaniu zmian w linii partyjnej i w hierarchii jej celów, w różnieniu wschodzących i zachodzących gwiazd aparatu partyjnego, w trafnym wyborze wygrywającej strony w ważnych rozgrywkach, a jednocześnie w wmanewrowywaniu przeciwników na przegraną stronę. Decydującym dla jego powodzenia jest nie tyle poparcie znacznej liczby ludzi, co poparcie właściwego człowieka we właściwym czasie.

Polityk amerykański natomiast musi umieć wyczuwać bardziej prąd opinii publicznej, niż poglądy jakiegoś Prezydium, oraz umieć wyrazić jasno powszechnie uznawane i popularne hasła. Musi, dalej, unikać zaangażowania się po jednej stronie w sprawie, w której opinia w jego okręgu jest podzielona, oraz uzyskiwać w drodze rokowań kompromisy mogące zadowolić odwołujących się do niego zainteresowanych. Zawodowy polityk amerykański musi być doświadczonym strategiem w działaniu publicznym, natomiast aparatzik — w działaniu zakulisowym, gabinetowym. W działaniach wyborczych i w parlamentach amerykańskich polityk działa w otoczeniu egalitarnym, gdzie zdolność popierania lub szkodzenia może znaleźć obustronne zastosowanie. Sowiecki aparatzik pracuje w bardziej asymetrycznym biurokratycznym otoczeniu. Wprawdzie władza nie płynie zawsze w jednym tylko kierunku, jednakże jest on w znacznej mierze na łasce swoich przełożonych, wykonywując jednocześnie zwierchnictwo w szerokim zakresie nad swoimi podwładnymi. Polityk amerykański musi przekonywać równych sobie, podczas gdy aparatzik musi zabiegać o względy przełożonych i popędząć podwładnych. Mając przed sobą drugiego polityka, Amery-

kanin stara się dociec co tamten ma do zaofiarowania, podczas gdy aparatzik sowiecki zastanawia się, kto z nich obu będzie na gorze.

Zbigniew BRZEZIŃSKI

(Dokończenie nastąpi)

Samuel P. HUNTINGTON

(Autoryzowany przekład Kazimierza OKULICZA z „World Politics”, Tom XVI, nr 1, październik 1963).

GRYF PUBLICATIONS LIMITED

PRZEDSTAWICIELSTWO „KULTURY”
I WYDAWNICTWO KSIĄŻKOWYCH „KULTURY”
NA WIELKĄ BRYTANIĘ

zaopatruje w książki polskie mając na składzie ponad
3.000 tytułów. Wysyłka natychmiast po otrzymaniu
z a m ó w i e n i a.

Katalogi bezpłatnie na żądanie.

WYSYŁAMY BEZPOŚREDNIO DO W. BRYTANII,
ST. ZJEDNOCZONYCH, AUSTRALII, BRAZYLII
I INNYCH KRAJÓW.

Na terenie Francji przedstawicielstwo:
„Libella”, 12, Rue St. Louis-en-l'Île, Paris 4^e

BOGATY DZIAŁ NOWOŚCI

„Biblioteka Polska”

KATOLICKIEGO OŚRODKA WYDAWNICZEGO „VERITAS”

12, Praed Mews, London W.2

o g ł a s z a

PLAN WYDAWNICZY NA ROK 1964

SUMA TEOLOGICZNA: św. Tomasza z Akwinu

TRAKTAT O BOGU-CZŁOWIEKU, SYNU MARYI
(S.T. III, zagadn. 16-33). Przekład i objaśnienia:
ks. St. Piotrowicz.

W przedpłacie do 31.5.64: 20/-, dol. 3,00

O WADACH I GRZECHACH LUDZKICH. (S.T.
I-II, zag. 71-89). Przekład i objaśnienia: O. Feliks
W. Bednarski.

W przedpłacie do 30.9.64: 20/-, dol. 3,00

O MIŁOŚCI (S.T. II-II, 23-46) Przekład i objaśnienia
ks. Andrzej Głazewski.

W przedpłacie do 30.11.64: 18/-, dol. 2,70

INNE SERIE:

Generał Józef Zając: DWIE WOJNY. Udział w wojnie
o niepodległość i obronie powietrznej Polski.

W przedpłacie do 31.3.64: 28/-, dol. 4,20

Ignacy Wieniewski: ANTYCZNYM SZLAKIEM.
Studia i szkice z podróży po krajach antycznych
i z literatury klasycznej.

W przedpłacie do 31.3.64: 13/6, dol. 2,00

Metropolita Abp Karol Wojtyła: MIŁOŚĆ I ODPO-
WIEDZIALNOŚĆ. Studium etyczne.

W przedpłacie do 30.6.64: 16/-, dol. 2,40

Jan Bielatowicz: OPOWIADANIA STAREGO
KAPRALA. W przedpłacie do 31.7.64:

13/6, dol. 2,00

Generał Stanisław Kopański: MOJA SŁUŻBA
W WOJSKU POLSKIM 1917-1939.

W przedpłacie do 31.10.64: 16/-, dol. 2,40

Ksiądz Paweł Siwek T.J.: WIECZORY PARYSKIE.
O wielkich religiach świata i „wiarach modnych”.

W przedpłacie do 30.11.64: 26/-, dol. 4,00

Karol Hubert Rostworowski: DZIEŁA WYBRANE
(„Judasz”, „Kaligula”, „Miłosierdzie”, „Czerwony
marsz”, „Zygzyki”-liryki, ineditum: „Don Kiszot
za kulisami”).

W przedpłacie do 31.12.64: 28/-, dol. 4,20

Subskrybenci zamawiający najmniej 6 tomów mają prawo do
zamówienia tomu DZIEŁ WYBRANYCH KH Rostworowskiego
po cenie premiowej: 24/-, dol. 3,70.

Zgłoszenia i wpłaty:

VERITAS FOUNDATION PUBLICATION CENTRE

12, Praed Mews, London W.2

Notatnik nieśpiesznego przechodnia

W TURYNIE

Przyjechałem do Turynu w końcu października, w zbożnym zamiarze zapoznania się z literaturą włoską o starożytnościach Ligurii i ze stanem archiwów wywiezionych do Turynu z Hrabstwa Nicei w chwili odstąpienia tego terytorium Francji.

Będę kiedyś musiał spisać w osobnej książce pomysły i projekty, których krótkość życia nie pozwoliła mi wykonać. Wypadnie być może zaliczyć do nich także projekt odczytania śladów, pozostawionych przez Ligurów w dolinach Alp Morskich. Zaledwie bowiem złożyłem nieuniknioną wizytę w kwesturze i wyszedłem na Via Roma, Ligurzy pogrążyli się znów w pomroce wieków i inny rozdział historii skupił na sobie moją uwagę.

Przed Palazzo Madama panował niezwykle ruch i wszystkie jego okna były jasno oświetlone. Przeciskając się między gęsto zaparkowanymi wozami zbliżyłem się do wejścia pałacu. Wielkie afisze obwieszczały otwarcie wystawy Baroku piemontckiego. Słyszałem o niej już w drodze, ale wzmianki gazet nie dawały pojęcia o jej rozmiarach i bogactwie. Z kilku dni mój pobyt w Turynie przedłużył się do kilku tygodni, zbyt krótkich dla zapoznania się ze wszystkim, co zgromadzono z okazji wystawy w pałacach i muzeach Turynu. Dla studiów nad historią Ligurii będę tam musiał przejechać innym razem.

Cały parter Palazzo Madama zastawiony był makietami i rysunkami scenografów XVII i XVIII wieków. „Teatr mój widzę ogromny” — te słowa zdają się być wyjęte z ich ust. Projekty ich przypominały mi chwilami teatr opisany w *Adone* G.-B. Mariniego, gdzie poprzez góry i lasy ustawione na scenie obrotowej toczą się tragiczne łowy Akteona, grane przed zasiadającymi w fotelach bogami Olimpów.

Mówiąc nawiasem neapolitański poeta G.-B. Marini (1569-1625), współczesny Luisa de Góngora, uchodził w oczach współczesnych za „największego poetę wszystkich czasów”, gdy dziś encyklopedia Larousse'a wie o nim tylko tyle, że Maria Medycejska sprowadziła go do Paryża, i że miał „najgorszy wpływ na kształtowanie się smaku francuskiego”. Mam wrażenie, że — poza właściwą Barokowi przesadą — współcześni byli bliżsi prawdy. Strzeżmy się krytyków i profesorów. *Literatura Baroku* jest do przeczytania na nowo. Sądząc z pewnych szczegółów, Słowacki musiał znać neapolitańskiego poetę, jak się zdaje bez szkody dla swego smaku literackiego.

Na pierwszym piętrze pałacu znajdowały się makiety, rysunki i utrwalone w szkicach luźne projekty architektów. Te ostatnie nazywano wówczas *i pensieri* — myśli. Fotografii mniej znanych budynków Piemontu uzupełniały ten przegląd barokowej architektury.

Były więc tam makiety i projekty pałaców na miarę Wersalu i Palazzo Stupinigi, rozległych kompleksów zabudowań, parków i tarasów, dających wyraz manii wielkości Baroku. Czytając raz średniowieczny *Le Roman de la Rose* zatrzymałem się nad następującym określeniem urody Narcyza przeglądającego się w tafli wody:

*Car il cuida veoir la figure
D'ung enfant bel à demesure*

W tym określeniu piękna przez nieumiar jest już przeczcucie Baroku i jego ambitnej wyobraźni, stawiającej artystom i widzom wymagania, jakim nikt sprostać nie potrafi. Architektura zbliża do poezji tego czasu. W tych szeroko zaplanowanych przestrzeniach można by wreszcie ustawić w kontrastowe grupy jej strofy, fanfary i szelesty słów.

Jeszcze większe wrażenie zrobiły na mnie *penstieri*, rysunki i fotografie przedstawiające mniejsze budynki o zwartych i wyrazistych formach barokowych. Żaden inny styl nie rozszerzył się tak triumfalnie na całą Europę, nie przeniknął tak daleko na wschód, tak wysoko w góry i tak głęboko w zdobnictwo ludowe. Nie znam żadnej próby objaśnienia tej siły penetracji Baroku.

W ogromnym Palazzo Reale zgromadzono niezliczone obrazy, meble i pamiątki po barokowym Turynie i jego dworze. Wśród obrazów uwagę zwracał G.M. Graneri, turyński Pietro Longhi, i jego sceny z życia codziennego miasta. W salach, gdzie urzędowali królowie Sardynii i ich organy doradcze, ude- rzał nadmiar złocień.

Patrząc na pamiątki po książęcym i królewskim dworze miałem w pamięci opis Turynu z końca XVII wieku, znajdujący się we wspomnieniach kawalera de Grammont. Saint-Evremond i chevalier de Grammont wyjechali do Londynu dla odświeżenia wyobraźni, nie mogąc znieść złego smaku Ludwika XIV, i już nie wrócili do kraju. De Grammont, zajęty grą w karty, nie miał czasu na pisanie i wspomnienia swe opowiadał w wolnych chwilach angielskiemu przyjacielowi nazwiskiem Hamilton, który spisał je w najpiękniejszej francuszczyźnie Oświecenia. W pamięci jego Turyn zachował się jako siedziba najwesołszego i najbardziej lekkomyślnego dworu Europy; życie w nim miało pozory nieustannej feerii, barokowej wersji Złotego Wieku.

Obraz ten miałem za twór wyobraźni, który w pamięci francuskiego emigranta przeciwstawiał się nudnej i sztywnej uroczystości Wersalu. Wydawał mi się tym mniej autentyczny, że w XVII wieku Turyn był kilkakrotnie oblegany, zdobywany i bombardowany przez wojska francuskie; książęta sabaudzcy uciekali zeń i wracali, stale zagrożeni przez zaborczą politykę kardynała Richelieu i Ludwika XIV.

Taka interpretacja pamiątek kawalera de Grammont była błędna. Obraz wyłaniający się ze zgromadzonych w Palazzo Reale pamiątek był nierównie bliższy tych pamiątek niż tego, co znalazłem w historii Turynu. Powieniem był się tego wcześniej domyśleć. Historycy opisują i objaśniają bieg wypadków, i w ich książkach komponenty zmienne przeszłości są lepiej widoczne od komponentów ciągłych; dowiadujemy się z nich więcej o tym, co się stało, niż o tym, co było. Faustowe *verweile doch, du bist so schön* nie należy do materii historycznej, utkanej z wydarzeń. Aspektów ciągłych przeszłości szukać trzeba u memorialistów i w zbiorach pamiątek, będących świadectwami ciągłości i trwałości *par excellence*, już przez to że zachowały się do naszych czasów.

Jednym z elementów stałości w historii siedemnastowiecznego Turynu był barokowy styl życia, zamiłowanie do monumentalnych budynków, ozdobnych strojów i zabaw pełnych alegorii. Drugim były francuskie księżniczki, z którymi żenili się książęta sabaudzcy, szukając w tych małżeństwach zabezpieczenia przed zaborczością Burbonów. Wyzwolone z etykiety dworu francuskiego, księżniczki stawały się ambitne i lekkomyślne. Dwie z nich zostawiły trwałe ślady w historii Turynu: Maria Krystyna, siostra Ludwika XIII, i Jeanne de Nemours. O pierwszej historyk książęcego Turynu pisze, że była wierna maksymie Wawrzyńca Wspaniałego: *Chi vuol esser lieto sia — del doman non v'è certezza* (Niech się weseli kto chce, o jutrze nie

pewnego nie wiadomo). Zachowany w Palazzo Reale portret Marii Krystyny mówi więcej o ambicji niż o lekkomyślności. Widzimy na nim wąską, ostrą twarz i czarne oczy o bystrym, nieprzyjemnym spojrzeniu.

Pamiętki po Jeanne de Nemours, małżonce Karola Emanuela II, zebrane były w innej sali. Wzrok wchodzącego zatrzymywał się od razu na dwóch, ustawionych jedno naprzeciw drugiego, marmurowych popiersiach naturalnej wielkości.

Jedno przedstawiało nagi tors pięknego mężczyzny, mieszaniny torera i młodego Bachusa. Nie było na nim żadnego napisu. Był to, jak można się domyślać, oficjalny kochanek księżny sabaudzkiej. Nazwisko jego było na wszystkich ustach, lecz rzeźbiarz nadworny, Bernardo Falconi, uznał za stosowne je dyskretnie przemilczeć. Na popiersiu kobiety natomiast widniały złożone litery: Giovanna Battista Savoya di Nemours.

Marmur ten wyobrażał kobietę o wspaniałych kształtach, szeroką w ramionach. Okrągła, o krótkim nosie twarz miała rysy właściwe blondynkom. W odróżnieniu od stojącego naprzeciw mężczyzny nie była naga. Na ramionach jej marszczyła się lekka tkanina, mogąca być szeroko otwartą nocną koszulą. Najważniejsza była twarz szeroko uśmiechnięta, wyrażająca radośny triumf miłości zmysłowej.

W marmurze ciała kobiet są zazwyczaj w jakiś sposób uduchowione. Dziedziczą to po rzeźbie greckiej, w której nagość zawiera aluzję do bogiń Olimpu. W popiersiu Falconiego brak takiego uduchowienia. Sztuka barokowa lubowała się w antytezach, i Falconi chciał być może przedstawić w swym książęcym modelu zwycięstwo miłości cielesnej, przeciwstawiającej się niewinności i wstydlivosti. W lekkiej koszulce Jeanne stoi przed kochankiem i publicznie, przy dźwiękach fanfary głoścącej radość i triumf, wyzwala się z cnót i konwenansów. Mimo intensywności wyrazu popiersie Falconiego pozostaje książęce, dumne i wspaniałe, wznoszące się ponad wszelką *obscentitas*.

W innych czasach takie przedstawienie kobiety wykonującej władzę książęcą — przypuszczam, że popiersie datuje z czasów regencji — byłoby gorszące. Nie wiem, co myślał o nim współczesny arcybiskup Turynu. Potępiał je zapewne *mormorando*, bo historycy nie dosłyszeli jego głosu. Jeanne de Nemours miała w Turynie zwolenników zwanych „madamistami”. Przeciwnicy mieli jej głównie za złe, że stała na czele partii francuskiej, a potem dopiero opowiadali sobie plotki o jej obyczajach. Widok rzeźby Falconiego nie wywołał zatem skandalu.

Tolerancja turyńczyków tłumaczy się być może osobliwą dwutorowością myśli i wyobraźni ludzi Baroku, ich zamiłowaniu do antytez i kontrastów. Koncepcja Falconiego nie raziła

ich skrajnością. Była to jedna z propozycji kontrowersyjnych, które wysuwano wówczas jako temat do medytacji i dyskusji. *Languet mens quae excessibus caret* — mdła jest myśl nie znająca ekscesów — pisał Francis Bacon. Tezie przeciwstawiła się antyteza, obraz obrazowi. Naprzeciw króla stał błazen, naprzeciw Ariela — Kaliban; Monteverdi przeciwstawił Orfeuszowi Poppeę. Dla ludzi Baroku był to sposób utrzymywania równowagi.

Refleksje te spisuję na podstawie wrażeń wyniesionych z kilkakrotnego oglądania rzeźb Falconiego. Od razu jednak wydało mi się, że jego popiersia warte są bliższego poznania, możliwości późniejszego konfrontowania wrażeń z rzeczywistością rzeźb i porównywania ich z innymi alegoriami Baroku. Słowem zacząłem poszukiwać ich fotografii, nigdzie jednak nie udało mi się ich znaleźć. Czasy Baroku minęły. Przypuszczam, że rzeźby Falconiego, wyniesione na światło dzienne z okazji wystawy, spoczywają zazwyczaj w mniej dostępnych zakamarkach Palazzo Reale.

Ostatniego dnia, żegnając się z wystawą i wracając do codzienności, zadałem sobie pytanie, jak wyglądałaby wystawa mająca dać obraz życia XX wieku.

Brakłoby jej nazwy, ale mogłaby się znaleźć. Określenie „czasy Baroku” jest też późniejszego pochodzenia. Brakłoby jej również stylu, i brakowi temu trudniej by było zaradzić. Władimir Weidle słusznie zauważa, że już od czasów romantyzmu architektura i samo życie nie mają żadnego stylu. Musielibyśmy znaleźć jakieś inne pojęcie porządkowe. Każda np. epoka posiada własną receptę na odtworzenie Złotego Wieku. W naszych czasach recepta taka ukazała się wyraźnie w latach wielkiego kryzysu 1930-1933. Wszystkim mianowicie stało się jasne, że głównym zadaniem państwa i związanych z nim instytucji jest zapewnienie powszechnego dobrobytu. Dążenie do tego celu moglibyśmy wziąć za ideę przewodnią wystawy. Wybraliśmy więc kilka modeli mieszkań Le Corbusiera i Gropiusa i ustawili w nich przedmioty uchodzące za symbole dobrobytu: lodówki, pralki, telewizje, trochę wydawnictw artystycznych i lepszej konfekcji. Wśród fotografii naszych festiwali na próżno jednak szukaliśmy jakiegoś odpowiednika barokowych zabaw i feerii, Jeanne de Nemours i lekkomyślności. Nie wiem, czy ktokolwiek na widok zgromadzonych przedmiotów, powiedziałby: *verweile doch...* Wpatrując się w ich migotliwą powierzchnię dostrzegłby być może cienie upiorów znanych z obecnej literatury: głębokiego lęku, absurdałości egzystencji nieuleczalnego poczucia frustracji.

Przyjaciele pytają mnie nieraz, czemu nie spisuję wspomnień z dwudziestolecia, które oglądałem dość blisko, z różnych stron,

bez zaangażowania. Nasze dwudziestolecie posiada historię bogatą w malownicze i warte zastanowienia wypadki. Przeraza mnie jednak nędza i poniewierka obywateli Rzplitej tego czasu. Gdyby zaproponowano mi nowe życie w skórze robotnika lub chłopca dwudziestolecia, wybrałbym śmierć. Mimo przeblysków lekko-myślności, styl ówczesnego życia był surowy. Usiłuję wyobrazić sobie wystawę pamiątek po dwudziestolecu. Architekturę reprezentowałyby makiety ministerstw, banków państwowych, chłodni w Gdyni, osiedla robotniczego na Żoliborzu, domów urzędniczych. Wyroby *Ładu* zdobyłyby ich wnętrza. Nie widzę miejsca na *i pensieri* Stanisława Noakowskiego, będące reminiscencjami z innych epok. Szukając pamiątek *stricto sensu* historycznych nie umiem wyjść poza żalony kaszkiet i portki marszałka Piłsudskiego. Weselszą stroną dwudziestolecia reprezentowałyby fotografie półpiętra Ziemiańskiej, Ipsu z freskiem Topolskiego, Mi-ry Zimińskiej i Szopki Cyrulika Warszawskiego. Patrząc bez żalu, jak szczegóły tego okresu ulatniają się powoli z mojej pamięci.

PAPIER I LITERATURA

PASQUINO: W jakich czasach żyjemy, Marforio?

MARFORIO: W czasach braku papieru.

Gdyby antyczne posągi bez głów, na których lud rzymski wypisywał satyryczne pytania i odpowiedzi, znajdowały się w Warszawie, tak zapewne wyglądałaby ich rozmowa.

O tym braku papieru słyszymy niemal każdego dnia. Czasopisma krajowe przychodzą coraz bardziej chude lub przestają w ogóle wychodzić. Książki, drukowane w niedostatecznej ilości egzemplarzy, znikają z handlu w kilka dni po ukazaniu się i są coraz trudniejsze do zdobycia. Jeżeli tak pójdzie dalej, literatura krajowa zniknie z naszego pola widzenia. Będziemy się o niej dowiadywali z katalogów i egzemplarzy przysyłanych łaskawie przez autorów.

W styczniowym numerze *Twórczości* Jarosław Iwazkiewicz pisze, że kurczy się liczba drukowanych w Polsce książek, spada czytelnictwo, i że brak papieru zagraża kulturze i przyszłości narodu.

Sformułowanie to nie wyda się przesadne, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że brak papieru ciąży przede wszystkim na pisarzach młodszych i debiutantach. Wątpliwe skądinąd przywileje starszego wieku występują wyraźnie w tym wypadku.

W latach trzydziestych powtarzano mi rozmowę między kilku literatami i znanym dyrektorem teatru, ubolewającym nad brakiem nowych sztuk polskich. Jeden z rozmówców zauważył,

że nikt nie popiera twórczości dramatycznej. Sztuka grana przynosi autorowi koło dwudziestu tysięcy złotych, ale sztuka nie przyjęta nie daje mu nic prócz kosztów i zmartwień. Sytuacja taka nie zachęca do pisania. Dyrektor teatru odpowiedział, że na tę nierówność szans nie widzi żadnej rady. Wprowadzenie sztuki do repertuaru teatrów wymaga od autora nie tylko talentu, ale także niestrudzonej energii, znajomości rzeczy i ludzi, słowem uzdolnień prowadzących we wszystkich zawodach do pieniędzy i zaszczytów. Czego natomiast dokonał autor sztuki odrzuconej? Zepsuł tylko za kilka złotych papieru i atramentu. Czy należy popierać taką działalność?

Pisarzy starszych wiekiem i doświadczeniem porównać można z autorami, mającymi już kilka sztuk w żelaznym repertuarze teatrów. Trudne początki mają daleko za sobą, zdobyli już pewną ilość stałych czytelników i w Polsce — gdzie literatura jest wielką siłą społeczną — mają pozycję dającą możliwość manewrowania, przeczekiwania, uchylania się.

Inna jest sytuacja pisarza młodego i nieznanego, obchodzącego ze swym rękopisem redakcję i wydawnictwa i słyszącego wszędzie tę samą odpowiedź nie ma zapotrzebowania, nie ma papieru.

Wielu młodych pisarzy posiada zapewne też zadatki uzdolnień prowadzących do pieniędzy i powodzenia. Brak im na razie czytelników, sławy i doświadczenia. Nie jestem wszakże pewien, czy wszystkie rodzaje doświadczenia literackiego sprzyjają rozwojowi talentów i kształtowaniu się charakterów. Wątpliwości przychodzą mi na myśl, gdy przeglądam produkcję autorów dobrze myślących i na pozór przystosowanych do obecnych warunków. Książki opiewające uroki fabryk i pegeerów wyszły wprawdzie z mody, ale miejsce ich nie pozostało puste. Zajęły je opowiadania odpowiadające zamiłowaniu partii do przemalowywania obrazów dalszej i bliższej przeszłości. W twórcach wyobraźni poprawki historyczne przychodzą tym łatwiej, że powieściopisarze i noweliści nie muszą się liczyć z faktami, z pamięcią świadków, ani nawet — pisząc dla oka władz — z łatwowiernością czytelników. Do literatury tej kategorii zaliczyłbym przede wszystkim mnożące się obecnie opowieści z pierwszych lat powojennych, sławiące działalność milicji i pracowników służby bezpieczeństwa. W miarę przedłużania się listy tych utworów ton ich staje się coraz podnioslejszy, obrazy walk z leśnymi partyzantami urastają do rozmiarów wojny cywilnej, a pracownicy U.B. wznoszą się na wyżyny bohaterów *Trylogii*.

Oportunizm nie jest niezbędnie drogą najmniejszego oporu; użyteczne kompromisy wymagają zrzeczności i umiaru. Pochwały

policji rzadko wykazują takie zalety. Czytelnik musi sobie co chwila stawiać pytanie: czy tego od nich naprawdę wymagano? Czy Urzędowi Bezpieczeństwa nie wystarczyłoby połowa tych pochwał? W przesadzie apologetów wyczuwa się panikę, jaka ogarnęła ich na widok kurczących się przydziałów papieru. Wielu zdaje się obawiać, że zanim skończą rękopis ich gotowość do usług zostanie już przelicytowana przez innych.

Nie wydaje się, aby takie ćwiczenia były dobrą szkołą pisania. Wśród panegiryków nie spotkałem dotąd ani jednej książki wartej czytania. Nic w tym zresztą nowego. Do historii literatury weszło więcej pamfletów i paszkwili niż panegiryków.

Napoleon, który chciał również podporządkować sobie literaturę, powiedział raz w przystępie złego humoru, że odkomenderowani przezeń do cenzury oficerowie są dobrzy co najwyżej na pastuchów, a opłacani publicyści piszą tak, jak gdyby nie wierzyli sami temu co piszą. Napoleon żądał od nich być może zbyt wiele. Mam wrażenie, że władze Rzplitej Ludowej są większymi realistami. Kontentują się posłuszeństwem swoich pisarzy, ale zaangażowania od nich nie wymagają.

Władcy ci ulegają zresztą złudzeniu gdy myślą, że w posłusznych pisarzach zyskali oddanych wykonawców. Jeżeli komuś z dygnitarzy, przydzielających obecnie papier, pośliznie się noga, panegiryci rzucą się nań pierwszy jak stado szerszeni. Taki jest odwieczny porządek rzeczy. Saint-Simon sformułował go w wymownej przenośni: *Il faut tenir le pot de chambre au ministre en puissance, pour le lui renverser aussitôt sur la tête quand le pied lui aura glissé.*

Nie wszyscy jednak kapitulują. Postawieni wobec wyboru między chwaleniem policji i zmniejszeniem zarobków, młodzi pisarze stają się hardzi, knąbrni, nieposłuszni. Nie znajdując miejsca w przepisany porządku, przybierają postawy społeczne, cyniczne, nawet chuligańskie. Jest to na pewno lepsza szkoła pisanie. Zbuntowani nie piszą bowiem dla władz, ale odwołują się do czytelników i muszą nadać swemu rekursowi ujmującą formę, podeprzeć go przekonywującymi argumentami. Zuchwalstwo ich budzi zapewne podziw rówieśników, trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że ich młode talenty zostały wypaczone, okaleczone przez warunki życia i zmniejszające się możliwości druku. Rozczarowane, cyniczne i wyzywające stronicie młodych autorów przypominają mi słowa poety Żemczużnikowa, napisane w carskiej Rosji, w latach najczarniejszej reakcji:

*Nie stolko starosti niedużnyje goda,
Kak mołodost' tiepier' jest' tiagostnoje bremja.*

Do czego zmierza ten system? Nieznany w Rosji i w innych republikach ludowych, jest on polskim wynalazkiem. Jaki jest jego sens? Wszyscy dyktatorzy, nie wyłączając proletariackich, dbają, aby nikt nie wiedział, co myślą, i jakie będzie ich następne posunięcie. Jesteśmy więc skazani na domysły.

Jedni sądzą, że ograniczenie przydziału papieru jest taktyką obliczoną na długą metę. Partia nie potrafiła podporządkować sobie całkowicie literatury, chciały więc ograniczyć jej zasięg i wpływ. Uderzając w młode pokolenie piszących, deprawując charaktery i wypaczając talenty zamierza pozbawić literaturę polską jej tradycyjnego autorytetu moralnego.

Tłumaczenie to nastęrcza wątpliwości. Współzycie Rzplitej Ludowej z literaturą było dotąd na ogół pokojowe. Prócz kilku — wybitnych wprawdzie — wyjątków pisarze nie uciekali z kraju, chwalili sobie tamtejsze warunki egzystencji, nie knuli spisków i niezadowolone, kiedy mieli do niego powody, wyrażali oględnie. Liczni, i nie najmniejsi, zdawali się całkowicie oswojeni. Dyktatura komunistyczna odniosła na tym polu większe sukcesy niż np. w dziedzinie gospodarczej. Nawet najbardziej zaślepieni fanatycy partyjni muszą sobie z tego zdawać sprawę. Taktyka spychająca do opozycji ogół piszących nie miałaby w tych okolicznościach większego sensu.

Dla innych ograniczenie przydziału papieru jest skutkiem trudności gospodarczych. Władcom Rzplitej Ludowej trzeba pilnie pieniędzy, papier zaś jest jednym z nielicznych produktów krajowych, na który jest popyt za granicą. Postanowili więc ograniczyć druk książek i wymienić kulturę na trochę waluty.

I takie tłumaczenie budzi wątpliwości. Ile bowiem można zaoszczędzić na druku książek, i co można za to uzyskać? Jakkolwiek szacowalibyśmy te zyski, byłyby to zawsze sumy bardzo skromne. Jeżeli tłumaczenie to jest słuszne, Rzplita Ludowa byłaby w położeniu chłopca sprzedającego łyżkę i miskę. Położenie jej musiałoby być istotnie desperackie, bo nikt bez naglącej przyczyny nie wystawia sobie równie wymownego świadectwa nieudolności gospodarczej.

Pepełniamy być może grubą omyłkę szukając sensu w posunięciach będących tylko gniewnymi odruchami, kaprysmi dzierżących władzę i które nigdy innego sensu nie posiadały. Wszystko to są zresztą tylko spekulacje dokoła zjawiska, które stoi przed nami niepokojące, nowe, oderwane od tego, co słyższeliśmy dotąd i co wydawało się nam mniej więcej znane.

Niepokój przed niezrozumiałym znajdujemy również w słowach Jarosława Iwaszkiewicza, który lepiej od nas zna mechanizm władzy w Rzplitej Ludowej. Ale i Iwaszkiewicz nie jest marksista.

Prawdziwi marksiści potrafiliby być może rozwiązać wątpliwości i ustawić nowe zjawisko w domniemanym porządku swego systemu.

Nieraz już zza linii demarkacyjnej przychodziły wiadomości uchylające się od naszego zrozumienia. Przed 27 laty zdumieni i przerażeni czytaliśmy o moskiewskich procesach, które i dziś, po tylu rewelacjach i objaśnieniach, robią wrażenie ciemności w południe. W Paryżu spotkałem wówczas francuskiego komunistę, wracającego właśnie z Moskwy. Znałem go już przedtem. Od niego słyszałem po raz pierwszy o przygotowaniach Rosji do wojny i o masowej fabrykacji broni pancernej, która miała odegrać tak wielką rolę w kilka lat później. Myślałem, że procesy i jego wytrąca z równowagi. Był jednak spokojny i pewny siebie. Kiedy powiedziałem mu o niepokoju, jaki odczuwam czytając sprawozdania z moskiewskich procesów, odezwał się z poczuciem przewagi umysłowej:

— Są to typowe reakcje burżuazyjne. Zapominacie, że dla nas, marksistów, wymiar sprawiedliwości jest tylko bronią w walce klas.

Gdybym spotkał go dziś, powiedziałby zapewne, że książki nie mają wartości autonomicznej i są tylko narzędziem walki. Jeżeli w danych okolicznościach pieniądze są narzędziem skuteczniejszym, należy bez wahania zamienić książki na walutę.

Lecz czy w rozumowaniu takim nie ma jakiegoś „odchYLENIA”? Walka nie jest miarą wszystkich rzeczy. Ważniejsze odeń jest zwycięstwo, ale czy zwycięstwo to byłoby kompletne, gdyby triumfujący proletariatus wziął w posiadanie świat, w którym nie byłoby nic do czytania, i w którym nawet Lenin nie znalazłby swego ulubionego Balzaca?

Paweł HOSTOWIEC

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec

UKAZUJĄCE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.

Redakcja, administracja, drukarnia:
Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301

Wenecja ocalona

I

Nota historyczna do pięknej, choć ledwie zarysowanej w konturach, tragedii Simone Weil *Venise sauvée* objaśnia piórem samej autorki: „Markiz Bedmar, ambasador hiszpański w Wenecji, uknuł w roku 1618 spisek zmierzający do oddania Wenecji w ręce króla hiszpańskiego, który podówczas był panem całych niemal Włoch. Chcąc pozostać w cieniu z uwagi na swoją pozycję ambasadora, powierzył wykonanie planu Renaud'owi, szlachcicowi francuskiemu w starszym wieku, oraz Pierre'owi, piratowi prowansalskiemu, kapitanowi i żeglarzowi o znanym szeroko imieniu. Renaud wziął na siebie przygotowania, Pierre operacje wojskowe. Skaptowano dużą część wojsk najemnych stacjonowanych w Wenecji i wielu oficerów, przeważnie cudzoziemców w służbie Wenecji. Plan przewidywał działanie nocą przez zaskoczenie: miano zająć równocześnie punkty newralgiczne miasta, wznecając pożary we wszystkich dzielnicach dla posiania zamętu, i wycinając w pień skłonnych do oporu. Wybrano noc w wilię Zielonych Świąt. Jaffier pokrzyżował spisek, którego był jednym z przywódców, wyjawiając jego plany Radzie Dziesięciu z litości dla miasta. Niektórzy historycy, głównie hiszpańscy, przeczyli autentyczności spisku, używając jednak dość słabych argumentów. W każdym razie jest pewne, że Rada Dziesięciu posłała na szafot kilkaset osób; i że Bedmar musiał opuścić Wenecję”.

O autentyczności spisku wątpli się po dziś dzień. Sceptycy przypominają, że *Serenissima* wstawiała się (prócz wielu innych rzeczy) kronikarzami i dziejopisami nie zanadto opancerzonymi przeciw podszeptom (lub nakazom) mistyfikacji. Zwraca się

uwagę, że oficjalna wersja wenecka ujrzała światło dzienne dopiero w czterdzieści dwa lata po wypadkach (Battista Nani: *Historia della Repubblica Veneta*). Ale wszystko to jest dla naszych celów równie mało ważne, jak mało ważne było dla celów postawionych sobie przez Simone Weil. Obraz narzucił, pod wpływem *Historii* Naniego, Saint Réal w *Conjuration des Espagnols contre la République de Venise en 1618*. Korzystał zeń Thomas Otway, pisząc *Venice Preserved or A Plot Discovered* (1682). Byli nim zafascynowani Goethe i Hofmannsthal. W obrębie tej tradycji poczęła się również *Venise sauvée*.

Pierwsze bruliony powstały w roku 1940. Jak ogromną wagę Simone Weil przywiązywała do swojej tragedii, świadczy fakt że w jej papierach znaleziono około pięćdziesięciu wersji wielkiego monologu Jaffiera w trzecim akcie. Klęska Francji przerwała pracę nad *Wenecją ocaloną* na dwa lata. W roku 1942, już w Londynie, Simone Weil kazała sobie przysłać z Paryża wszystkie zeszyty ze szkicem tekstu i notatkami. Śmierć wytrąciła jej pióro z ręki.

II

W notatkach uderza zdanie: „Podjąć, po raz pierwszy po Grekach, tradycję tragedii w której bohater jest doskonały”.

Bohater tragedii greckiej nie był doskonały. Doskonały był jego los, doprowadzony do spełnienia. W tym sensie linia *Venise sauvée* jest istotnie „grecka”. W przeciwieństwie do Otway’a, u którego słychać *sound and fury* świata i jego ślepych sił (mimo że epilog *Venice Preserved*, ze śmiercią zadaną zdradzonemu przez zdrajcę i wymierzoną przez zdrajcę samemu sobie, nawiązuje także do klasycznego zatrzaśnięcia się nieuchronnej obręczy), Simone Weil ograniczyła się do jednej nuty. Jest nią zderzenie *Wille zur Macht* spiskowców z uroczą i bezbronną (bo nie podejrzewającą spisku) *polis*. Ocalenie Wenecji nabiera nieodwracalnej (a więc tragicznej) ambiwalencji. Jaffier jest zbawcą miasta. I Jaffier jest zdrajcą swych przyjaciół. Pozostanie jednym i drugim na zawsze. Kimś obiektywnie wzniosłym i szlachetnym, i kimś obiektywnie odpychającym i godnym pogardy; kimś obiektywnie niewinnym i kimś obiektywnie winnym. Samotnym i oniemiałym ze zgrozy zbrodniarzem, przeklętym przez tych których mimowoli wydał w ręce śmierci; i samotnym w swojej rozpaczcy odkupicielem, odtrąconym przez tych których świadomie wyrwał z rąk śmierci, zmiażdżonym przez miasto które uratował. Znowu króluje morzom i ludziom Wenecja, bezpieczna jak wczoraj, ustami przebudzonej Violetty witająca świt nad laguną i

przygotowania do festynu. Tak toczy się świat, tak wpisany jest weń tragicznym i doskonałym kołem los człowieka stojącego wpoprzek jego drogom. Inna notatka Simone Weil mówi: „Jaffier. Trzeba wpoić na chwilę uczucie, że właśnie *dobro* jest anormalne. I w samej rzeczy tak właśnie jest na tym świecie. Nie posiada się świadomości tego: daje ją sztuka. Anormalne lecz możliwe, i to jest dobro”.

Ale posunęliśmy się za daleko, napomykając o wypadkach i osobach które wymagają dokładniejszego przedstawienia. Tragedia zbudowana jest wzorowo. W akcie pierwszym następuje zawiązanie spisku. W akcie drugim misja wprowadzenia go w czyn zostaje powierzona dwóm przyjaciołom, Jaffierowi i Pierre’owi. Jaffier przeżywa moment wahania: „Poprzedniej nocy, gdy mówił Renaud (mózg kondotierów), nie umiałem powstrzymać uczucia litości na myśl o złupieniu miasta”. Pierre: „A więc dlatego zbladłeś! Ależ to nic nie znaczy. Wielcy ludzie odczuwali nie raz przebłysk litości, wylewali nawet łzy, mając do spełnienia wielkie dzieło. Lecz żadnemu z nich nie zadrżała ręka. Rzymianie płakali nad Kartaginą, a przecież ją zburzyli. Zło które uczynimy jest konieczne, zresztą będzie krótkotrwałe i nikłe. Litość nie powstrzymała nigdy nikogo. Jest to powierzchowny odruch wrażliwości, który często wyraża słabość najbardziej wielkodusznych, ale nigdy nie przenika do dna duszy. Kto mówi że porzucił działanie powodowany litością, używa tego słowa dla zamaskowania strachu”. Renaud, niepewny dotąd Jaffiera lecz wyzbywszy się obaw dzięki gwarancjom Pierre’a, wygłasza coś w rodzaju długiej lekcji z filozofii gwałtu. Jaffier reaguje „dwuznacznymi słowami”: „Jestem całkowicie przekonany o prawdziwie pana wywodów i sprawię się jak należy”. Renaud widzi teraz że „Jaffier jest stworzony do wielkich rzeczy”, nie może się jednak oprzeć zdumieniu że „nie widzi w nim radości w obliczu fortuny jaka go oczekuje”. Pojawia się przelotnie Violetta, córka sekretarza Rady Dziesięciu, symbol najczystszej młodości i równocześnie symbol Wenecji — olśniewającej i szczęśliwej, nieświadomej zagrożenia i losu jaki gotują jej w podziemiu wrogowie. („Niewinność szczęśliwa — notuje autorka. — Coś także bezgranicznie drogocennego. Ale szczęście nietrwałe, kruche, szczęście zależne od przypadku”). W akcie trzecim Jaffier, zdjęty litością i wierząc obietnicy Rady Dziesięciu że zemsta nie dotknie spiskowców, odkrywa zamiar oddania miasta pod panowanie hiszpańskie. Racja Stanu każe Radzie Dziesięciu złamać tę obietnicę. Spiskowcy muszą umrzeć, Jaffier może opuścić Wenecję z trzosem złota. Oszukany, wypowiada swój wielki monolog w scenie z ojcem Violetty. Nie wiadomo czy przyjmie banicję, czy też pchnięty przez strażników w szeregi walczących

resztek swych zdradzonych towarzyszy, zginie od skrytobójczego ciosu sztyletem w plecy. Wiadomo tylko to, co mówi o sobie sam: „Nadchodzi śmierć by mnie zabrać. Przeminał wstyd. W moich niewidzących już oczach jakież piękne jest miasto! Żegnaj bez nadziei powrotu miejsca żywych. Nie ma świtu gdzie idę, ani miasta”. Ale jest świt dla Violetty, która zamyka tragedię inwokacją do wstającego dnia.

„W pierwszym akcie jeden tylko rytm — impet spisku. W drugim dwa — ten impet i nieruchomość Jaffiera. W trzecim — nieruchomość. Moment zamyślenia Jaffiera pod koniec drugiego aktu jest chwilą, w której przeniknie weń rzeczywistość gdyż był uważny... W drugim akcie dać odczuć, że wycofywanie się Jaffiera jest nadprzyrodzone. Jaffier. Jest rzeczą nadprzyrodzoną wstrzymanie czasu. Właśnie tu wieczność wkracza w czas. Wierzyć w realność świata zewnętrznego i kochać ją jest jednym i tym samym”.

Są to glossy autorskie Simone Weil z jej zeszytów. Lecz znowu ryzykujemy wybiegnięcie zanadto wprzód, tym razem w interpretacji. Wróćmy do tekstu. Wszystko jest w nim szkieletem, nieucieleśnioną jeszcze wizją, projektem naniesionym prowizorycznie na papier, z wyjątkiem dwóch wielkich monologów: Renauda w drugim akcie i Jaffiera w trzecim. Między tymi dwiema wieżyczkami Simone Weil rozpięła *Wenecję ocaloną* jak obraz miasta wyłaniający się stopniowo z mroku, otrząsający z siebie noc.

III

Renaud mówi do słuchającego go Jaffiera:

„Niech pan uważa to miasto i wszystkich jego mieszkańców za zabawkę, którą można rzucić gdzie się chce, którą można roztrzaskać na drobne kawałki. Musiał pan z pewnością dostrzec, że taki właśnie jest nastrój wojsk najemnych a nawet oficerów którzy do nas dołączyli. My, rzecz prosta, znajdujemy się ponad tym wszystkim: my tworzymy historię. Jakaż niewysłowiona rozkosz patrzeć dziś na tych Wenecjan, tak dumnych, wierzących że istnieją. Są przeświadczeni że każdy z nich posiada rodzinę, dom, dobytek, książki, rzadkie obrazy. Biorą siebie samych na serio. A odtąd nie istnieją już, są cieniami. Tak, wszystko to sprawia mi przyjemność, ale dla nas jest to przyjemność drugorzędna. Dla żołnierzy natomiast — jedyna. Cóż ich obchodzi historia? Dzisiejsza noc nie przyniesie im ani fortuny, ani chwały. Jutro będą żołnierzami jak wczoraj. Trzeba im dać to miasto niby zabawkę na jedną noc, może na następny dzień. Pan przede

wszystkim, pan jako dowódca, niech się nie waży chronić swoich przyjaciół weneckich. Oficerowie mogliby pana naśladować, a takie gesty są zgubne dla przedsięwzięć podobnych naszemu. Oziębiamy zapał żołnierzy. Muszą oni mieć prawo zabijać wszystkich którzy stawiają im opór, pozbawiać życia każdego kogo spodoba im się ukatrupić. Tylko to prawo daje działaniu ów piorunujący charakter, rękojmię zwycięstwa. Ale należy tak postępować nawet w interesie Wenecjan. Tych Wenecjan, którzy jutro ockną się w skórach poddanych króla hiszpańskiego. Należy podciąć ich odwagę jednym ciosem i raz na zawsze dla ich własnego dobra, by potem już wymusić na nich posłuszeństwo bez przelewu krwi. Nie osiągnie pan tego w inny sposób. W samej rzeczy, cokolwiek mogłem być powiedzieć w moim przemówieniu do spiskowców, prawie wszyscy nienawidzą tu Hiszpanii i są namiętnie przywiązani do swojej ojczyzny i do swojej swobody, tak lud jak szlachta. Jeśli zatem nie podepcze pan i nie zmiażdży ich odwagi raz na zawsze, wzniecą przedzie czy później bunt: jego zdławienie kosztować będzie więcej krwi i przyniesie większą szkodę pana imieniu, niż okropności łupiestwa. Okrucieństwo dzisiejszej nocy nie splami pana reputacji, wszyscy wiedzą czym jest swawola żołnierzy podczas plądrowania miasta. Położy pan kres tej swawoli, gdy zajdzie dość daleko; a ponieważ to pan przywróci porządek i bezpieczeństwo po rozpanoszeniu się terroru, podbici będą panu ślepo posłuszni. Będzie to posłuch niechętny, lecz właśnie tak pragnie być słuchany prawdziwy dowódca. I prawie natychmiast pana pokochają, gdyż tylko od pana oczekiwać będą swoich nieszcześć i łask, a kocha się tego od kogo zależy się całkowicie. Trzeba jednak by ich ta noc zmieniła. Niech pan na nich spojrzy: dumni, wolni, szczęśliwi. Trzeba by jutro żaden z nich nie śmiał podnieść oczu w obecności najpospolitszego z pana żołdaków. Potem będzie panu łatwo rządzić miastem, w spokoju i ku własnej chwale, oczywiście jeśli pan nie zaniedba upokorzyć wysoko urodzonych, co przerazi lud, i rzucić mieszczanom jakiś ochłap którego nie mogli uzyskać z rąk karmazynów: mam na myśli urzędy pozbawione istotnego znaczenia. Dla patrycjuszki nie będzie więcej miejsca; ci, którym duma wzbraniała rozmawiać z cudzoziemcami, nie będą mogli przedsięwziąć niczego — ani handlu, ani zaślubin, ani podróży — bez wysiadania godzinami w przedpokojach hiszpańskich w oczekiwaniu na zezwolenie. Trzeba by dzisiejszej nocy i jutro ludzie poczuli tu że nie są więcej niż zabawką, by zajrzeli w otchłań zguby. Trzeba by usunęła im się ziemia spod nóg natychmiast i na zawsze, by nie potrafili odzyskać równowagi poza posłuszeństwem. Wtedy, choćby najtwardsze miały być państwa rządy, ci sami którym pana żołnierze zabili ojca lub syna,

zgwałcili siostrę lub córkę, będą patrzeć na pana jak na boga, uczepią się pana jak pacholę matczynej sukni. Ale trzeba by dzisiejszej nocy nic nie zostało uszanowane i oszczędzone, by wszystko co dla nich jest święte i wieczne, by ich ciała i ciała ich najbliższych, by wszystko to na ich oczach stało się zabawką podrzucaną przez wielkie dzieci w mundurach zdobywców. Trzeba by jutro wszyscy którzy tu mieszkają nie wiedzieli więcej gdzie się znajdują, by nie mogli rozpoznać niczego dokoła, by nie mogli rozpoznać samych siebie. Oto dlaczego prócz tych którzy będą stawiać opór, i których naturalnie należy wyciąć w pień bez pardonu, rzeź powinna iść nieco dalej: ten i ów z ocalałych niech zachowa w pamięci obraz najdroższych mu istot, pozbawionych życia lub czci w jego oczach. Potem nic już nie zagrozi nam dalszej drogi, wszystko będzie nam wolno”.

Jaffier (przerywa): „Gdy widzę to miasto, tak ciche i pogodne, i myślę że w ciągu jednej nocy my, ludzie nieznani, staniami się jego panami, wydaje mi się że śnię”.

Renaud: „Tak, śnimy. Ludzie czynu i przygody zawsze śnią; wolą sen od rzeczywistości. Ale zmuszają orężem do śnienia swoich snów wszystkich pokonanych. Zwycięzca żyje własnym snem, zwyciężony żyje snem cudzym. Wszyscy mieszkańcy Wenecji, którzy przeżyją dzisiejszą noc i jutrzejszy dzień, nie będą do końca swych dni wiedzieć czy śnią czy czuwają na jawie. Ale od jutra ich miasto, ich wolność, ich potęgą wydadzą im się jeszcze bardziej nierealne od snu. Oręż czyni sen silniejszym od rzeczywistości; właśnie to osłupienie wywołuje uległość. Trzeba by od jutra uwierzyli oni, że byli zawsze poddani jarzmu Hiszpanii, że nie byli nigdy wolni. Niebo, słońce, morze, kamienne pomniki tracą dla nich wszelką realność. Co do ich dzieci, to urodzą się już wykorzenione. Ale cios musi być gwałtowny, by ogłuszonym odebrał na zawsze poczucie rzeczywistości. Dobrze że noc naszego przedsięwzięcia jest nocą poprzedzającą święto, że świt który miał być świtem święta oświetli ich kłeskę. Znakomita tresura. Podniosą się jutro z legowisk na powitanie czegoś innego niż święto. Będzie ponadto dobrze jeśli położywszy kres swawoli wojska, przywróciwszy porządek i bezpieczeństwo, pokaże pan twardą rękę w rządzeniu. Trzeba by zmieniło się całe ich życie, by zmienił się ich dzień powszedni. By czuli codziennie że nie znajdują się już we własnym domu lecz w cudzym, na łasce i niełasce innych; tylko tak będą posłuszni bez przelewu krwi. W przeciwnym razie pogodziliby się z utratą wszystkiego w ciągu jednej nocy? Należy zniszczyć wiele kościołów i fresków; ich miejsce zajmą kościoły w stylu hiszpańskim. Oglądając bez przerwy, nawet gdy szukają Boga, to co jest przedmiotem ich nienawiści, zrozumieją że są stworzeni do posłuszeństwa. Trzeba

absolutnie obłożyć zakazem ich pieśni, ich widowiska, ich święta. Wyślemy ich malarzy i muzyków na dwór madrycki, gdzie nikt nie poskąpi im estymy. Trzeba zaszczerpić w sercach Wenecjan poczucie obcości we własnej ojczyźnie. Wykorzystać narody podbite było zawsze i będzie zawsze polityką zdobywców. Trzeba zabić miasto do tego stopnia, by jego obywatele uzmysłowili sobie że jakiegokolwiek powstanie, nawet udane, nie pozwoli mu podnieść się z grobu; wtedy ugną karki. Pana wola, pana kaprysy, pana sny będą odtąd dla nich jedyną rzeczywistością. Stanie się pan jednym z tych, których snem muszą żyć narody. Kogo zechce pan ujrzyć na marach, ten umrze. Każdy przedmiot, każdy dzień przypomni byle Wenecjaninowi — to konieczne — że żyć będzie dopóty, dopóki pan woli go żywym niż umarłym. I również ich życie będzie modelowane po pana myśli. Ich życie i ich śmierć będą tylko pana snem. Gdzież los świetniejszy od tego? Taki jest słodki owoc zwycięstwa! Jakież pan musi być szczęśliwy!”.

I właśnie wtedy padają „dwuznaczne słowa” Jaffiera: „Jestem całkowicie przekonany o prawdzie pana wywodów i sprawię się jak należy”.

IV

„Dwuznaczność”, o której mówi Simone Weil, łatwiej zrozumieć gdy się pamięta że pod koniec monologu Renauda tragedia dotyka (niepostrzeżenie w pierwszej chwili dla czytelnika) punktu zwrotnego: Jaffier, dzięki temu że był „uważny”, zostaje „przeniknięty przez rzeczywistość”. Jego „wycofywanie się” (ciągle dla nas niewidzialne) jest „nadprzyrodzone”, gdyż coś nadprzyrodzonego ma w sobie „wstrzymanie czasu”. „Wieczność wkracza w czas”: wierząc w realność świata zewnętrznego, tym samym ją kochamy. Zanim wolno będzie powiedzieć co się tu naprawdę stało (nie jest to jeszcze jasne nawet dla Jaffiera), można przyjąć że w tym decydującym momencie jakiegoś tajemniczego drgnienia odzywa się w duszy człowieka namaszczonego na zdobywcę i niszczyciela. Jest ono źródłem „dwuznaczności”, jakby ucho pojętne dotąd ucznia złowiło naraz w naukach Mistra fałszywy ton czy podejrzany zgrzyt. „Uważny” Jaffier przeczuwa już mgliście inną rzeczywistość, niż ta którą roztacza przed nim Renaud; ale wciąż trwa w transie wielkiej wizji, „kursu wyższej polityki” (jak wykład Renauda nazywa w przypisach autorka). Dlatego jest sam nieświadomy, że jego słowa dźwięczą „dwuznacznie”. Kiedy mówi: „Jestem całkowicie przekonany o prawdzie pana wywodów i sprawię się jak należy”, otwierają się dwa

podteksty. Jeden brzmi: „Przeniknął mnie pan do głębi logiką swej prawdy; biada Wenecji!”. Drugi: „Przeniknąłem pana do głębi intuicją mojej prawdy; ocalić Wenecję!”. Nic dziwnego że Renaud „nie dostrzega w nim radości w obliczu fortuny jaka go oczekuje”. Nic dziwnego, skoro tu właśnie zawiązuje się węzeł tragedii: zło jest normalne i logiczne; dobro jest anormalne, lecz możliwe.

Co się naprawdę stało w owej chwili, określa trafnie i precyzyjnie włoska tłumaczka *Wenecji ocalonej*, Cristina Campo: „Podobnie jak dwa wielkie eseje *L'Iliade ou le poème de la force* i *L'amour de Dieu et le malheur*, *Wenecję ocaloną* zapłodniła naczelną troska Simone Weil: ukrzyżowanie życia ludzkiego między snem, stanem gwałtownym w który wtrąca supremacja siły, i czystą uwagą zdolną do uwolnienia od tego snu. Ponieważ niewzruszona uwaga bliska jest świętości, Simone Weil przywraca jej dawną nazwę: miłości nadprzyrodzonej”. I dalej: „Ci co śnią nocą — pisał ulubiony przez Simone Weil bohater współczesny, T.E. Lawrence, w *Seven Pillars of Wisdom* — budzą się rano by odkryć próżność swych snów. Ale ci co śnią w dzień są ludźmi niebezpiecznymi, gotowymi do odgrywania na jawie swego snu aż stanie się możliwością”. (Można by tu także przytoczyć, pamiętając oczywiście o kontekście dramatu, fragment monologu Robespierre'a za *Śmierci Dantona* Büchnera: „Nie jest-że nasza jawa snem bardziej jasnym? Nie jesteśmy może somnambulikami? A nasze działanie czyż nie jest takie jak we śnie — tyle tylko że bardziej wyraziste, bardziej zdecydowane, bardziej napięte? Kto uczyni nam z tego zarzut? W ciągu godziny nasz duch dokonuje więcej obrotów myśli, niż ich może urzeczywistnić w ciągu lat leniwy organizm naszego ciała. Grzech tkwi w myśli. Jeśli myśl przemienia się w czyn, jeśli ciało staje się jej posłuszne, jest to kwestia czystego przypadku”). Tak spojrzawszy na *Wenecję ocaloną*, odnajdujemy w niej klasycznie prosty temat: miasto doskonałe, które ma być zepchnięte w potworny sen siły; i człowiek uważny, który nagle *widzi* je i ocala.

Jaffier nie ocala tedy Wenecji tylko z litości. Jest zakochany. I jest przerażony. Jest zakochany w rzeczywistym mieście, które spiskowcy skazali na unicestwienie. I jest przerażony wściekłym i wrogim miastu snem, który za chwilę będzie spuszczone z łańcucha. Niezwykłość monologu Renauda nie polega bynajmniej na tym że Simone Weil, wiedząc już dostatecznie dużo o zorganizowanej i bezlitosnej sile *nowoczesnych* konkwistadorów, dała w nim zwięzły podręcznik techniki podboju i władania. To — zwłaszcza dzisiaj, w dwadzieścia przeszło lat od okresu wykluczenia się tragedii — nie byłoby aż tak zastanawiające. Punkt ciężkości ukryty jest w wyznaniu Renauda: „Tak, śnimy. Ludzie

czynu i przygody zawsze śnią; wolą sen od rzeczywistości. Ale zmuszają orężem do śnienia swoich snów wszystkich pokonanych. Zwycięzca żyje własnym snem, zwyciężony żyje snem cudzym” Renaud sparafrazowałby zapewne tak słynne powiedzenie Szekspira że „historię tworzą szaleńcy, a spisują pedanci”: „Historię tworzą ci którzy śnią na jawie, znoszą pokornie ci których siłą zmuszamy do śnienia naszych snów, spisują ci którym ją dyktujemy, a usiłują powstrzymać ci...”. Kto usiłuje powstrzymać *taką* historię? Ci (odpowiedziałaby Simone Weil), którzy „wierzą w realność świata zewnętrznego i kochają ją”. Najbardziej przenikliwie jest tu odwrócenie terminów: pozorny „realista” Renaud, rozpinający żagle na oceanie snu przekładanego nad rzeczywistość; pozorny „utopista” Jaffier, odkrywający w momencie najwyższej uwagi rzeczywistość drogocenniejszą od snu. Nie poza rzeczywistością, lecz w niej szuka oparcia Jaffier. I jeśli jego „czystą uwagę” uznamy za bliską „świętości”, nadając jej miano „miłości nadprzyrodzonej”, to tylko w takim sensie w jakim „mistycyzm” Simone Weil nazwiemy „realistycznym” i „racjonalistycznym”. Kto sądzi (jak, na przykład, eseista włoski Chiaromonte) że „żydowska Antygona” była raczej „racjonalistką mistyczną” niż „duszą religijną”, nie pominie z pewnością *Wenecji ocalonej* w swoim arsenale dowodów.

V

Po zdradzie Jaffiera i aresztowaniu spiskowców Renaud, „ogłocony z Racji Stanu, nagi”, wybucha: „Nie będę zatem nigdy żył! Nie żyłem nigdy, gdyż nigdy nie rządziłem. To niemożliwe, trzeba żyć przed śmiercią. Zabiją mnie tam, w więzieniu, nim wstanie dzień. Nigdy więcej, nigdy, nie będę panował... Rządzić państwem wielkim jak ziemia: do tego byłem stworzony, tego pragnęła moja dusza. Ani przez dzień nie posiadałem mego losu. Co było moim snem, nie spełni się nigdy. Sen jest skończony, nadchodzą by mnie zabić. Nosilem w sercu, w sekrecie, władzę nad światem; nie ma we mnie nic poza nicością; jestem niczym. Tam, w więzieniu, nim wstanie dzień, za chwilę, dwie ręce kata będą moim królestwem. Czemu, czemu? Drżą pode mną nogi. Jestem słupem lodu. Wszystko czego pragnąłem, rozwiewa się na zawsze”.

Jest to preludium do trzeciego aktu. Następuje zmiana ról. Jeszcze kilka godzin temu Racja Stanu „realisty” Renauda zagrażała śmiertelnie Wenecji. Teraz, zakuta w kajdany, rzucona na kolana, wyznaje własną bezsilność i rozpacz. Wyznając je, ujawnia czym były do niedawna jej siła i nadzieja; nie wiedzą o

obiektywnym i racjonalnym stanie rzeczy, lecz połączeniem subiektywnego impetu działania i irracjonalnej żądzy władzy za wszelką cenę; nie szacunkiem dla rzeczywistości, lecz umiejętnością manipulowania wypadkami i ludźmi, pojmowanymi jako bezkształtna i bezduszna materia w rękach które nigdy nie знаły drgnienia litości i człowieczeństwa.

Jej miejsce zajmuje inna Racja Stanu, bardziej uzasadniona ale niemniej bezlitosna. Sekretarz Rady Dziesięciu zwraca się do Jaffiera, wyrzucającego mu podeptanie paktu: „Ojcowie Miasta, po całonocnych deliberyacjach, postanowili skazać na śmierć wszystkich zbrodniarzy. Nikt nie odważy się oskarżyć nas o złamanie słowa: kto żyw, w Wenecji i poza Wenecją, zna naszą najwyższą dbałość o dotrzymanie obietnic. Racja Stanu zmusza nas do tego kroku. Byłoby niewdzięcznością wobec Opatrzności, której podobało się ocalić miasto za sprawą jednego ze spiskujących na jego zgubę — za Waszą sprawą, panie — zlekceważyć teraz jakikolwiek, najdrobniejszy bodaj, środek ostrożności. Bezpieczeństwo Wenecji wymaga, by zbrodniarze zapłacili za swój spisek głowami. Co do Was, panie, Ojcowie Miasta darują Wam w swej łaskawości życie. A nawet, w uznaniu dla oddanych usług, Rada Dziesięciu poleciła mi obdarować Was złotem. Lecz będziecie musieli, panie, opuścić terytorium Wenecji i nigdy więcej, pod groźbą śmierci, nie ulec pokusie przekroczenia jego granic. To wszystko co mam Wam do powiedzenia. Nie dodam ani słowa”.

Odgadujemy bez trudu co Simone Weil chciała osiągnąć tym ostrzem na ostrze. Starcie dwóch Racji Stanu (choćby nawet jedna z nich posiadała całą słuszność po swojej stronie) musi, jak dwa kamienie młyńskie, zetrzeć na proch *pietas* absolutną. „Rzeczywistość” Jaffiera nie pokrywa się z żadną z „rzeczywistości” walczących — ani z „rzeczywistością” bliskich triumfu spiskowców, ani z „rzeczywistością” ocalonej Wenecji. Jest od nich obu rozleglejsza. Dlatego nie długo cieszy się swym zwycięstwem, czeka ją natychmiastowa porażka. Nie, nie można ocalić i miasta i jego zaślepionych furią władzy wrogów. Spiskowcy są spiskowcami: „dwie ręce kata” uprzytomnią im to niebawem po raz ostatni. Zdrajca jest zdrajcą: kiesa wypchana weneckimi dukatami naznaczy go tym piętnem po wieczne czasy. Zbawcą (przynajmniej dla zbawionych) był tylko przez chwilę wymagającą ocalenia miasta. Mógłby nim pozostać (przynajmniej dla siebie) na zawsze, gdyby potrafił wzniesić się ponad swój los. Ale nie byłby wówczas spadkobiercą bohaterów tragedii greckiej, która żądała by spełniający się los odcinał wszystkie wyjścia jak nieodwołalnie domknięte koło.

Jaffier bombarduje więc swoim lamentem mur milczenia.

Jest to milczenie nie tylko sekretarza Rady Dziesięciu, lecz całego świata. Monolog ma wyraźną, dokładnie przemyślaną linię dramatyczną: zaczyna się od przekleństw, kończy się zaklęciami, niemal żebranią. „Po to ocaliłem tych nędzników? Wczoraj byli zgubieni: dla nich śmierć i niewola, dla mnie chwała i fortuna; wynik był pewny. Z litości wyrzekłem się wszystkiego by ich uratować, a Wy panie mówicie mi, Wy... nie mogę jeszcze uwierzyć! Wy śmiecie mi donieść, że zginą moi towarzysze? Umrze mój przyjaciel, jedyny mój przyjaciel? Tchorzu, morderco, kłamco! I śmiecie mi patrzeć w twarz, patrzeć w twarz dobroczyńcy który ocalił Wenecjan z litości? Ach, oszukaliście mnie! Jak podle mnie okłamano. Ale to nie koniec. Popamiętajcie mnie, niewdzięcznicy. Popłynie teraz krew. Ach, bluźnie krew, spłynie pod moją szpadą... Rzuciliście mnie na kolana? Tchorze, spodziewacie się zmusić mnie do suplik? Nie usłyszycie ich z moich ust. Wolę śmierć i torturę, dla mnie i dla moich przyjaciół, dla wszystkiego co kocham na tym świecie. Tak, raczej tysiąc śmierci niż poniżyć się przed niegodziwcami. Poczekajcie, nadejdzie chwila kary! Runie na moich oczach to przekłete miasto — dumne i tchorzliwe, okrutne i podłe. Ujrzę płomień, który je pochłonie od końca do końca... Sprawiedliwe nieba zmiążdżą karzącą dłońią krzywoprzysiężców. Jeśli się zawahają, uczynię to sam. Jedynym moim celem będzie odtąd zguba Wenecji. Cieszę się, panie, że jesteście jeszcze wśród żywych: wszystko co kochacie, rozsypie się na Waszych oczach; potem i Wy zginiecie, złorzecząc życiu i śmierci; zginiecie jak nędznik, bym ja zakosztował smaku pociechy”. To jest ton pierwszy. Drugi, jak pomost prowadzący od wybuchu gniewu do imploracji, zwraca się przyciszony i pełen bólu do niewidocznego przyjaciela na mękach. Po nim dochodzi do głosu błaganie. Jaffier, tłumacząc cierpieniem „brak rewerencji”, prosi o „litość za litość”: chce umrzeć zamiast przyjaciół. Jego słowa pozostają bez odpowiedzi. Wraca na chwilę nuta przekleństwa. „Niebo, które błyszczysz nad miastem, morze, kanały, marmury pomieszane z wodą, mówię do was, nie do ludzi, gdyż ludzie nie pojmują. Ja, ten co ocalił wasze splendory, ginę za was; bądźcie przekłete, niech i was ogarnie nicość”. Znowu błaganie, w którym pojawia się nawet bardzo ludzki akcent małoduszności: jeśli nie może umrzeć zamiast przyjaciół, niech przynajmniej jego przyjaciele umrą nie wiedząc że ich zdradził. I ta prośba okazuje się daremną.

Raz już Jaffierowi wydawało się, że śni. Było to wówczas, gdy Renaud rozsznuwał przed nim „sen mocy”. Teraz czas na sen niemocy. „Będę zatem musiał błąkać się całe życie na pustyni? Czyżbym śnił? Przestałem być człowiekiem? Zawsze może byłem tym, kim jestem dzisiaj”. Po namyśle: „To ja? Byłem nie-

gdys obsypany zaszczytami, otoczony czcią i lękiem? Byłem niegdys kochany przez przyjaciela? Sniłem. Wszystko to sen. Byłem zawsze tchórzem jak dziś". Rozpacz dotyka wreszcie dna: „Przyjacielu mój, łamią cię kołem. A ja, oto ja zaklinam na próżno sługi twego kata. Przyjacielu, przyjacielu mój, ty krzyczysz; słyszysz twoje krzyki; och, być głuchym! Boże, nie mogę umrzeć ni żyć. Byłaby więc zbrodnią litość?". Trzeba ponownie zacytować ostatnie słowa monologu: „Nadchodzi śmierć by mnie zabrać. Przeminał wstyd. W moich niewidzących już oczach jakież piękne jest miasto. Żegnaj bez nadziei powrotu miejsca żywych. Nie ma świtu gdzie idę, ani miasta”.

VI

Klucz tkwi w zdaniu: „W moich niewidzących już oczach jakież piękne jest miasto”. Nie dowiemy się z tekstu tragedii, skąd to nagłe pojednanie z przekłętą (po ocaleniu) Wenecją. Ale w brulionie autorki znajdujemy dwie uwagi, które dają pojęcie o jej zamiarze idealnym (i niewykonalnym w ramach powziętej koncepcji scenicznej).

Pierwsza opukuje problem: „Jaffier. Męka. Jednym ze znaczeń męki jest może to że ból, hańba, śmierć, odwrócone od otoczenia, spadają na nas, choćby się tego nie chciało. Tak jakby matematycznie niedola musiała zrekompensować pokrzyżowaną zbrodnię, ażeby dusza pozostała podporządkowana złu (ale o ileż inaczej podporządkowana); na odwrót, cnota polega na zamknięciu w sobie zła które się znosi, na nie uwalnianiu się odeń przez szerzenie go dokoła postępkami lub wyobraźnią. (Akceptacja pustki). Istota czysta to tyle co niezmienna”. Następna draży głębiej: „Tylko doskonały dystans pozwala widzieć rzeczy nagie, bez przesłony walorów kłamliwych. Oto dlaczego Hiobowi potrzebne były wrzody i barłóg, by objawiło mu się piękno świata. Gdyż nie ma dystansu bez bólu. I nie ma bólu, znoszonego bez kłamstwa, który nie byłby dystansem”.

Odczuwszy na scenie (i narzuciwszy widzom) coś podobnego, Jaffier rozsądziłby tragedię naśladowującą Greków. Dlatego należy traktować te słowa jako *post-scriptum*, wypowiedziane imieniem autorki po zapadnięciu kurtyny. Nie są przez to mniej ważne dla wnikięcia w jej bieg rozumowania. Wenecja ocalona z litości i z kolei bezlitosna nie straci swego uroku i swych „walorów prawdziwych”, gdy Jaffier „doskonały” zrozumie że dobro jest „anormalne lecz możliwe”: czyniąc je, trzeba zaakceptować na jakiś czas pustkę; zrodzony z niej ból, zamknięcie w

sobie zła odwróconego od innych, jest warunkiem dystansu który pozwala zobaczyć świat odarty z nienawiści i kłamstwa.

Simone Weil pisała *Wenecję ocaloną* w latach 1940-1942, mając przed oczami i w myślach Europę podbitą przez hitlerowców. Byłoby jednak pomyłką uważać jej tragedię za aluzję historyczną o ograniczonej nośności. W gruncie rzeczy mamy tu do czynienia z wciąż aktualną metaforą przebudzenia i trwania czystej uwagi, buntu rzeczywistości zdegradowanej przeciw snom opętańców. Utopistami, błędnymi rycerzami, wykolejeńcami, zdrajcami nazywa się (zależnie od okoliczności) tych, którzy nie chcą przyjąć Racji Stanu wyposażonej jedynie w najwyższy atrybut Siły. Jak gdyby nie było jasne, że istotą totalizmów i „snów siły” jest właśnie ich *brak* poczucia rzeczywistości! Można drwić (nic łatwiejszego) z banitów i rozbitków, wiernych obrazowi *polis* jaki noszą w umysłach i sercach na przekór losowi, lecz to oni są realistami w najgłębszym (bo moralnym) tego słowa znaczeniu. I świat jest wart by na nim żyć, dopóki powtarzają z uporem: „Ocalić Wenecję!”. Cóż z tego że śmierć lub wygnanie zmusi ich kiedyś do dodania: „W moich niewidzących już oczach jakież piękne jest miasto”.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

TOM XCIV

BIBLIOTEKI "KULTURY"

JAN KOWALIK

MATERIAŁY DO HISTORII

PRASY POLSKIEJ

NA OBCZYŻNIE 1939-1962

BIBLIOGRAFIE Tom I

Str. 80

Cena egz. 9 F (dol. 2,00; 13/6)

Wiersze

Przebity światłem

*A może mi się przywidziało,
Może to deszcz i noc i potem
Lustro naprzeciw okna dniało
I wiatr przewracał się łoskotem.*

*I nadszedł świt nieznany, drżący,
Na nowy dzień mnie wołał w śnie tym,
I obudziłem się krzyczący,
Przebity światłem jak sztyletem.*

Koncert

*Uszy, nie chodźcie do filharmonii,
Zostańcie w sypialni,
Instrumenty miłości,
Waltornie i flety,
Szepty i krzyki perkusji.*

*Prosiłem ich długo i nadaremnie,
Wszystkie wybiegły z domu,
Leda i wiolonczela,
Mozart i menuet.
I odbył się koncert
Pod przygaszonym żyrandolem.*

*Leżałem w domu sam,
Czytałem partyturę sufitu,
Rozpamiętywałem każdy szelest
W mojej wydoskonalonej
Akustyce osamotnienia.*

*Filharmonia huczała od braw,
Kryształowy żyrandol zabłysnął,
Zaczęli wychodzić
Na mróz.*

*Dopiero po północy, w ciemności,
Usłyszałem szelest klucza w zamku
I wróciły instrumenty na swoje miejsce:
Do zachwyconych uszu,
Wieści miłosne.*

Kazimierz WIERZYŃSKI

Dwa wiersze

I ŚWIECIŁO TO MIASTO

Dla Zb. H.

*I świeciło to miasto którym po latach wracałem.
I przepadało życie, Ruteboeufa albo Villona.
Potomni już narodzeni, tańczyli swoje tańce.
Kobiety patrzyły w lusterka z nowego metalu.
Po co było to wszystko jeżeli mówić nie mogę.
Stała nade mną ciężka jak ziemia na swojej osi.
Leżał mój popiół w puszcze pod ladą baru.*

*I świeciło to miasto którym po latach wracałem
Do mego domu w gablotce granitowego muzeum
Koło czernidła do rżęs, alabastrowych stoików,
Menstruacyjnych przepasek egipskiej księżniczki.
Było tam tylko słońce wykute ze złotej blachy,
Na ciemniejących parkietach powolnych kroków skrzypienie.*

I świeciło to miasto którym po latach wracałem
 Z twarzą zakrytą paltem chociaż już dawno nikt nie żył
 Z tych którzy mogli pamiętać niezapłacone długi,
 Hańby niewiekuiste, podłości do przebaczenia.
 I świeciło to miasto którym po latach wracałem.

RZEKI MALEJĄ

Rzeki maleją. Maleją miasta. Sliczne ogrody
 Pokazują czego nie widzieliśmy dawniej, kalekie liście i kurz.
 Kiedy pierwszy raz przepłynąłem jezioro, wydawało mi się
 [ogromne,
 Gdybym tam stanął dzisiaj, byłoby miską do golenia
 Między lodowcowymi głazami i jałowcem.
 Las koło wioski Halina był dla mnie pierwotny,
 Z zapachem zabitego nie tak dawno ostatniego niedźwiedzia,
 Choć między sosnami przeświecało pole.
 Co było indywidualne staje się odmianą ogólnego wzoru.
 Świadomość nawet we śnie przemienia barwy pierwsze.
 Rysy twarzy topnieją jak na woskowej kukle zanurzonej w ogniu.
 A kto zgodzi się mieć w lustrze tylko twarz człowieka.

Czesław MIŁOSZ

Archiwum polityczne

Polska - Rosja - Chiny

Czy klasyczne porzekadło o dwóch kamieniach młyńskich w erze sputników i bomb atomowych utraciło swą aktualność? Niestety — nie. Przeciwnie im więcej pocisków i sputników tym odwieczne dictum o dwóch kamieniach młyńskich jest realniejsze niż kiedykolwiek w przeszłości.

Kamienie młyńskie miały najlepiej jeżeli ich akcja jest zharmonizowana. W naszym wypadku oznacza to sojusz, względnie porozumienie, rosyjsko-niemieckie.

Jeżeli przyjmiemy, że synchronizacja kamieni młyńskich rosyjskiego i niemieckiego stanowi dla nas śmiertelne zagrożenie — jest oczywiste, że treścią każdej polityki polskiej, bez względu na ideologię, musi być dążenie do stworzenia układu, który by uniemożliwił uruchomienie „młyna” rosyjsko-niemieckiego.

Najpiękniejszym i najbardziej logicznym rozwiązaniem tego problemu byłoby stworzenie związku federacyjnego środkowo-wschodnio-europejskiego, który stanowiłby zbyt twardy orzech do zgryzienia dla naszych potężnych sąsiadów. Historia tego projektu jest rewią nacjonalizmów, ciasnoty i zmarnowanych okazji. Nie wiadomo czy jeszcze kiedykolwiek będzie nam dana możliwość podjęcia prób federacyjnych i nie wiadomo również, czy Polacy, Czechosłowacy i Węgrzy przez ubiegłe 20 lat przyswoili sobie w dostatecznym stopniu lekcję historii.

Inną wersją „anty-młyńskiej” polityki jest szukanie porozumienia z jednym z kamieni młyńskich. Ten typ polityki, w różnych wariantach i stosując różne metody, uprawiał zarówno Józef Beck jak i Władysław Gomułka. W danym momencie może to być nie tylko rozsądne ale i jedyna polityka. Tym, którzy mówią, że wkraczając na Zaolzie uczestniczyliśmy niejako w zaborczej polityce Hitlera — można odpowiedzieć, że ani Czesi ani my niczego byśmy nie zyskali gdyby Zaolzie nie było. Błąd polityk zmierzających do szukania porozumienia czy akomodacji z jednym z „kamieni młyńskich” polega na tym, że zarówno Rosja jak i Niemcy szukają zbliżenia z Polską tylko wówczas, jeżeli porozu-

mienie rosyjsko-niemieckie jest nieosiągalne. Każdy rosyjski mąż stanu — bez względu na ustrój i ideologię — mając do wyboru porozumienie z Polską lub porozumienie z Niemcami — wybierze Niemców. To samo, w jeszcze większym stopniu dotyczy Niemiec.

Nie operuję straszakiem porozumienia rosyjsko-niemieckiego dla publicystycznego efektu. Jestem natomiast przekonany, że porozumienie to wypływa z logiki rzeczy. A co jest logiczne, w 80 wypadkach na 100 z czasem staje się realne. Za porozumieniem rozpatrywanych czy to z punktu widzenia Moskwy czy Bonn — przemawia tak wiele argumentów, że tylko dzięki wyjątkowej koniunkturze sprawa nie zmaterializowała się do tej pory. Rosja — komunistyczna czy jakakolwiek inna — w sojuszu z Niemcami mogłaby, jeżeli nie przegonić, to w każdym razie, dogonić Amerykę. Niemcy zaś w sojuszu z Moskwą mogliby urzeczywistnić część swych terytorialnych ambicji.

Chruszczow uwierzył, że źródłem wieczystego kryzysu w Sowietach jest rolnictwo a przyczyną wszelkiego zła w rolnictwie jest brak nawozów sztucznych. Wniosek stąd oczywisty, że jak będą nawozy nastąpi era powszechnej obfitości i dobrobytu. Rosjanie gotowi są wydać w złocie i w twardych walutach grube miliony na zakup urządzeń dla fabryk chemicznych. Lecz nawozy nie pomogą. Trzeba mieć gęstą sieć dobrych dróg i gigantyczną ilość maszyn rolniczych oraz gigantyczną flotę samochodów etc. i trzeba mieć armię instruktorów i specjalistów, którzy dniem i nocą uczyliby jak owe nawozy należy stosować. Lecz przede wszystkim, trzeba mieć techniczny *know how* i geniusz organizacyjny, a Rosjanom obu tych rzeczy brak. To nie jest kwestia nawozów sztucznych — to jest kwestia niskiego stopnia rozwoju cywilizacyjnego.

Oczywiście główną przyczyną kryzysowej sytuacji w rolnictwie sowieckim jest jego struktura, tzn. kolektywizacja. Na Zachodzie panuje dziś w kołach fachowych powszechne przekonanie, że w ramach systemu kolchoźniczego nie jest rzeczą możliwą zmodernizowanie rolnictwa na wzór amerykański.

Rolnictwo sowieckie trzeba by postawić na tej samej stopie co przemysł atomowo-zbrojeniowy. Nikt dokładnie nie wie ilu uczonych niemieckich pracuje w Sowietach — lecz nie ulega wątpliwości, że specjaliści niemieccy przyczynili się w znacznym, a może nawet w decydującym stopniu do przekształcenia Związku Sowieckiego w potęgę atomową. *Kadra specjalistów mogłaby przekształcić w przeciągu krótkiego czasu rolnictwo sowieckie w kwitnący przemysł, gdyby względy doktrynalne przestały odgrywać decydującą rolę.*

Gdyby kiedyś doszło do skomunizowania całych Niemiec lub do sojuszu rosyjsko-niemieckiego w innej formie — powtórzyłby się sceny z 1945 roku. Specjaliści niemieccy powędrowaliby na wschód cywilizować „Wielkiego Brata”. Oczywiście eksport niemieckich mózgow odbywałby się wówczas na daleko większą skalę jak w roku 1945.

Cywilizowanie Rosji jest misją dziejową bliską niemieckiemu sercu, tylko zachodni Niemcy wyobrażają sobie ową misję nieco inaczej niż przywódcy sowieccy.

W tym punkcie wracamy do nieszczęsnej polskiej teorii o dwóch kamieniach młyńskich. Obaj nasi sąsiedzi są zbyt potężni byśmy mogli bez poważnego ryzyka sprzymierzać się z jednym z nich przeciwko drugiemu. Wojna rosyjsko-niemiecka w jakimkolwiek wydaniu nie leży w naszym interesie. Sojusz czy porozumienie rosyjsko-niemieckie w jakimkolwiek wydaniu nie leży również w naszym interesie. W naszym interesie leży unieruchomienie jednego z kamieni młyńskich.

Formy unieruchomienia mogą być różne. Powiedzmy dla przykładu, neutralizacja Niemiec wyłączałaby sojusz rosyjsko-niemiecki i unieruchamiałaby Niemcy politycznie i wojskowo. Przebudowa imperium sowieckiego stanowi drugi wariant tego samego problemu. Nikt dotąd nie mówi głośno o przebudowie imperium sowieckiego — niemniej przecież dwa potężne państwa sąsiadujące ze Związkiem Sowieckim zgłaszają pod jego adresem pretensje terytorialne. Mam na myśli Niemcy zachodnie i Chiny.

Czy wzmocnienie Chin leży w naszym interesie?

Nie ulega wątpliwości, że w interesie Moskwy leży, by Chiny były jak najsłabsze. Wszystkie zdobycze rosyjskiego *Drang nach Osten* datują się z okresu, kiedy Chiny były słabe. Jak wynika z bezładnych zazwyczej w tej dziedzinie informacji amerykańskich — w tym samym czasie gdy odbywała się głośno reklamowana *Big Lift* dywizji amerykańskich z Texas do Niemiec zachodnich — Rosjanie w tajemnicy przerzucili drogą lotniczą dwie elitarne dywizje spadochronowe spod Moskwy w okolice Ałmaty, stolicy Kazachstanu, który graniczy na przestrzeni 1500 mil z Chinami. Według tych samych informacji od sierpnia ub. roku władze sowieckie przerzuciły z wschodniej Europy na granicę chińską cztery wyborowe dywizje.

Wydawałoby się więc, że o ile rewizjonizm niemiecki nie idzie po linii naszych interesów — o tyle rewizjonizm chiński sprzyja naszym interesom.

Nim jednak przystąpimy do dalszej analizy tego problemu musimy uprzytomnić sobie pewne charakterystyczne cechy współczesnej polityki światowej. Mimo, że Chiny dokonały rozłamu w 87 partiach komunistycznych — Pekin nie jest potęgą światową ani nie prowadzi polityki globalnej. Politykę globalną prowadzą tylko Waszyngton i Moskwa. Równowaga terroru jest ściśle związana ze *status quo* terytorialnym i — jak wykazała Kuba — zmiany w politycznym układzie wiodą natychmiast do wahań w równowadze terroru, co z kolei grozi wybuchem wojny. W konsekwencji, dwa największe mocarstwa świata tj. Ameryka i Rosja — posiadają ograniczone pole manewru politycznego.

Chińczycy mogą walczyć z Indusami nie zagrażając *de facto* pokojowi świata — lecz najmniejsze starcie na jednej z auto-

strad berlińskich pomiędzy Amerykanami a Rosjanami mogłoby stać się wstępem do globalnej wojny atomowej.

Zmiany w *status quo*, jeżeli nastąpią — będą konsekwencją akcji „państw trzecich”. Czołowymi potęgami regionalnymi niezadowolonymi ze *status quo* są Niemcy, Francja i Chiny.

Francja uznała rząd pekiński między innymi i dla tego, że prez. de Gaulle nie aprobuje międzynarodowego systemu, którego fundamentem miałyby się stać zamknięty monopol atomowy amerykańsko-sowiecki. Uznanie Chin otwiera przed Francją nowe perspektywy polityczne zarówno w Azji jak i w Europie. Prez. de Gaulle możliwości te dostrzegł i zamierza je wykorzystać.

Do napisania niniejszego artykułu skłoniła mnie obserwacja, że Polacy Chin jeszcze nie dostrzegli. Natomiast w moim przekonaniu Chiny są i będą anty-rosyjskie i jako bezpośredni sąsiad Rosji, naszego głównego „młyńskiego kamienia” — stały się *istotnym elementem polityki polskiej*.

Polacy w kraju tumanieni są przez „ideologów” partyjnych, a na emigracji przez „ideologów” antykomunizmu. Chcąc spojrzeć obiektywnie na ten problem trzeba wyzwolić umysł z obcęgów tak jednych jak i drugich „ideologów”.

W moim rozumowaniu opieram się na ocenach amerykańskich — m. in. na ocenach prof. Zbigniewa Brzezińskiego z Columbia University, który będąc jednym z najwybitniejszych znawców komunizmu uniknął zawodowego wypaczenia i pozostał obiektywnym naukowcem, nie stając się „anty-ideologiem” jak większość polskich sowietologów.

Polacy nie interesują się Chinami, ponieważ jest to państwo komunistyczne, a więc z definicji wrogie. W rzeczywistości jednak — jak słusznie pisze prof. Brzeziński — choć główny atak propagandy chińskiej skierowany jest dziś przeciwko Ameryce — w istocie konflikt chińsko-rosyjski w jego aspekcie terytorialno-narodowo-historycznym jest daleko głębszej i trwalszej natury.

Chiny znajdują się nie tylko w ogniu rewolucji komunistycznej. W pierwszej linii przeżywają rewolucję nacjonalistyczną i przemysłową. Konflikty i spory ideologiczne z czasem wygasają — konflikty interesów terytorialno-narodowych wykazują niepomniernie większą odporność na działanie czasu.

Nie należy jednak lekceważyć i momentów ideologicznych. Chińczycy zadali Rosjanom klęskę, z której Związek Sowiecki nigdy się nie podniósł. Rozbili monolityczny światowy obóz komunistyczny przekształcając go na dwa zwalczające się bloki. Mimo, że Chińczycy uważają się za najbardziej ortodoksyjnych komunistów — swoją akcją torują drogę do policentryzmu. Jeżeli w tej chwili istnieją dwa „Rzyny” ruchu komunistycznego oczekiwać należy z czasem powstania kilku mniejszych „Rzymów”. Są państwa w Azji w których działa pięć zwalczających się wzajemnie partii komunistycznych. Lecz nawet w Sowietach nikt nie zgłasza pretensji do jedności. Chruszczow w rozmowie z francuskim przywódcą socjalistycznym Guy Mollet, który bawił

w Moskwie w listopadzie ub. roku, zauważył dowcipnie: „gdyby w Związku Sowieckim zezwolono na utworzenie drugiej partii politycznej — to składałaby się ona z Mołotowa i z naszych wewnętrznych „Chińczyków”.

Z polskiego punktu widzenia problem chiński sprowadza się do odpowiedzi na pytanie: rywal czy sojusznik Rosji?

W moim przekonaniu Chiny przebudzone nacjonalistycznie i zjednoczone państwowo będą rywalem Rosji bez względu na ustrój. W tej części świata trudno pomieścić dwie imperialne potęgi — azjatycką i europejsko-azjatycką.

Jan Fryling w dłuższej pracy pt. „Konflikt w Himalajach” podał dokładną dokumentację rewizjonizmu chińskiego. Fryling, doświadczony polski b. dyplomata i znawca Dalekiego Wschodu — przytacza historyczne dane, których brak w opracowaniach amerykańskich i angielskich. Ponieważ to są problemy podstawowego znaczenia przytaczam poniżej odnośne fragmenty pracy Frylinga.

„W marcu 1963 rząd pekiński zapowiedział rewindykację wszystkich obszarów, które kiedyś należały do Chin a zostały zagarnięte przez rozmaite państwa europejskie na zasadzie tzw. nierównych traktatów. Trzy z nich zawarte były przez Chiny z Rosją carską, a wszystkie, wedle oświadczenia Pekinu, zostaną poddane rewizji „gdy zaistnieją odpowiednie warunki”. Stanowisko takie zajęł Pekin już wkrótce po dojściu komunistów do władzy. Potwierdza je mapa umieszczona w szkolnym podręczniku historii, wydanym w Pekinie w roku 1954. Nazwana „Imperialistyczne naruszenie terytorium Chin w latach 1840-1919, wskazuje ona 19 obszarów utraconych przez Chiny. Na czelu tej listy umieszczono Taszkient i tereny środkowo-azjatyckie, zajęte przez Rosję w roku 1864. Granica Chin sięga do Bajkału i obejmuje Góry Altajskie, części Pamiru, wschodnią część Kazachstanu z Pawłodarem, Semipałatyńskiem i Ałma Ata. Na tej mapie należy również do Chin cała prawie Kirgizja ze stolicą Frunze, wschodnią część Uzbekistanu z Taszkientem i prawie całym Tadżykistanem, graniczącym z Afganistanem i Pakistanem.

Traktat w Ili z roku 1881, którego Chiny nie ratyfikowały, oddał Rosji dolinę Ili, stanowiącą obecnie część Kazachstanu.

Inne obszary, należące obecnie do Sowietów, a włączone na wspomnianej mapie do Chin, to zagłębienie Amuru (traktat w Aigun, 1858), przymorskie obszary Syberii z Władywostokiem (traktat pekiński, 1860), oraz Sachalin, który zajęła Rosja w roku 1806-ym.

Jedno spojrzenie na mapę wystarczy, aby zobaczyć jak olbrzymie obszary, znajdujące się dawniej w granicach Chin, zagarniała stopniowo Rosja od traktatu w Aigun (1858) począwszy. Przez Syberię doszła ona nad Pacyfik i zajęła obszary między rzeką Ussuri a brzegiem morza, o po wierzchni dwa i pół miliona kilometrów kwadratowych.

Sowiety kontynuowały imperialistyczną politykę Rosji carskiej i dokonały faktycznego opanowania Mongolii Zewnętrznej (półtora miliona kilometrów kwadratowych) oraz poddały swym wpływom politycznym i gospodarczym Sinkiang i Turkiestan chiński”.

Należy jeszcze dodać, że gra idzie o wysoką stawkę. Bogate złoża węgla w okolicach Nowosybirsk żywią stalownie sowieckie. Koło Irkucka przystąpiono do budowy największej na świecie siłowni hydro-elektrycznej. Poza tym należy wymienić złoto,

naftę, miedź, ołów, cynk, nikiel, srebro. Tych wszystkich bogactw brak jest Chinom.

W sumie należy stwierdzić co następuje. Sytuacja Rosji ulega przemianie. Jej *Drang nach Osten* nie tylko został zatrzymany lecz zagrożony. Komunistyczne, nacjonalistyczne Chiny stanowią nowy czynnik w sytuacji na Dalekim Wschodzie. Na europejskim Zachodzie i na azjatyckim Wschodzie krystalizują się dwa mocarstwa, które głoszą program rozbioru imperium sowieckiego.

Starając się wyznaczyć pozycję Chin w systemie polskiej myśli politycznej musimy wziąć pod uwagę następujące momenty.

Niemcy — przy sprzyjającej koniunkturze — mogą liczyć na poparcie Zachodu, tzn. Ameryki, w dążeniu do zjednoczenia po linię Odry i Nysy. Tak w Londynie jak i w Waszyngtonie panuje przekonanie, że uregulowanie kwestii niemieckiej byłoby możliwe tylko w atmosferze odprężenia i w konsekwencji wydatnej poprawy stosunków amerykańsko-sowieckich. Rosjanie — jeżeli zgodziliby się na taką czy inną formę zjednoczenia Niemiec pod egidą Zachodu — to w każdym wypadku ceną za to ustępstwo byłoby uznanie przez Niemcy i przez mocarstwa Zachodu linii Odry-Nysy za nienaruszalną i ostateczną granicę imperium sowieckiego.

W takiej sytuacji zyskalibyśmy uznanie granicy na Odrze i Nysie i zyskalibyśmy rzecz cenną a mianowicie wspólną granicę z Zachodem. Tym samym aktem jednak panowanie rosyjskie w Polsce zostałyby międzynarodowo usankcjonowane i zalegalizowane.

Na Zachodzie nie ma poważniejszego pisma, które w sprawie Odry i Nysy stałoby po stronie niemieckiej. Dlaczego? Przecież Niemcy są sojusznikiem Zachodu a nie Polska Ludowa. Odpowiedź jest prosta i jednoznaczna. Sympatie do Polski nie odgrywają w tej sprawie żadnej roli. Nikt na Zachodzie nie chce drażnić Rosji — a opowiedzenie się po stronie Niemiec w kwestii Odry i Nysy byłoby aktem anty-rosyjskim.

Paradoks sytuacji polega na tym, że możemy liczyć na *de facto* poparcie Zachodu w sprawie granicy Odry i Nysy mimo, że Niemcy są sojusznikiem Zachodu — nie możemy natomiast liczyć na poparcie Zachodu przeciwko Rosji mimo, że Rosja jest wrogiem Zachodu Nr 1.

Musimy przestać myśleć kategoriami sentymentalnymi. Amerykanie darzą nas sympatią, która jest zawiązką odwzajemniana. Amerykanie pragną wyzwolenia Europy Wschodniej, lecz w żadnej sytuacji nie narażą interesów amerykańskich — tak jak je rozumieją — aby nam pomóc. Celem polityki amerykańskiej jest pokój, odprężenie, stopniowe ograniczanie zbrojeń i rozwój gospodarczy. „Europa po Ural” nie jest i nigdy nie była celem polityki amerykańskiej. Amerykanie wierzą, że jeżeli powiedzie się utrzymać pokój przez następne 20 czy 30 lat — ich system zwycięży, gdyż jego zalety okażą się oczywiście nawet dla wrogów.

Oczywiście im rewizjonizm niemiecki i chiński będzie przybierał na sile — tym więcej Rosjanie będą dbali o dobre „koe-gzystencyjne” stosunki ze Stanami Zjednoczonymi.

W konsekwencji należy stwierdzić, że Chiny są dziś jedynym na świecie mocarstwem, które zgłasza pretensje terytorialne pod adresem Rosji a od Polski niczego się nie domaga. O ile istnieje możliwość porozumienia niemiecko-rosyjskiego kosztem Polski — o tyle porozumienie chińsko-rosyjskie nie może być okupione naszym kosztem. I w tym sensie Chiny stanowią nowy i nader ważny element w systemie polskiej myśli politycznej.

Mój niepokój, jeżeli chodzi o problem niemiecki, wywodzi się z przekonania, które z każdym rokiem zyskuje na sile, że Niemcy swój program rewizjonistyczny (w pewnych wymiarach) mogą urzeczywistnić tylko i wyłącznie poprzez porozumienie niemiecko-rosyjskie. Kanclerz Erhard oświadczył, że jego rząd stoi na stanowisku granic z r. 1937. Dopóki kanclerze Niemiec Zachodnich głosić będą powyższą tezę — dopóty widmo porozumienia niemiecko-rosyjskiego wisieć będzie nad nami. Jest jasne, pewne i oczywiste ponad wszelką wątpliwość, że Amerykanie nie przywrócą Niemcom granic z 1937 roku. Część tych terytoriów Niemcy mogliby odzyskać tylko poprzez porozumienie z Moskwą. Innymi słowy, Niemcy będą musieli wybrać albo rezygnację z rewizjonizmu albo porozumienie z Moskwą. Dopóki kanclerze Zachodnich Niemiec głoszą tezę o granicach z 1937 r. — oznacza to, że *wyboru jeszcze nie dokonano*.

Można uczynić mi zarzut, że w mych rozważaniach traktuję Niemcy zachodnie za państwo samodzielne a nie za satelitę-sojusznika Stanów Zjednoczonych. Faktem jest, że Niemcy — choć innymi metodami — z ograniczeń nałożonych po drugiej wojnie światowej emancypują się równie skutecznie jak z ograniczeń narzuconych im po pierwszej wojnie światowej. Gdy w roku 1954 włączono Niemcy zachodnie do sojuszu anty-sowieckiego — wprowadzono szereg ograniczeń jako zabezpieczenie przed powtórnym odrodzeniem się militarnej potęgi Niemiec. Bez owych ograniczeń projekt nie uzyskałby poparcia parlamentu francuskiego i opozycyjnej Labour Party w Wielkiej Brytanii.

Bundeswehr buduje armię lądową o sile 250.000 ludzi — mimo, że górna granica wynosić miała 150.000 ludzi. Luftwaffe ma liczyć 100.000 ludzi — mimo, że za górna granicę dla lotnictwa przyjęto 25.000 ludzi. Zachodnioniemiecka marynarka wojenna buduje okręty i łodzie podwodnej o wyporności znacznie przekraczającej granice wyznaczone w roku 1954. Jeżeli chodzi o broń atomową to tekst układu zabrania wytwarzania broni atomowych „na terytorium Niemieckiej Republiki Federalnej”. Natomiast tekst układu nie zabrania Niemcom zachodnim ani zakupu ani wytwarzania broni atomowych na terytorium sąsiedniego państwa, np. we Francji. W sumie każdy obiektywny obserwator musi dojść do przekonania, że Niemcy są znów na prostej drodze do przekształcenia się w najpotężniejsze mocarstwo na kontynencie obok Związku Sowieckiego.

Celem tego artykułu jest zilustrowanie rewolucyjnych przemian w regionalnym *balance of power*, wywołanym pojawieniem się zjednoczonych, nacjonalistycznych, komunistycznych Chin. Jako bezpośredni sąsiad Rosji — Chiny będą odgrywały coraz większą rolę w polityce wschodnio europejskiej. W niedalekiej przyszłości może się okazać, że sojusz z Pekinem jest daleko mniej egzotyczny niż sojusz z Paryżem czy Londynem.

Dziś stalinizm potrzebny jest Chińczykom do zwalczania Sowietów na froncie ideologicznym. W ten sposób Stalin po śmierci burzy swoje własne dzieło, którym był monolit komunistyczny centralnie rządony z Kremla.

Obecni chińscy przywódcy komunistyczni należą do starej gwardii i ich przeciętny wiek wynosi ok. 70-ki. W obrębie najbliższej dekady nastąpi w Pekinie generalna zmiana warty. Do steru dojdą ludzie młodszy, nie obciążeni kompleksami przeszłości. Jest możliwe, że nowi ludzie wywiodą Chiny z izolacji i wówczas dojdzie do zasadniczej zmiany taktyki.

Chiny są jedynym państwem na świecie, które miałyby szansę rozbicia imperium sowieckiego od wewnątrz. Następcy starej gwardii mogą dojść do wniosku, że Moskwę przelicytować należy polityką „stu kwiatów” a nie neo-stalinizmem. Gdyby chińska wersja komunizmu okazała się bardziej postępowa i nowoczesna niż „gomułkaizm” — o co nie byłoby trudno — po pewnym czasie Pekin zdobyłby poparcie inteligencji, intelektualistów i bardziej światłych kół partii. Albania liczy milion mieszkańców. Lecz gdyby powstały nowe „Albanie” w Polsce, w Czechosłowacji, na Węgrzech — to byłby początek końca. Imperium sowieckie można rozbić tylko od zachodu poprzez oderwanie państw satelickich. To jest taktyka tak oczywista i logiczna, że wcześniej czy później Chińczycy podejmą próby w tym kierunku.

Przywódcy starej gwardii rozumują kategoriami monolitycznymi. Nie pragną rozbicia światowego ruchu komunistycznego, lecz przeciwnie, pragną zbudować monolit z „Rzymem” w Pekinie. Lecz Chińczycy w przeciwieństwie do Rosjan nie mają ani złota, ani rakiet z głowicami atomowymi, ani potężnej bazy przemysłowej. Mają natomiast ideologię, która w połączeniu z polityką anty-rosyjską mogłaby przekształcić się w fenomenalny materiał wybuchowy.

Jeżeli Chiny zechcą ugruntować swą pozycję międzynarodową — będą musiały zepchnąć Sowiety o jeden szczebel niżej. Droga do tego celu wiedzie poprzez zmobilizowanie potencjału uczuć anty-rosyjskich wśród narodów satelickich i oderwanie ich od Rosji. Upadek imperium satelickiego spowodowałby wstrząs narodowościowy w Związku sowieckim o konsekwencjach trudnych do przewidzenia.

Program naszkicowany powyżej jest niepomiarowo bardziej realny niż ewentualna próba oderwania od Rosji ziem utraconych na skutek „imperialistycznego naruszenia terytorium Chin w latach 1840-1919”.

Rosję pobić militarnie mogłaby tylko Ameryka. Jeżeli wyłączamy wojnę to należy w konsekwencji przyjąć, że rozbić imperium sowieckie można tylko od wewnątrz. Państwa satelickie są autorytatywnie rządzone przez partię komunistyczną. W tych warunkach wyłączona jest kontrrewolucja pravicowo nacjonalistyczna. Istnieje natomiast możliwość powstania frakcji komunistycznych o silnym zabarwieniu nacjonalistycznym, które w oparciu o anty-rosyjsko nastrojone masy szukać będą via Pekin sposobów uniezależnienia się od Sowietów. Przywódca komunistyczny usiłujący wydobyć się spod jarzma Sowietów w każdym kraju satelickim liczyć może na stuprocentowe poparcie społeczeństwa. I to jest czynnik, który w danej sytuacji zadecyduje o sukcesie.

Karty chińskiej nie musi się grać w Pekinie. W danej sytuacji politycznej można ją rozegrać w Moskwie. Lecz polska polityka winna być świadoma tej karty. W tym sensie powstanie zjednoczonych, silnych Chin jest zbieżne z polskimi interesami pod warunkiem, że mocarstwowe Chiny pozostaną antyrosyjskie. Staraniem się wykazać, że konflikt chińsko-rosyjski nie jest tylko sporem ideologicznym na wzór konfliktu jugosłowiańsko-sowieckiego, lecz że jest to konflikt historyczno-narodowo-terytorialny pomiędzy mocarstwem azjatyckim a mocarstwem europejsko-azjatyckim.

Redaktor „China Quartely” w artykule wstępnym stwierdza:

„Stopień zdrowego rozsądku jaki obecnie przeważa w Chinach jest godny uwagi. Lecz przed przywódcami chińskimi piętrzy się problem jak zdobyć dostateczny kapitał konieczny do unowocześnienia gospodarki olbrzymiego kraju. Pytanie brzmi: w jakim stopniu przywódcy chińscy gotowi są odstąpić od doktryny, by osiągnąć zamierzone cele”.

Na to kardynalne pytanie nie mają odpowiedzi ani eksperci z „China Quarterly”, ani nikt. Lecz odpowiedź przyniesie niedaleka przyszłość.

Jeżeli w obrębie najbliższych 10 lat Chiny wzmocnią się gospodarczo i militarnie — Rosja sowiecka szukać będzie wyrównania swych stosunków z Niemcami. Sowiety nie mogą mieć wrogo nastrojonych potężnych sąsiadów zarówno od wschodu jak i od zachodu. Potężne, anty-rosyjskie Chiny zmuszą Rosję do polityki odprężenia z Ameryką i do podjęcia rozmów z Niemcami.

Podjęcie rozmów z Niemcami nie musi przybrać formy synchronizacji dwóch kamieni młyńskich, lecz w każdym wypadku zawierać będzie element groźby pod naszym adresem. Wówczas karta chińska — jeżeli polityka polska do gry tą kartą będzie przygotowana — może nabrać decydującego znaczenia. I dlatego do gry tą kartą należy przygotowywać się starannie i z wyprzedzeniem.

W Moskwie będą się z nami liczyć jeżeli Polska będzie miała dobre stosunki z Chinami i z Niemcami. W bezpośrednim interesie Sowietów leży poróżnić nas zarówno z Chinami i z Niem-

camii. Problem polsko-niemiecki jest bardzo trudny i na wyrównanie stosunków pomiędzy Polską a Niemcami być może przyjdzie nam czekać lat kilkadziesiąt. Pomiędzy Polską a Chinami nie ma żadnych spraw spornych i nawet gdybyśmy z czasem zdołali w kraju zbudować ustrój zbliżony do demokracji, z całą pewnością nie stanowiłyby to przeszkody w utrzymywaniu z Chinami dobrych stosunków.

Polska Dwudziestolecia grzeszyła „mocarstwowością”. Polska Ludowa popadła w drugą skrajność i grzeszy satelictwem. Nawet Rumunia jest w mniejszym stopniu satelicka niż PRL.

Nie mamy po temu danych by być mocarstwem, lecz 30-to milionowy naród nie ma powodu godzić się na satelictwo. Pewien stopień niezależności z całą pewnością jest do osiągnięcia lecz wymagałoby to nie tylko umiejętności, lecz i charakteru.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

LEKTURA HISTORYCZNA

Nie ma nawet w przybliżeniu obiektywnych kryteriów historycznych. Narodowe historie pisane są pod kątem widzenia aktualnych interesów politycznych w myśl zasady Orwella, że kto chce kontrolować teraźniejszość, musi kontrolować przeszłość.

W państwach komunistycznych historia jest pisana i redagowana pod kątem widzenia interesów partii. W społeczeństwach zamkniętych i izolowanych jest rzeczą możliwą fałszowanie historii na gigantyczną skalę ponieważ partia monopolizuje wszystkie źródła informacji. Przeciętny student, czy czytelnik sowiecki nie ma możliwości skonfrontowania 600 stronicowej książki G. Deborina o drugiej wojnie światowej z analogicznymi opracowaniami na Zachodzie. Nie ma również możliwości przeczytania książki M.P. Gallagher'a pt. „The Soviet History of World War II”, w której autor konfrontuje główne fałsze sowieckie z rzeczywistością.

Na Zachodzie nikt nie fałszuje historii, lecz interpretacje bywają nieźmiernie różne, często sprzeczne.

Zadaniem historyka jest ustalenie prawdy. Lecz co stanowi historyczną prawdę? W oparciu o źródła można z większą lub mniejszą dokładnością odtworzyć stan faktyczny — tzn. kolejny sekwens wydarzeń. Jednak odpowiedzi na kardynalne pytanie: dlaczego tak się stało, jak się stało — może być wiele.

W tym roku minie 50 lat od wybuchu pierwszej wojny światowej. Wydawałoby się, że jest to dostatecznie długi okres czasu by przebadać wszystkie archiwa, przewertować wszystkie źródła, przeanalizować całość ówczesnej sy-

tuacji i w oparciu o ów przebogaty materiał odpowiedzieć na pytanie jak to naprawdę było.

W roku 1905 Einstein ogłosił swoją teorię względności. Z teorii tej wynika, że równoczesność zjawisk jest inna dla dwóch obserwatorów, gdy jeden z nich jest w ruchu w stosunku do drugiego. Teoria względności — choć Einstein tego nie przewidywał — obowiązuje w pełni i w historii.

Obserwator-historyk w Londynie zupełnie inaczej patrzy na pierwszą wojnę światową niż jego kolega w Warszawie. Równoczesność zjawisk historycznych dla tych dwóch obserwatorów jest zupełnie czymś innym.

Ukazała się w Londynie nakładem firmy Hamish Hamilton pięknie wydana książka A.J.P. Taylora pt. „The First World War”. Książkę zdobią setki oryginalnych fotografii. Te fotografie — niezmiernie umiejętnie dobrane — wskrzeszają atmosferę owych lat. Okopy, błoto, konie — mnóstwo koni i mułów ciągnących działa i wozy taborowe, śmieszne omnibusy londyńskie, przedpotopowe samochody, oficerowie przy szablach i w wysokich butach z ostrogami, panie w długich sukniach, okręty z gigantycznie wysokimi kominami, mężowie stanu w długich surdutach i w twardych kołnierzykach, miłowe kolejki kobiet przed sklepami, ruiny miast i pola bitew usiane trupami.

W indeksie na końcu książki wymienione są tylko dwa polskie nazwiska: hrabia Biliński i Radek. Pseudonim „Radek” wzięty z Żeromskiego uznać należy za nazwisko polskie, choć używał tego pseudonimu bolszewik. Okazuje się więc, że można napisać obszerną historię pierwszej wojny światowej i nie wymienić nazwiska Piłsudskiego. Lecz to jest możliwe tylko w Londynie. Historyk w Warszawie — bez względu na osobiste sympatie i przekonania polityczne — nie mógłby napisać historii pierwszej wojny światowej nie wymieniając nazwiska Piłsudskiego. Oto jeden z przykładów „teorii względności” w zastosowaniu do dziejopisarstwa.

Taylor uważa, że Czesi, Polacy i inne narody poddane zwierzchności Wiednia — kolaborowały z Austrią i z Niemcami. 14-ty punkt Wilsona umożliwił nam w przeciągu „dziesięciu minut” przedzierzgnąć się z kolaborantów w aliantów. Oczywiście Polacy, Czesi i inni żwawo skorzystali z tej oferty. Więc gdzież tu miejsce na Piłsudskiego?

Wśród setek fotografii obrazujących pierwszą wojnę światową — tylko dwie dotyczą Polski. Pierwsza przedstawia członków rady regencyjnej. Podpis pod fotografią głosi: „kolaboranci”. Na drugiej fotografii widzimy spaloną polską wieś.

Słowo „kolaboranci” zostało użyte w sensie jaki nadajemy temu terminowi obecnie — po drugiej wojnie światowej. Aby nikt nie miał w tej sprawie wątpliwości Taylor sformułował podpis pod fotografią następująco: „Collaborators: the Polish Council of Regency takes service under the Germans”.

Można również bardzo rozmaicie interpretować mechanikę procesu historycznego. Na podstawowe pytanie jakie były przyczyny wybuchu pierwszej wojny światowej „Encyklopedia Popularna” P.W.N. stwierdza: „Nierównomierny rozwój różnych państw kapitalistycznych doprowadził na przełomie 19 i 20 wieku do zaostrzenia się sprzeczności właściwych kapitalizmowi oraz do zmiany układu sił ekonomicznych i militarnych. Dążenie do dokonania nowego podziału świata doprowadziło do powstania dwóch przeciwstawnych ugrupowań”.

A co mówi o przyczynach pierwszej wojny światowej A.J.P. Taylor?

„Dwudziestego ósmego czerwca 1900 r. arcyksiążę Franciszek Ferdynand poślubił hrabiankę Zofię Chotek. Nikt nie przewidział, że arcyksiążę w dniu swego ślubu ustalił datę swojej śmierci i nikt nie przewidział również, że jego śmierć stanie się wstępem do zagłady milionów”.

„...ludzie niechętnie dają wiarę pogładowi, że wielkie wydarzenia mają małe przyczyny. Wskutek tego, gdy wielka wojna wybuchła, wszyscy byli przekonani, że przyczyny, które ją wywołały były głębokiej natury. Trudno dopatrzeć się tych głębokich przyczyn analizując przebieg wydarzeń. Nigdzie w Europie nie było świadomej woli sprowokowania wojny. Mężowie stanu błędnie kalkulowali. Postępowali się „bluffem” i groźbą. Metoda ta w przeszłości bywała skuteczna. Tym razem „nie wyszło”. Odstraszak, któremu zaufali — nie odstraszył. Politycy stali się niewolnikami własnych maszyn wojennych. Wielkie armie, których celem było zapewnić bezpieczeństwo i pokój — wciągnęły swym własnym ciężarem narody do wojny”.

Jest oczywiste, że powyższe słowa są dyktowane doświadczeniem drugiej wojny światowej i sytuacją obecną i nie tłumaczą wybuchu pierwszej wojny światowej. Dydaktyka wzięła w tym wypadku górę nad analizą — co historykom często się zdarza.

Kto detonuje wybuchy wydarzeń historycznych? W przekonaniu Taylora historio-twórczym czynnikiem w dziejach są nie klasy społeczne, nie ideologie — lecz ludzie. W cytowanym tomie Taylor zauważa, że gdyby po zakończeniu pierwszej wojny światowej zgodzono się na przyłączenie Austrii do Niemiec — wypadki, być może potoczyłyby się inaczej. Nie przyłączono bowiem do Niemiec 6 milionów obywateli austriackich lecz Rzesza zyskała jednego Austriaka o nazwisku Adolf Hitler.

Czy oznacza to, że gdyby Hitler zmarł jako niewinne, 3-miesięczne niemowlę na dyfteryt nie byłoby drugiej wojny światowej? Gdyby arcyksiążę Franciszek Ferdynand urodził się impotentem, i w konsekwencji wytrwał w stanie bezżennym, czy zaoszczędziłby nam tym samym pierwszej wojny światowej?

Biegunowo różnym interpretatorem jest Oscar Handlin autor najnowszej historii amerykańskiej pt. „The American People”. Handlin patrzy na dzieje Stanów Zjednoczonych w perspektywie ruchów masowych, konfliktów klasowych, gospodarczych i religijnych. Dla niego wybitne jednostki reprezentują tylko owe „głębokie przyczyny” historycznych dramatów, które wykipiwa Taylor.

Która z metod interpretowania procesów historycznych jest właściwa? W moim zrozumieniu ani jedna ani druga. Niedostępna prawda leży pośrodku tych dwóch metod. Lektura dzieł historycznych skłania mnie ku pogładowi, że historycy równie niedoskonale analizują przeszłość jak publicyści teraźniejszość. Zbyt mało wiemy o człowieku tak w sensie społecznym jak i indywidualnym, by w pełni zrozumieć wątek naszych własnych dziejów. Kiedyś psychologia, a przede wszystkim socjologia — umożliwią zarówno historykowi jak i publicyście głębsze zrozumienie mechanizmu ludzkich poczynań. Dopóki to nie nastąpi, tak rozumienie przeszłości, jak planowanie teraźniejszości będą bardzo niedoskonałe. Tym samym nasza odpowiedzialność za losy ludzkie i za los planety jest jeszcze ciągle mitem. Bo jak można odpowiadać za coś czego się w pełni nie rozumie?

KTO UPRAWIA IDEOLOGICZNĄ DYWERSJĘ?

W warszawskiej „Kulturze” ukazał się niedawno artykuł w dwóch częściach Janusza Kolczyńskiego pt. „W Maisons-Laffitte nienawidzą kulturalnie”. Artykuł ten jest oficjalną oceną 15-letniej działalności KULTURY, dokonaną z polecenia i za aprobatą najwyższych czynników partyjnych. Fakt że w cytowanym artykule został skrytykowany prof. Schaff za wypowiedzianą ongiś propozycję przedrukowywania naszych artykułów celem polemizowania z nimi — dowodzi, że artykuł Janusza Kolczyńskiego został opracowany i zatwierdzony „na wyższym szczeblu”. Prof. Schaff figuruje bowiem w stopce warszawskiej „Kultury” i jest członkiem trójosobowego kolegium, które z ramienia partii nadzoruje to pismo.

Do tej pory żadne z pism polskich, wydawane poza granicami kraju nie doczekało się ze strony partii komunistycznej tak obszernej analizy i oceny. Oczywiście gdyby KULTURA nie miała w kraju ani wpływów ani znaczenia nie byłoby to potrzebne. Zostaliśmy uznani jako „szczególnie wytrawny i niebezpieczny przeciwnik”. Ba — p. J. Kolczyński uważa, że „niebezpieczeństwo płynące z łamów KULTURY jest większe, właśnie dlatego, że KULTURA różni się zdecydowanie poziomem publikacji a także rodzajem metod publicystycznych”.

W działalności politycznej istnieje tylko jedna obiektywna dokumentacja — to jest dokumentacja przeciwnika.

Nie zamierzamy polemizować z tezami p. Kolczyńskiego. Są pisma z którymi nie można prowadzić dialogu. Można dyskutować np. z „Polityką”, lecz nie z pseudo-„Kulturą”. To jest tygodnik, który po likwidacji „Przeгляdu Kulturalnego” i „Nowej Kultury” — podjął się obrzydliwej roboty. Do dziś znaczny procent pisarzy bojkotuje to pismo*), które powołane zostało przez Gomułkę do dławienia literatury i humanistyki polskiej w myśl wskazań XIII Plenum KC z lipca ub. roku.

Od grudnia 1962 (XI Plenum KC, poświęcone upartyjnieniu nauki) obserwujemy gwałtowne kurczenie się marginesu względnej wolności w naukach humanistycznych i w literaturze.

Warszawska „Kultura” nie jest więc dzieckiem „burzy i naporu” lecz odwrotnie, jest najbardziej aparatczykowskim pismem jakie wychodziło w Europie wschodniej. Nic dziwnego, że władze partyjne nie mogły znaleźć amatorów do redagowania tej urzędówki. Oportuniści z komitetu redakcyjnego popisują się swym żenującym ignorancem.

Artykuł pt. „Spowiedź Picassa” wydrukowany na pierwszej stronie warszawskiej „Kultury” w numerze z 25 sierpnia ub. roku stanowił niewiarygodny rekord nieuctwa. Ze „Spowiedzią Picassa” konkurować może tylko opowieść Romana Bratnego (zastępcy naczelnego redaktora) o tym jak przerabiał sztuki J.B. Priestley'a. Tak nisko polska kultura jeszcze nigdy nie upadła, nawet za czasów Bieruta.

Powinien się wreszcie znaleźć się wreszcie znaleźć ktoś z sensem w głowie

*) Ten bojkot zaczyna się załamywać. Zapewne grają tu naciski i pogorszenie się materialnej sytuacji pisarzy, ale także tchórzostwo i oportunistyzm. Do tej sprawy wrócimy w jednym z najbliższych numerów. RED.

wie, który doradziły Gomulce zamknięcie pseudo-„Kultury”. Jeżeli nie ma warunków do wydawania pisma literacko-kulturalnego na znośnym poziomie — lepiej jest zrezygnować z tego pomysłu niż wydawać tygodnik, który jest kompromitujący.

P. Kolczyński niewątpliwie czytuje nasz miesięcznik lecz o nas nie wie. Dom KULTURY w Maisons-Laffitte nie jest otoczony drutem kolczastym i każdy może wejść i poprosić o informację. I tak p. Kolczyński mianuje Konstantego Jeleńskiego „kierownikiem Instytutu Literackiego”. Jeleński jest świetnym eseistą, lecz kierownikiem Instytutu Literackiego nie jest i nigdy nie był. Jeleński nie jest nawet członkiem zespołu redakcyjnego KULTURY. Gdyby p. Kolczyński spojrzął na ostatnią stronę naszego miesięcznika — to przekonałby się naocznie, że wydawcą KULTURY jest Instytut Literacki, którego dyrektorem jest Jerzy Giedroyc. Wszystko to „stoi” napisane czarno na białym na każdym egzemplarzu KULTURY.

Naszego „biografą” niezmiernie zirytowały dowcipy krajowe, które na łamach KULTURY pieczołowicie rejestruje Zofia Hertz.

Jerzy Putrament w jednym ze swych felietonów zauważył niedawno, że z współczesnego polskiego dowcipu zniknęła teściowa. Istotnie, tysiące dowcipów o teściowej, które kursowały przed wojną — znikły z horyzontu. Przyczyną tego interesującego zjawiska Putrament dopatruje się w przemianach społecznych. Nie wydaje mi się by „socjologia dowcipu” przedstawiona przez Putramenta była przekonująca.

Dowcip — owa najkrótsza i najbardziej zwięzła forma literacka — nie podlega cenzurze. To jest jedyna twórczość w dosłownym tego słowa znaczeniu — wolna. I dlatego dowcip przejął w Polsce zastępczo funkcję, którą w otwartych społeczeństwach spełnia dziennikarstwo i literatura. Dowcip współczesny jest na wskroś polityczny, krytyczny, opozycyjny. Gdy kiedyś w Polsce zostanie przywrócona wolność słowa drukowanego — doczekamy się renesansu dowcipów o teściowej.

Artykuł p. Kolczyńskiego jest interesującą lekturą dla sowietologa, gdyż odsłania proces rozumowania typowego aparatchyka.

Za Chruszczowem — jak za panią matką — wszyscy przywódcy komunistyczni podkreślają przy każdej okazji, że pokojowa koegzystencja nie oznacza rezygnacji z walki ideologicznej. Lecz jak wynika z omawianego artykułu p. Kolczyńskiego prawo do walki ideologicznej przysługuje tylko komunistom, lecz nie demokratom. „Kultura” warszawska propagująca nieudolnie komunizm jest w zgodzie z polityką pokojowej koegzystencji — natomiast KULTURA paryska, reprezentując demokratyczny punkt widzenia, uprawia tym samym niedozwoloną „dywersję ideologiczną”. Racjonalnie myślący człowiek uznać musi tego rodzaju pogląd za nielogiczny.

Prawo do walki ideologicznej jeżeli przysługuje komunistom — musi przysługiwać i nam. Jeżeli propaganda komunizmu nie jest sprzeczna z pokojową koegzystencją to propaganda zasad demokratycznych nie jest sprzeczna z koegzystencją. Jeżeli walka jest dozwolona i legalna — to i obrona jest dozwolona i legalna.

Na jakich więc logicznych kryteriach opiera się p. Kolczyński wysuwając pod naszym adresem zarzut, że uprawiamy dywersję ideologiczną?

P. Kolczyński wychodzi z założenia, że skoro w Polsce Ludowej wszelka działalność opozycyjna jest nielegalna — te same kryteria oceny obowiązują na całym świecie. Ten pogląd — w równej mierze megalomański jak

i komiczny — polscy komuniści przejęli żywca od towarzyszy sowieckich. Z teoretycznego punktu widzenia można by bronić poglądu p. Kolczyńskiego, gdyby cały świat był komunizmem i rządzony z Kremia. Lecz na to zupełnie się nie zanoszą. Koegzystencja z komunistami jest utrudniona ponieważ aparatczycy całego wolnego świata uważają za nielegalną i czasową opozycję. Propaganda komunizmu jest legalną walką ideologiczną — obrona przed komunizmem jest zbrodniczą dywersją.

W niemal 50 lat po rewolucji Rosja musi skupować masowo zboże w krajach kapitalistycznych — bo w przeciwnym wypadku — według słów Chruszczowa — zapanowałby głód. Premier sowiecki przy tej okazji zauważył, że Mołotow na jego miejscu nie zakupiłby zboża tylko głodził ludność.

Lecz sprawy ekonomiczne, choć niezmiernie ważnej wagi nie są decydujące. Decydujący jest fakt, że na całym świecie nie wyłączając bloku wschodniego — dokonuje się emancypacja ludzi pracy. W miarę podnoszenia się poziomu wykształcenia i oświecenia szerokich mas, a zwłaszcza klasy robotniczej — będzie coraz trudniej rządzić wbrew woli większości. Komuniści są nieprzejętymi wrogami demokracji, ponieważ wiedzą, że nie mają za sobą większości społeczeństwa. Gdyby cieszyli się poparciem większości nie musieliby zwalczać demokracji. Mogliby wówczas przeprowadzić uczciwe wybory wiedząc, że będą dysponowali większością w Sejmie i w rządzie.

Zwalczamy komunizm nie tylko dlatego, że jest anachronistyczną doktryną, lecz zwalczamy go przede wszystkim dlatego, że 80 a może 85 procent Polaków w kraju nie życzy sobie ustroju komunistycznego. Od historycznego momentu w którym narody europejskie odrzuciły tezę, że źródłem legalizmu jest władza monarcha „z łaski Bożej”, za legalne i prawomocne uznajemy tylko to za czym opowiada się większość społeczeństwa. Dlatego to *nie my* uprawiamy nielegalną dywersję.

WŁAŚCICIELE POLSKI LUDOWEJ

Prof. J. Szczepański napisał niedawno w jednym ze swych artykułów z zakresu socjologii „empirycznej” — że Dżilas i jego sympatycy myślą się sądząc, że „Nowa Klasa” w ustroju „socjalistycznym” jest uprzywilejowana. Sklepić na Chmielnej — dowodzi nasz „empiryczny” socjolog — przynosi więcej dochodów niż stanowisko ministra.

Znany dygnitarz partyjnych i rządowych w których mieszkaniach wiszą wybitne obrazy zaofiarowane im przez partię. Dotyczy to również dywanów, kryształów, cennej porcelany i innych kosztowności. Znany wypadki sprowadzania za ciężkie dewizy wybitnych lekarzy zachodnich dla pielęgnacji żon dygnitarzy w raczej błahych wypadkach. Gdyby prof. Szczepański jako socjolog „empiryczny” zamierzał kiedyś opracować profil społeczny „Nowej Klasy” w Polsce Ludowej — chętnie udostępnił mu zawsze materiały.

Z empiryczno-socjologicznego punktu widzenia sprawa przedstawia się prosto i jasno. Właściciel sklepić na Chmielnej, jeżeli chce mieć obraz Fałata musi go kupić. Natomiast minister X, czy dygnitarz Y — dostaje obrazy, kryształy, dywany — darmo. Owe dzieła sztuki, którymi partia przyozdabia mieszkania członków „Nowej Klasy” — pochodzą z rabunku. Używam tego terminu z pełną odpowiedzialnością za słowo. Dzieła sztuki, które

przed wojną stanowiły własność prywatną — mogą być albo upaństwowione tzn. przekazane jednemu z państwowych muzeów — albo mogą być zrabowane tzn. przekazane jednemu z członków „Nowej Klasy” dla jego prywatnego użytku.

George Armstrong, rzymski korespondent „The Guardian” w depeszy z 22.1.64 doniósł o wielkiej wyprzedaży licytacyjnej w hotelu Hilton w Rzymie bezcennych dzieł sztuki z za „żelaznej kurtyny”. Wśród oferowanych obrazów nie brak płócien Tiepolo i Tintoretto. Polska Ludowa była bogato reprezentowana na cytowanej wyprzedaży. Dyrektor całej operacji G. de Crescenzo poinformował korespondenta „The Guardian”, że przedmioty wystawione na licytację sprzedawane są wyłącznie za dolary.

Co nie spłonęło w pożarach wojny, czego nie zdołali zrabować hitlerowcy i nasi wschodni sojusznicy — wysprzedaje obecnie „Nowa Klasa”, ci jedyni właściciele Polski Ludowej. Jak powszechnie wiadomo do budowy ustroju „socjalistycznego” nie potrzebne są ani ani kryształowy ani gobeliny — natomiast niezbędne są kapitalistyczne, amerykańskie dolary. Być może — jak głosi warszawski dowcip — siac na Syberii a zbierać w Kanadzie — nie trzeba nawozów sztucznych lecz trzeba dolarów

Amerykański „Time” z 24.1. br. nazwał Polskę Ludową „Chorym człowiekiem Europy Wschodniej” („Poland is the sick man of Eastern Europe”). PRL posiada gigantyczne (*mammoth*) długi zagranicą i praktycznie żadnego na nie pokrycia. Głównej przyczyny kryzysu tygodnik amerykański dopatruje się w przesadnej centralizacji.

XIV Plenum KC miało ustalić program leczenia dla „chorego człowieka Europy wschodniej”. Lecz są pewne rzeczy, których nie rozumie „Time” i zagraniczni komentatorzy. U dna, przyczyny kryzysu są natury politycznej a nie gospodarczej. Ekonomia jest odbiciem polityki i dlatego krach gospodarczy jest zjawiskiem wtórnym.

Wszyscy doradzają decentralizację. Lecz co to znaczy? Decentralizacja oznacza rezygnację z części władzy. W państwie totalnym władza jest zawsze władzą polityczną. Decentralizacja musiałaby oznaczać delegowanie części władzy, co niewątpliwie osłabiłoby kierownictwo centralne. Panowie w KC wołają wysprzedawać (za dolary) polskie dzieła sztuki niż zrezygnować z ułamka władzy.

Decentralizacja czyli delegowanie części władzy jest propozycją realną dla rządu, który cieszy się poparciem większości społeczeństwa. Rząd dyktatorski, który opiera się nie na społeczeństwie lecz na policji — nie może delegować władzy bez wielkiego ryzyka.

Jeżeli super-centralizację uznamy za jedną z głównych przyczyn kryzysu — to należy stwierdzić, że jest to niedomoga strukturalna, której nie można w pełni przezwyciężyć w ramach obecnego ustroju. Członkowie „Nowej Klasy” zainteresowani są tylko pośrednio gospodarką. Ich głównym celem jest utrzymanie się przy władzy choćby za cenę permanentnego kryzysu gospodarczego.

30-LECIE „ZWIĄZKOWCA”

Wychodzący w Toronto „Związkowiec”, organ Związku Polaków w Kanadzie — obchodził niedawno 30-lecie swej prasowej działalności. 25-lecie

„Związkowca” zbiegło się z 50-leciem Związku Polaków w Kanadzie i wskutek tego „Związkowiec” nie obchodził jubileuszu ćwierćwiecza swego istnienia.

Uroczystość 30-lecia uczczono nie tylko wspaniałym bankietem, lecz również wydaniem specjalnej monografii „Związkowca” pióra red. Benedykta Heydenkorna. Jest to pierwsza w historii prasy emigracyjnej pełna monografia pisma polonijnego. Wstęp do tej książki napisał Jan Kowalik specjalizujący się od wielu lat w bibliografii prasy emigracyjnej, którego trzy niezmiernie wartościowe prace ukazały się w Bibliotece „Kultury”. Przedmowę do książki Heydenkorna napisał prof. dr Adam Bromke.

Ma stu-procentową rację Jan Kowalik pisząc, że polska prasa uchodząca jest zjawiskiem historycznym bez precedensu. Odnosi się to zarówno do liczby wydawnictw — przekraczającej dwa tysiące tytułów — jak i do globalnego zasięgu tych wydawnictw, a przede wszystkim, do doniosłości roli, jaką prasa ta odgrywała i odgrywa.

Wśród prasy polonijnej „Związkowiec” zajmuje jedną z czołowych pozycji. „Związkowiec” jest czytany i ceniony nie tylko w Kanadzie, lecz we wszystkich większych ośrodkach polonijnych na całym świecie.

Osobiście cenię „Związkowca” za umiejętność łączenia zdecydowanej postawy politycznej ze zdrowym rozsądkiem. Każdy artykuł redakcyjny w tym piśmie jest polski i rozsądny. Niestety nie o wszystkim co polskie można to powiedzieć.

Kolegom w redakcji „Związkowca” życzymy następnych stu lat zdrowia i sukcesu.

MASONERIA — ŻYDZI — MURZYNI

W „Horyzontach” (nr 92, styczeń 1964) p. Jędrzej Giertych ogłosił artykuł pod zwiększonym tytułem „Ameryka”. P. Giertych, jak sam wyznaje, był tylko 4 tygodnie w Stanach Zjednoczonych lecz dokonał zdumiewających odkryć.

Kto na przykład przypuszczałby, że „przywódcami akcji murzyńskiej są dziś wcale nie Murzyni, ale Żydzi”. Z dalszych wywodów autora dowiadujemy się, że „Żydzi jako Żydzi to w Ameryce mniejszość zarazem stosunkowo drobna oraz pozbawiona sojuszników, bo od wszystkich zbiorowości chrześcijańskich bardzo różna. Ale Żydzi razem z idącymi pod ich komendą Murzynami to już może być dość duży blok”.

Byłoby rzeczą interesującą wysłać p. Giertycha do Afryki. Nareszcie dowiedzielibyśmy się prawdy o buntach i przewrotach w Zanzibarze i w innych ex-kolonjach. Głowę dając, że te rozruchy i bunty były również dziełem mędrców Syonu.

Autor ma gotowy plan rozwiązania kwestii murzyńskiej w Ameryce. Proponuje „danie im (Murzynom) odrębnych, dobrze postawionych szkół a nie wypychanie ich „na siłę” do szkół Białych”.

Osobiście byłem do tej pory przekonany, że to biali „na siłę” wypychali Murzynów ze swoich szkół a tu okazuje się, że jest wręcz odwrotnie.

Lecz najczarniejszy Murzyn błędnie w obliczu masonerii. P. Giertych pisze:

„Masoneria jest niewątpliwie amerykańskim „kościółem panującym”. Czasem zimno się robi, gdy człowiek stawia sobie pytanie, jakie też są na-

prawdę plany najbardziej decydujących czynników politycznych amerykańskich wobec Polski? Czy celem jej nie obalenie nas jako katolickiego państwa i narodu? I czy plany zniszczenia Polski bombami atomowymi w razie nowej wojny, ujawnione w ostatnich latach, nie są w równym, a może nawet w większym stopniu wyrazem dążeń czołowych czynników amerykańskich jak niemieckich”.

Teraz jest wszystko przeraźliwie jasne. Żydzi podporządkują sobie Murzynów a z kolei Żydów podporządkuje sobie masoneria. Gdy to się dokona Ameryka będzie mogła przystąpić do urzeczywistnienia swojej dziejowej misji zrównania z ziemią katolickiej Polski.

P. Giertych ma rację... zimno się robi.

LONDYŃCZYK

P.S.: — W numerze styczeń-luty omówiłem sprawę Szczecina i pogłosek w sprawie „korektury” granicy na Odrze i Nysie. Ostatnio wiadomości na ten temat ukazały się również w prasie francuskiej. Niektórzy dygnitarze warszawscy przyjeżdżający na Zachód zaczynają przebąkiwać w gronie zaufanych znajomych, że rzeczywiście już dwa lata temu były naciski Chruszczowa, że jednak Gomułka się opiera, etc. W organizacjach które reżym powołał na Zachodzie do bronienia Odry i Nysy zaczyna powstawać panika gdyż interpelowane przedstawicielstwa PRL zaprzeczając ustnie tym pogłoskom uchylają się od oficjalnych *dementi*. Jest to tym bardziej podejrzane że pisma warszawskie i prowarszawskie drukują ciągle kilometrowe artykuły o rzekomej „dywersji i infiltracji niemieckiej” w ośrodkach emigracyjnych. Więc o co chodzi? Czy rzeczywiście są jakiejś zakulisowe dyskusje, czy to jest nowy przejaw rozgrywek frakcyjnych w PZPR czy też dywersja Ulbrichta?

PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU P.K.O.

**PRZEKAZY
PIENIĘŻNE
DO POLSKI**

CENTRALA WYSYŁKOWA

HASKOBA LTD

121 Earls Court Rd, London S. W. 5



Sąsiedzi

Prądy postępowe w Rosji

Do najmniej zbadanych zagadnień w historii społeczeństwa sowieckiego należy sprawa stosunków między dyktaturą komunistyczną a narodem rosyjskim. Prawicowe i nacjonalistyczne koła emigracyjne narodowości nierosyjskich wysuwają tezę, że komunizm sowiecki — szczególnie jeśli chodzi o okres stalinowski — jest pojęciem równoznacznym z imperializmem wielkoruskim, a ponadto typowym produktem „duszy rosyjskiej”. Podobne stanowisko zajmują w tej kwestii rosyjscy ekstremiści prawicowi a także różni „patrioci” rosyjscy na emigracji, nawet ci, którzy nazywają się demokratami. Wprawdzie traktują oni komunizm jako „wroga” narodu rosyjskiego, zarazem jednak byli i są dumni z sojuszu między biurokracją partyjną a wielkoruskimi szowinistami, sojuszu który uwidocznił się szczególnie w latach trzydziestych a jeszcze bardziej w okresie żdanowszczyzny. W tych warunkach mogło dojść do takich paradoksów, że rosyjscy faszyści i wojujący monarchiści, skupieni w trzydziestych latach wokół wychodzącego w Paryżu pisma „Bodrostj”, mogli w roku 1935 pisać z dumą: „Nie zaprzeczamy, że władza Stalina opiera się jeszcze formalnie na idei komunistycznej. Wiemy jednak też, że interesy zagranicznych partii komunistycznych podporządkowane są interesom państwa rosyjskiego, że nastąpiło przejście od teorii rewolucji światowej do teorii 'budowy socjalizmu w jednym kraju', a w dalszej kolejności do patriotyzmu sowieckiego, że konsekwentni internacjonalisci poddawani są represjom lub znajdują się na wygnaniu, zaś ludzie znajdujący się u władzy albo stali się patriotami, albo będą musieli się nimi stać”. („Bodrostj”, nr 30/1935).

Także w skądinąd demokratycznym czasopiśmie sowieckim „Nowoje ruskoje słowo”, ukazującym się w Nowym Jorku, można było przeczytać 21 sierpnia 1951, a więc w okresie największego nasilenia drugiej fali terroru stalinowskiego, co następuje: „Każda emigracja, szczególnie zaś rosyjska, jest niczym innym jak wyspą

intelektualną, oderwaną całkowicie od metropolii. Ale mieszkańcy tej wyspy stosują w swym życiu kryteria „wielkiego kontynentu”, patrzą na świat poprzez okulary wielkiego narodu i wielkiego państwa. Ale nawet w duszy najbardziej zranionego emigranta i zawziętego wroga komunizmu czai się odrobina dumy z tej dzisiejszej Rosji, wprawdzie biednej, zimnokrwistej i będącej postrachem świata, ale potężnej i niezależnej”.

Lektura tych wypowiedzi wystarcza, aby uświadomić sobie, że los postępowego ruchu w narodzie rosyjskim należy do najtragiczniejszych zagadnień ery sowieckiej. Nacjonalistyczne organizacje narodów nierosyjskich nie były zainteresowane w jakimkolwiek popieraniu tych sił, uchylały się nawet od rejestrowania faktu, że pośród ofiar Stalina znajdowali się Rosjanie, nie pasowało to bowiem do ich koncepcji. Podważało to tezę o komunizmie sowieckim jako „produkcje rosyjskim”, poza tym zaś uznanie faktu, że postępowe, nazwijmy je internacjonalistyczne i demokratyczne, elementy w narodzie rosyjskim mogłyby odgrywać pewną pozytywną rolę w walce wyzwoleniczej narodów sowieckich dopuszczało możliwość uznania za wartościowe analogiczne grupy w ich własnych narodach. W pojęciu tych totalitarnych grup byłoby to niemal przestępstwem. Ale także rosyjscy antykomuniści reprezentowali w tej kwestii podobne poglądy. Przytaczaliśmy powyżej, że byli dumni z każdego wzmocnienia patriotyzmu w Rosji, ze zwycięstwa cara Piotra I i Suworowa nad Marksem i bohaterem rewolucji. Cieszyli się, że wszelkie siły internacjonalistyczne w Rosji są uciskane i prześladowane.

Stalinizm, a w dużej mierze także i dzisiejszy chruszczowizm, traktujemy jako etap biurokratycznego zdegenerowania rewolucji sowieckiej. Z punktu widzenia socjologii jest rzeczą niemożliwą stawianie znaku równania między systemem rządów biurokracji a społeczeństwem. Stalinizm ma również mało wspólnego z narodem rosyjskim jak monarchia carów. Inny problem polega na tym, że biurokracja komunistyczna już w pierwszych latach po rewolucji uznała patriotyczne i szowinistyczne elementy wielkoruskie za najsolidniejszy czynnik państwotwórczy i że sojusz ten wycisnął swe piętno na całej historii Związku Sowieckiego.

Wyjaśnia nam to, dlaczego określone siły w narodzie rosyjskim poddawane były represjom w okresie terroru stalinowskiego.

Po tym krótkim wprowadzeniu przystąpmy do właściwego tematu.

Czynniki sprzyjające rosyjskim siłom postępowym

Jednym z najważniejszych wydarzeń po śmierci Stalina jest powstanie stosunkowo silnych i bardzo aktywnie występujących tendencji postępowych w narodzie rosyjskim, szczególnie zaś w kołach inteligencji i młodzieży. Rozwojowi temu sprzyja szereg czynników. Tę aktywność pobudziły już pierwsze zarządzenia o

charakterze antystalinowskim, złagodzenie nacisku i powrót do „praworządności socjalistycznej”. Każdy nowy krok w kierunku destalinizacji systemu sowieckiego i powrót do „norm leninowskich” wiązał się z koniecznością korektury nie tylko zafałszowań rewolucji październikowej, ale i historii rosyjskiej, Tendencję tę wzmocniły bardzo silnie przemiany gospodarcze w Sowietach. Unowocześnianie systemu sowieckiego sprzyjało procesowi przemian mentalności rosyjskiej. W zamkniętych kołach młodzieży i inteligencji w Moskwie i Leningradzie zaczęto sobie stroić żarty i opowiadać anegdoty na temat deklamacji o wszelkich możliwych wynalazkach, których mieli dokonać Rosjanie. Nowocześni Rosjanie odczuwają wynoszenie Rosji ponad wszystko jako nieznośną deklamację, podobnie jak w analogicznej sytuacji Amerykanie, Brytyjczycy, Francuzi czy Niemcy. Na tym podłożu rozszerzał się coraz bardziej krąg tych rosyjskich intelektualistów i przedstawicieli młodzieży, którzy w atmosferze wielkoruskiego szowinizmu czuli się coraz bardziej obco. Ich próby uzyskania wpływu na politykę partii nie spotkały się, jak dotąd, z powodzeniem. Byłoby jednak aktem politycznej głupoty nie dostrzegać znaczenia właśnie tego ruchu dla przyszłego rozwoju w Sowietach. Tendencje te zakorzeniły się najsilniej pośród naukowców (szczególnie historyków i językoznawców), literatów, w prawie całym młodym pokoleniu rosyjskich twórców kultury i pośród studentów.

Nieudana próba historyków rosyjskich

Pierwsze charakterystyczne przejawy wystąpiły w kołach historyków rosyjskich. Próbowali oni zahamować rozpasaną tendencję do gloryfikowania rosyjskiego imperializmu, szczególnie zaś generałów carskich, występującą najsilniej w okresie żdanowszczyzny. Warto tu przypomnieć dyskusję, która podniosła się w roku 1954 w związku z przygotowaniem pracy zbiorowej o generale Suworowie, „bohaterze” rzezi Pragi. „Woprosy istorii” (nr 11/1954) doniosły, że szereg historyków rosyjskich stawiało po raz pierwszy lekki opór przeciw sławieniu działalności Suworowa, a tym samym przeciw idealizowaniu carskiego ucisku kolonialnego. Główną rolę odegrał w tej sprawie historyk A.N. Koczetkow. Także historycy wojskowi uważali, że należałoby wreszcie przeanalizować historię wojskową Rosji carskiej nie upiększając przy tym Suworowa. W ogóle w pierwszych latach po śmierci Stalina aż do końca roku 1956 „Woprosy istorii” stały się ośrodkiem postępowych naukowców rosyjskich. Pośród nich czołową rolę odgrywała A.N. Pankratowa, podówczas redaktor naczelny pisma, opowiadając się za rewizją stalinowskiej wersji historii Rosji. Żądanie to podniesione zostało bardzo dobitnie podczas spotkania z 600 czytelnikami pisma w styczniu 1956. Pankratowa poparła wówczas stanowisko jej zastępcy, E.N. Burdżałowa, który domagał się gruntownego oczyszczenia od zniekształceń historii nierosyjskich

narodów sowieckich. Opracował on plan opublikowania w „Woprosach istorii” serii artykułów, w których szczegółowo przedstawiono by walkę WKP(b) pod kierownictwem Lenina przeciwko szowinizmowi wielkomocarstwowemu i lokalnym nacjonalizmom. W obecności licznie zebranych czytelników Burdżałow oskarżył historioznawstwo sowieckie o to, że „w wielu pracach, także w licznych artykułach naszego czasopisma nie oświetliło kolonialnej polityki narodowościowej carów, nie pokazało roli Rosji jako więzienia narodów, zaś wszystkie narodowe ruchy wyzwolenicze traktowało jako reakcyjne. Było to zafałszowaniem rzeczywistości i sprzeciwiało się leninowskiej ocenie tych ruchów”. („Woprosy istorii” nr 2/1956).

W czasie XX zjazdu partii grupa historyków podjęła generalny atak. Warto przypomnieć, że Mikołaj powtórzył w swym przemówieniu prawie dosłownie żądania podniesione na spotkaniu styczniowym. Wydaje się, że w tym momencie wpływ postępowych historyków na komitet centralny partii osiągnął punkt szczytowy. W swym znamienym przemówieniu oświadczyła Pankratowa: „Niektórzy historycy upiększają wydarzenia historyczne... W naszych podręcznikach i książkach poświęconych historii poszczególnych narodów nie ujawnia się prawie wcale kolonialnego ujarznienia przez carskie samodzierżawie. Niektórzy autorzy podkreślają zupełnie słusznie postępowy sens zjednoczenia się tych narodów z Rosją, ale pomijają zupełnie milczeniem inny aspekt tego zagadnienia: system carski ujarzmił w okrutny sposób narody i hamował ich rozwój polityczny, kulturalny i gospodarczy”. To tylko jeden z fragmentów jej przemówienia.

Bardzo wybitną rolę odegrali w tym okresie historycy rosyjscy w szeregu wydarzeń w Sowietach, szczególnie jednak w nasileniu fali procesów rehabilitacyjnych w nierosyjskich republikach. Rewizja poglądów w sprawie ruchu Szamila jest w głównej mierze ich zasługą i odbyła się przy poparciu „Woprosów istorii”. Pismo to zaangażowało się również w sprawę rehabilitacji M. Skrypnyka.

Ta aktywność historyków rosyjskich nie trwała długo. W marcu 1957 komitet centralny KPZS zajął się „Woprosami istorii”, Pankratowa otrzymała naganę za „poważne błędy pisma i jego redakcji”. Jej zastępca Burdżałow został usunięty z redakcji i zmuszony do milczenia.

W następnych latach partia podjęła różne zarządzenia przeciw postępowym historykom rosyjskim. Dokumenty poświęcone różnym spotkaniom tych historyków potwierdzają jednak, że nie zamilkli oni całkowicie. Podobnie jak potępieni przez partię literaci muszą oni pogodzić się z tym, że prace ich nie są publikowane. Ilekroć nadarza im się okazja popierają oni wszelkie próby krytycznego patrzenia na przeszłość narodu rosyjskiego. Wypadek taki zdarzył się pod koniec 1963 roku, kiedy to w Moskwie odbyła się dyskusja nad referatem kazachskiego historyka Galuzo o „Poglądach Lenina na politykę kolonialną caratu”. Różni historycy rosyjscy apelowali wówczas, żeby poniechać wszelkich

prób idealizowania rosyjskiego kolonializmu i nacjonalizmu. („Woprosy istorii” nr 11/1963).

*Rosyjski — językiem narodowym,
czy przyszłym językiem światowym?*

Wydaje się nie być przypadkiem, że szczególnie wielu postępowych uczonych znajdujemy pośród filologów rosyjskich. Zapewne mają językoznawcy lepsze od innych możliwości stwierdzenia, jakim wierutnym głupstwem jest *idée fixe* sowieckiej biurokracji partyjnej o zespoleniu się narodów i powstaniu jednolitego języka światowego. Zasluguje na uwagę stanowisko wybitnego sławisty sowieckiego W.W. Winogradowa, który na zebraniu generalnym Akademii Nauk w październiku 1962 jak najsurowiej potępił teorię Stalina o wchłonięciu mniej rozwiniętych języków przez inne, wszechstronnie uformowane. „W broszurze J.W. Stalina czytamy o wzajemnym wpływie na siebie języków, ich stapianiu się... wchłanianiu jednych języków przez drugie. Na etapie zwycięstwa socjalizmu w skali światowej i formowaniu się na całym świecie jednolitego socjalistycznego społeczeństwa obowiązują inna prawidłowość” na bazie skrzyżowania się powstają języki strefowe, później zaś nastąpi utworzenie powszechnego języka międzynarodowego. W przeciwieństwie do licznych funkcjonariuszy partyjnych Winogradow oświadczył: „My w Związku sowieckim nie widzimy żadnych oznak powstawania takiego wspólnego, międzynarodowego języka. Program KPZS pokreśla natomiast, że różnice między językami różnych narodów socjalistycznych będą jeszcze długo istnieć, mimo iż trwa proces wzajemnego wpływania i wzbogacania się”. Językoznawcy rosyjscy nie zaprzeczają, że językowi rosyjskiemu przypadła w Sowietach funkcja masowego środka porozumiewania się. Wielu spośród nich nie chce językowi rosyjskiemu przypisywać penetrujących funkcji, jako narzędzia do zmiany bazy innych języków i wynarodowienia. Bronią oni roli języka rosyjskiego jako języka określonego narodu, nie zaś jako drugiego języka ojczystego dla innych czy też jako języka światowego.

Tolerancyjne nastawienie kilku filologów rosyjskich ujawnia się najdobitniej w różnych organach naukowych i czasopismach, w których Rosjanie stanowią większość zespołu redakcyjnego. W ogóle stwierdzić wypada, że rozważania na temat „stapiania się narodów” i rozciągnięcia języka rosyjskiego na inne narody częściej pojawiają się w prasie partyjnej niż w literaturze fachowej. Na zanotowanie zasługuje incydent w czasopiśmie „Woprosy jazykoznanja”. W pierwszym numerze tego czasopisma ze stycznia 1962 ukazał się artykuł, który zawierał szereg zgodnych ze stanowiskiem partii zaleceń w przedmiocie nasilenia roli penetrującej języka rosyjskiego w obrębie języków narodów nierosyjskich. W numerze z lipca-sierpnia 1962 opublikowano artykuł redakcyjny pt. „O badaniach stanu i rozwoju narodowych języków literackich

narodów sowieckich". Artykuł ten odcina się wyraźnie od poprzedniego. Stwierdza się, że tak ważne sprawy, jak perspektywy rozwojowe języków narodów sowieckich potraktowane zostały schematycznie i subiektywnie. Redakcja odżegnuje się obecnie od wszelkich zaleceń w przedmiocie „funkcji języka rosyjskiego w kulturalnym i socjalnym rozwoju poszczególnych języków sowieckich”.

Nieraz zdarza się, że w prasie sowieckiej Rosjanie bronią praw języków narodowych. Pragniemy tu wskazać na jeden taki wypadek, ponieważ dotyczy on docentki języka rosyjskiego instytutu pedagogicznego w stolicy Tadżykistanu, Dużanbe, L. Uspjenskiej, a więc osoby wysłanej przez Moskwę do Azji Centralnej w roli „misjonarza kultury”. W gazecie „Komunist Tadżykistanu” z 24 października 1963 ukazał się jej artykuł pod wiele mówiącym tytułem: „Należy poznawać język narodu, pośród którego się żyje”. Jest on pieśnią pochwalną języka tadżyckiego. M.in. czytamy tam: „Język tadżycki jest jednym z najstarszych w centralnej Azji. Posiada on bogaty zasób słów, odznacza się obrazową budową zdań, jest melodyjny i łatwy, ponieważ gramatyka jest nieskomplikowana. Od dawna język tadżycki uważany jest za jeden z najkulturalniejszych języków Wschodu”. Podczas gdy na krótko przedtem (5 października 1963) w organie partyjnym innej republiki sowieckiej, „Sowieckaja Kirgizija” twierdzono, że wszystko co wartościowe język kirgiski zawdzięcza wpływowi rosyjskiego, pani Uspjenska chwali bogactwo języka tadżyckiego, nieporównane bogactwo jego zasobu słów. Brzmi to tak, jak gdyby chciała powiedzieć: „Nie, moi panowie rodacy, nie rusyfikować, ale pozwolić na rozwój wszystkich ukrytych możliwości tych języków”. Ale na tym nie koniec i nie to jest najważniejsze. Pani Uspjenska żąda, aby żyjący w Tadżykistanie Rosjanie uczyli się języka tadżyckiego. Analogiczne żądania podnoszone były w pierwszych latach po śmierci Stalina przez licznych przywódców komunistycznych i przedstawicieli narodowej inteligencji w republikach, później zaś uznane przez ludzi Chruszczowa wielokrotnie za „antypartyjne”. Dalej potępiła ona w artykule zbyt niską liczbę godzin nauki języka tadżyckiego w szkołach, brak sił pedagogicznych do naukania tego języka w szkołach rosyjskich itd.

Nawet w tak drażliwej sprawie, jak np. wytyczne sowieckiej polityki kulturalnej, które zamykają się w formule „narodowa w formie, socjalistyczna w treści”, szereg rosyjskich krytyków literackich zajęło odważnie stanowisko, które uznać trzeba za postępowe. Rosyjski literaturoznawca P.G. Skozyrew reprezentował po XX zjeździe pogląd, że owa przez Stalina wymieniona formuła stoi w sprzeczności z marksizmem i nie może być uznana za normę estetyczną. Trudno wprost znaleźć słowa uznania dla przysługi, jaką wyświadczył w ten sposób Skozyrew twórcom w narodowych republikach. Ograniczymy się tu do stwierdzenia, że po XX zjeździe partyjnym owe usiłowania poddania korekturze wytycznych sowieckiej polityki kulturalnej występowały wszędzie szczególnie silnie i zakończyły się niepowodzeniem. Stanowi-

ska Skozyrewa, który niestety w międzyczasie umarł, jest o tyle znamienne, że żył on długie lata w Turkmenii i zajmował się gruntownie zagadnieniami stosunków między językami i literaturami narodów sowieckich.

Głosy rosyjskie przeciw antysemityzmowi

W sprawie antysemityzmu mamy w Sowietach do czynienia z różnymi frontami. Istnieją całe grupy funkcjonariuszy partyjnych i twórców kultury, którzy uczestniczyli osobiście w antysemitycznych wykroczeniach okresu stalinowskiego. Po śmierci Stalina nie tylko nie odżegnali się od swej przeszłości, ale zachowali niezmiennie silną pozycję w życiu politycznym i kulturalnym. Przypomnijmy takich dziś jeszcze odgrywających czołową rolę pisarzy sowieckich, jak Rosjanie: Koczetow, Safronow, ulb Ukraińiec Dmyterko, autor prowokacyjnego artykułu antysemitycznego w moskiewskiej „Literaturnoj Gazietie” z 9 marca 1949. Wielu z tych ludzi jeszcze dziś podżega do nagonki antyżydowskiej. Naturalnie nie brak też antysemitów pomiędzy urzędnikami państwowymi, w kołach gospodarczych, a także pośród ludności. Nigdy w okresie sowieckiego reżymu nie doszło do obrachunku z rosyjskim szowinizmem i nacjonalizmem i dlatego w Sowietach możliwe są tak haniebne zjawiska, jak dyskryminacja narodowa. Z wielu dokumentów wynika jednak, że właśnie pośród rosyjskiej młodzieży, szczególnie pośród studentów i młodych literatów, istnieje silna opozycja przeciw tendencjom antysemitycznym, co doprowadziło do niedawnych, godnych pochwały wydarzeń. Powszecznie znana jest sprawa rosyjskiego pisarza Jewtuszenki i jego poematu „Babi jar”. Nie jest on przy tym jedynym przedstawicielem młodej inteligencji rosyjskiej, odważającym się na jawne wystąpienie przeciw antysemityzmowi. Ze specjalnych powodów poświęćmy jednak jemu właśnie uwagę. Na przełomie roku 1963/64 ukazały się na Zachodzie oryginały dokumentów z dyskusji między Chruszczowem a Jewtuszenką a także czołowymi przedstawicielami sowieckiego filmu ze światowej sławy reżyserem Rommem. Dyskusja ta odbyła się na spotkaniu kierownictwa partyjnego z przedstawicielami twórców w grudniu 1962. Przytoczenie fragmentu tej dyskusji najlepiej uwidoczni sytuację na odcinku kulturalnym w Sowietach:

JEWTUSZENKO: „Przede wszystkim chciałbym podziękować przedstawicielom partii i rządu za umożliwienie tego spotkania. Pozwólcie mi rozpocząć moje przemówienie odczytaniem poematu, który uważam za szczególnie aktualny (odczytuje „Babi Jar”). Czcigodny Nikito Siergiejewiczu, zatrzymuję się na tym poemacie z uwagi na pewien określony cel. Wiemy wszyscy, że nikt nie uczynił tyle dla usunięcia negatywnych następstw kultu Stalina ja wy. Ale jedna sprawa pozostała otwarta, a jest ona także jednym z negatywnych następstw przeszłości, i do dziś jest nie rozwiązana: problem antysemityzmu.

CHRUSZCZOW: „Problem taki nie istnieje”.

JEWUSZENKO: „Problem ten istnieje, Nikito Siergiejewiczu. Nie wolno tego zaprzeczać i nie wolno go przemilczać. Mamy z nim ciągle do czynienia. Wypadki takie zdarzają się. Sam byłem ich świadkiem. Uczestniczą w nich do tego osoby zajmujące stanowiska urzędowe i przez to samej sprawie nadaje się charakter oficjalny. Z takim balastem jak nienawiść do Żydów nie dojdziemy do komunizmu. I tu nie wolno tego zaprzeczać i przemilczać. Problem ten trzeba rozwiązać i mamy nadzieję, że zostanie rozwiązany. Patrzy na nas cały postępowy świat, rozwiązanie tego problemu wzmocni jeszcze bardziej autorytet naszego kraju. Przez rozwiązywanie tej kwestii rozumieć zahamowanie antysemityzmu i oddanie pod sąd antysemitów. Takie zdecydowane zarządzenia pozwolą wielu osobom pochodzenia żydowskiego na podźwignięcie się duchowe i przyniosą jeszcze większe sukcesy we wszystkich dziedzinach budownictwa komunistycznego”.

Usiłowania te pozostały bezowocne, co jednak nie oznacza, że postawiony przez młodych Rosjan problem antysemityzmu przestał istnieć. Oznacza to tylko, że biurokracja partyjna woli nadal współpracować z szowinistycznymi elementami wielkoruskimi, nie zaś z postępowymi Rosjanami.



Pragniemy jeszcze podkreślić, że ostatnimi czasy mnożą się wypadki popierania przez postępowych Rosjan wszelkimi możliwymi sposobami rozwoju narodowego w republikach i udzielania pomocy przedstawicielom nierosyjskiej inteligencji. W niektórych centralnych organach rosyjskich ukazują się np. artykuły historyków i literaturoznawców republik związkowych, którzy nie mają żadnych widoków na opublikowanie w miejscowych organach. Znane są wypadki, że z Moskwy przychodziła pomoc dla prześladowanych pisarzy i artystów, naturalnie przychodziła ona nie ze strony aparatu partyjnego czy innych urzędów centralnych, ale po prostu z postępowych kół moskiewskich. Można by tu przytoczyć wiele przykładów, ograniczmy się jednak do republiki łotewskiej. Żyje tam artysta nazwiskiem Pinnis. Miejscowa biurokracja partyjna ma mu wiele do zarzucenia: „stoi na fałszywych pozycjach twórczych, entuzjazmuje się modernizmem, naśladuje najgorsze przykłady sztuki zachodniej” — oto fragment z rejestru przewinień Pinnisa, sporządzonego przez sekretarza KC łotewskiej kompartii, Wossa. Wymieniony łotewski przywódca partyjny dziwił się, jak to było możliwe, że „prace Pinnisa wystawione były w Moskwie”. Dlaczego w centralnym czasopiśmie „Iskustwo” poświęcono mu osobny artykuł, dlaczego w różnych czasopismach moskiewskich ukazały się reprodukcje jego obrazów? Woss uważa, że kilka moskiewskich pism partyjnych wyświadczyło komunistom łotewskim „niedźwiedzią przysługę”. Z jego uwag dowiadujemy się np., że podczas gdy organizacja partyjna na Łotwie ostro skrytykowała kilku młodych artystów łotewskich, „przedstawi-

cieli stowarzyszenia artystów Związku Sowieckiego udzielili tym niezdrowym tendencjom naszej młodzieży poparcia i uznali je za wyraz łotewskiej specyfiki narodowej”. Znane są jeszcze inne incydenty tego rodzaju na Łotwie. W krytycznych momentach przyjeżdżali z Moskwy do Rygi przedstawiciele centralnych instytucji sowieckich: profesor Moczalskij sekretarz zarządu stowarzyszenia artystów Pimenow, członek korespondent sowieckiej Akademii Artystów, Jakowlew. Popierali oni wszyscy swoim autorytetem nowoczesne prądy w sztuce łotewskiej (wszystkie dane zaczerpnięte z tomu zbiorowego: „XXII zjazd partyjny KPZS” i „Problemy pracy ideologicznej”, Moskwa 1962, str. 205-206).

Uwagi końcowe

Byłoby oczywiście błędem sądzić, że już dzisiaj postępowe tendencje rosyjskie odgrywają w Sowietach rolę czynnika kształtującego historię i decydującego o polityce partii. Widzieliśmy, że tendencje te są sprzeczne z linią partyjną, że partia ten ruch wszelkimi siłami zwalcza. Ale równie fałszywe byłoby przeczyć faktom i nie dostrzegać, że w dzisiejszych Sowietach, także pośród Rosjan, ujawniają się silne tendencje anty-szowinistyczne i anty-imperialistyczne, że postępowe koła rosyjskie toczą ciężką walkę z własnymi szowinistami i renegatami spośród wszystkich możliwych narodów Związku Sowieckiego.

Co przyczyniło się do powstania tego rosyjskiego fenomenu? Jak już stwierdziliśmy grają tu rolę różne momenty. Powrót do „praworządności socjalistycznej” sprzyjał wzmocnieniu kręgosłupa obywateli sowieckich, rozprawa ze stalinizmem i hasło „Powrót do Lenina” sprzyjały, przynajmniej w pierwszych latach po śmierci Stalina, wzmocnieniu pozycji postępowych elementów w KPZS. Nawet w tak skromnych rozmiarach przeprowadzona destalinizacja pozwoliła na stworzenie nowej atmosfery, uchyliło nieco drzwi dla historycznej prawdy. Przygłuszone za czasów Stalina tradycje „zapadników”, ruchu umysłowo-kulturalnego ubiegłego stulecia, odżywają na nowo.

Wszystko to tworzyło sprzyjające tło dla procesu przemian w obrębie dzisiejszej elity rosyjskiej, szczególnie pośród młodej inteligencji. Wydaje się jednak, że najważniejszą rolę odgrywa tu obiektywna konieczność przed którą stoi całe społeczeństwo sowieckie a przede wszystkim partia, mianowicie konieczność możliwie szybkiej modernizacji systemu sowieckiego. Nie da się tego ograniczyć jedynie do spraw gospodarczych. Po raz pierwszy zachodzi konieczność konfrontacji całej spuścizny komunizmu sowieckiego z wymogami dzisiejszej epoki. I właśnie ta sytuacja sprzyja zróżniczkowaniu społeczeństwa sowieckiego, powstawaniu różnych frontów w tej czy innej kwestii. Nowoczesny Rosjanin powinienby się właściwie wstydić, gdy zmuszają go deklamowania, że Rosja stoi ponad wszystkim, że „wielki brat rosyjski pomagał wszystkim narodom”, że „kolonializm rosyjski jest

zjawiskiem postępowym w historii ludzkości", że wszystkie możliwe wynalazki pochodzą od Rosjan itd. I nawet nie tyle ważna jest historyczna nieprawdziwość tych twierdzeń, ile fakt, że pycha narodowa i stałe podkreślanie mesjanizmu narodowego zaczyna się uważać za relikwyt przeszłości. Jest ona nie do pogodzenia z „internacjonalizmem proletariackim” a także z dominującą tendencją naszej epoki, dla której typowe stało się nie podkreślanie momentów narodowych, lecz ponadnarodowych. Problem narodowościowy w Sowietach jest zatem nie tylko sprawą narodów nierosyjskich, decyduje on także o przyszłości narodu rosyjskiego. Partia komunistyczna Związku Sowieckiego nie jest w tej sprawie zdolna do wyzwolenia się z pęt nałożonych przez stalinizm. Propaguje ona nadal stąpienie się narodów, rusyfikację, fetuje rocznice „dobrowolnego przyłączenia się” różnych narodowości do Rosji carskiej. Jest przeto rzeczą szczególnie ważną wzmacniać w miarę możliwości rozwój tendencji postępowych w narodzie rosyjskim.

Borys LEWICKYJ

Przegląd niemiecki

Gdy w październiku ubiegłego roku prof. Erhard obejmował kanclerstwo — zagadnienia stosunków z Czechosłowacją i Polską z pewnością odgrywały bardzo podrzędną rolę w zestawianiu listy ministrów. Jednakże wschodni sąsiedzi Niemiec mogli spodziewać się, że w nowym rządzie nie będzie zasiadał minister Seehoim, rzecznik skrajnych żądań Niemców sudeckich i wyznawca polityki wschodniej wykluczającej planowanie zgodnego porozumienia w tym zakątku Europy.

Ale nadzieje zawiodły. W rządzie kanclerza Erharda zasiadł — ponownie jako minister komunikacji — inż. Seehoim, otrzymując walny sukces dla swej polityki w osobie dra Hansa Krügera, mianowanego ministrem spraw uchodźców i wysiedleńców, czyli resortu o wybitnie politycznym charakterze, gdyż gospodarcza integracja uchodźców i wysiedleńców jest już faktem dawno dokonanym.

Zająwszy tak wybitne stanowisko polityczne, dr Krüger — prowincjonalny prawnik z dawnych Prus Wschodnich, protektor osławionego „Göttinger Arbeitskreis'u” — swą dotychczasową działalnością wywoływał przekonanie, że myśl o jakichkolwiek sensownych rozmowach Polaków z rządem Niemiec Zachodnich winna być odłożona do pomyślniejszej koniunktury.

W połowie stycznia rb. sytuacja uległa nieprzewidzianej komplikacji. Na skutek podniesionych w prasie zarzutów (znów tygodnik „Der Spiegel”), min. Krüger zgłosił prośbę o zasuspendowanie go aż do wyjaśnienia zarzutów. Kanclerz z miejsca udzielił bezterminowego urlopu. Wkrótce potem dr Krü-

ger zgłosił swą dymisję, która równie szybko została przyjęta. 30 stycznia dwaj prokuratorzy ze wschodniej strefy Niemiec wręczyli naczelnej prokuraturze w Bonn materiały — częściowo pochodzące z Polski — rzekomo stwierdzające odpowiedzialność dra Krügera za wydawane w czasach Hitlera wyroki i inne zbrodnie przeciw ludzkości.

Dalszy obrót całej afery o tyle tylko nas ciekawi, o ile będzie można wywnioskować, czy Związek Ziomkostw i pokrewne mu agendy posiadają jeszcze dostateczne wpływy, aby ponownie obsadzić opustoszały fotel. Poza tym — niezależnie od osoby przyszłego ministra — żadne znaki nie wskazują, by w Bonn można było przewidywać zbliżanie się pomyślniejszej dla nas koniunktury.

Jednak znaki takie, choć nie w samym Bonn, ukazują się i to w wielu miejscach jednocześnie. Może to nawet i lepiej, patrząc na dalszą metę, że pomyślnie dla nas zjawiska powstają na peryferiach, a nie w centrali młodzieńczej demokracji zachodnio-niemieckiej. Można te zjawiska optymistycznie ocenić, albo bagatelizować, lecz nie można ich przeoczyć. Przeto kilka przykładów, z których być może z biegiem czasu wyłoni się odpowiedź na wciąż dręczące Polaków pytanie: czy istnieje możliwość zgodnego współdziałania niemiecko-sowieckiego, grożącego nam zagładą, a Europe nie dającymi się przewidzieć klęskami.

Wiosną ubiegłego roku otrzymałem zaproszenie Ministerstwa Oświaty w Hesji, aby wygłosić referat podczas wakacyjnego kursu studenckiego dla około 50 słuchaczy. Temat: Polski punkt widzenia granicy na Odrze-Nysie. Program przewidywał współreferat pośła do *Bundestagu*, wiceprezesa Związku Ziomkostw, królewskiego adwokata, p. Reinholda Rehs'a, na temat niemieckiego punktu widzenia tej granicy. Oba tak kontrowersyjne referaty miały być poprzedzone wykładami profesorów: H. Ludata „Polska w historii Europy”, G. Rhodego „Zagadnienia polskich granic wschodnich” i H. Roosa „Przesunięcie polskiego obszaru państwowego”. Po referatach — dyskusje.

Zaproszenie przyjąłem skwapliwie i przygotowałem referat niewątpliwie antypruską agresywnością ustępujący wypowiedziom X. Kamila Kantaka, jednakowoż dostatecznie przeciwstawny poglądom Związku Ziomkostw. Ciekawiły mnie nade wszystko reakcje słuchaczy. Poza tym jechałem na ten kurs z przeświadczeniem, że wobec moich wypowiedzi będzie to mój pierwszy i ostatni występ na terenie Heskiego Ministerstwa Oświaty.

Wynik był dla mnie niespodzianką. Otrzymałem zaproszenie, by w czerwcu r.ub. powtórzyć referat na tygodniowym kursie dla heskich *Studienräte*, a więc dla pedagogów z akademickim wykształceniem. Tym razem bez politycznego współreferatu. Wobec tego usunęłem z tekstu polityczno-polemiczne momenty, a rozszerzyłem historyczne. Temat ogólny kursu był określony jednym słowem: „POLEN”. Oprócz poprzednio wymienionych trzech profesorów udział brali: prof. B. Stasiewski z Bonn, dr R. Breyer z Marburga, dr G. Strobel z Bonn i dr K. Zernack, asystent profesora Ludata. W czasie kursu wyświetlano filmy „Krzyżacy” i „Popiół i Diament”, z jednoczesnymi bardzo rzeczowymi objaśnieniami dra G. Strobla.

W listopadzie r.ub. Heskie Min. Oświaty powtórzyło ten kurs dla następnego zespołu *Studienräte*. Ci sami referenci, te same tematy, uzupełnione wykładem dra M. Broszata o ostatnich dwustu latach niemiecko-polskiego sąsiedztwa, i mową posła do *Bundestagu*, W. Jakscha, na temat „Naród polski w światowej świadomości”. W marcu rb. Heskie Ministerstwo wspólnie z Krajowym Związkiem Kursów dla Dorosłych powtarza w niezmiennym składzie referentów temat „POLSKA” — tym razem dla kierowników i wykładowców Uniwersytetów Ludowych. W zaproszeniach cel kursu określono następująco: „Projektowany kurs winien przyczynić się do porozumienia wschodnio-europejskich narodów i państw i do tworzenia warunków pokojowego i owocnego współżycia narodu niemieckiego z Zachodnią i Środkowo-Wschodnią Europą”.

Jest zapowiedziana dalsza kontynuacja takich i podobnych kursów. Ich poziom, zwłaszcza dyskusyj, zasięg wpływów, możliwości skutków — to obszerny temat o którym przedwczesne jest może coś pisać. Przedwczesne byłoby wysnuwanie kategoriycznych wniosków. Należy jednak podkreślić, że wśród znacznej większości uczestników utrzymało się przekonanie o niedopuszczalności polityki nowego Rapalla, jako polityki równoznacznej z dobrowolnym oddaniem *całych* Niemiec w „satelicką” opiekę Związku Sowieckiego.

Podobną działalność rozwija także Westfalia i Dolna Saksonia, jednak w odmienny sposób. W obu tych krajach nie lokalne ministerstwa oświaty, lecz inicjatywa prywatna i poszczególnych wyższych urzędników, w oparciu o instytucje społeczne i pomoce rządów krajowych, odgrywa decydującą rolę.

Tak na przykład w Westfalii „Steinbacher Kreis”, zawiązany w celu kulturalnej integracji uchodźców, od trzech lat zajmuje się głównie stosunkami Niemców z ich wschodnimi sąsiadami.

„Spotkania ze środkowo-europejskimi narodami — zwłaszcza z Polakami — i rozmowy o spornych zagadnieniach, wymagają przede wszystkim wzajemnej znajomości i rozumienia się” — mówi wstęp do broszury „Pomost między Wschodem i Zachodem”, wydanej w 1961 r. po trzydniowej sesji omawiającej temat „Dzisiejsza Polska”.

W Hanowerze, stolicy Dolnej Saksonii, przed trzema laty założono „Towarzystwo popierania zachodnio-wschodnich stosunków”. Towarzystwo powstało z integracji kilku instytucji społecznych i wydawniczych. Zorganizowano redakcję miesięcznika pod tytułem *Europäische Begegnung; Beiträge zum west-östlichen Gespräch* (1).

Poza tym Towarzystwo organizuje spotkania w Barsinghausen pod Hanowerem, dziś już szeroko znane i komentowane tzw. *Barsinghausener Gespräche*. Najistotniejszą cechą tych spotkań jest staranny dobór referentów, czę-

(1) „Europejskie Spotkania, przyczynki do rozmów zachodnio-wschodnich”. Pismo jest połączeniem czterech periodyków: *Der Remter, West-Ost-Berichte, West-Oestliche Begegnung* i *Ostdeutsche Monatshefte*. Naczelnym redaktorem jest Hans Beske, wysoki urzędnik ministerialny. Działający w Polsce redaguje znany tłumacz naszej literatury, Armin Dross.

sto o biegunowo przeciwstawnych poglądach, stały udział rzeczników sąsiadujących z Niemcami narodów, omawianie najbardziej drażliwych zagadnień, wysoki poziom dyskusyj i — co najważniejsze — wyciąganie z tych spotkań wniosków, nie zawsze miłych dla „niezłomnych” i megalomanów.

Po zniknięciu z politycznej areny barwnej postaci byłego ministra krajowego Schellhausa, powstała w Hanowerze „Dolno-Saska Wspólnota popierania ogólnoniemieckich zagadnień”. Inicjatywa również prywatno-społeczna, popierana przez rząd krajowy. Działalność polega m.in. na organizowaniu szeroko zakrojonych kursów specjalnych w ramach Uniwersytetów Powszechnych. Kursy te zmierzają do upowszechniania wiedzy o wschodnich sąsiadach Niemiec, przy czym referentami spraw poszczególnych narodów przeważnie są emigracyjni członkowie tych narodów.

Rozpoczęte zaledwie przed ośmiu miesiącami audycje polskie *Deutschlandfunk* w Kolonii zdołały w tym krótkim czasie wywołać dobre echa. Rezultat rozpisanej przez *Deutschlandfunk* konkursu literacko-dokumentarnej, pod hasłem „Dokumenty człowieczeństwa”, najlepiej to potwierdza. Nadesłało 128 prac, z czego trzecią część z Polski. Niewątpliwy sukces.

Słusznie też w odpowiednim komunikacie *Deutschlandfunk* stwierdza: „Wiele już pisano o grozie i okrucieństwach ostatniej wojny i o tragicznych wydarzeniach okresu powojennego. Toczący się obecnie we Frankfurcie n/M proces przeciw zbrodniarzom z Oświęcimia przypomina raz jeszcze jeden z najprzekrzeszszych rozdziałów historii Niemiec. Tym bardziej znamienity jest fakt, że tak wielka liczba polskich słuchaczy odpowiedziała na apel *Deutschlandfunk*, wykazując że obok winy i tragicznych powiązań w czasie wojny i po wojnie, tak Niemcy jak i Polacy dawali dowody miłości bliźniego i bezinteresownej pomocy. Siła tych wypowiedzi, torujących drogę do lepszego jutra między obu narodami, nabiera specjalnego znaczenia w obliczu trwającej nagonki pewnych warszawskich organów przeciw Republice Federalnej”.

Wydarzeniem mogącym w przyszłości stanowić znaną datę jest umówione spotkanie historyków niemieckich i polskich w Londynie, w dniach 17-20 marca rb. Będzie to dalszy ciąg rozmów zapoczątkowanych w październiku 1956 roku w Tybindze.

Trudno coś więcej pisać o tym spotkaniu przed jego urzeczywistnieniem. Jednak, wliczając przykłady pomyślnych zmian w niemiecko-polskich nastrojach na terenie Republiki Związkowej — wizytę niemieckich historyków u ich polskich emigracyjnych kolegów winienem być wymienić na pierwszym miejscu.

Po przeczytaniu powyższych notatek czytelnik może zapytać: skoro wszystko tak pięknie w Niemczech Zachodnich się rozwija — dlaczego autor rozpoczął swój „przeгляд” od stwierdzenia, że w Bonn nie nie wskazuje na zbliżanie się pomyślniejszej dla nas koniunktury? Zamiast odpowiedzi na

takie pytanie przytaczam kilka wstępnych zdań z wygłoszonego, w czerwcu ub.r. w Berlinie, wykładu profesora Waldemara Bessona z Erlangen.

„Niemcy — Republika Związkowa, której jesteśmy członkami, jest Wolną Wspólnotą. Mamy jednak czasem pewne wątpliwości, czy we wszystkich dziedzinach Republiki ta wolność tak wygląda, jak o tym mówi nasza Konstytucja. Bywają u nas rzeczy wywołujące niemiłe uczucia, jak na przykład trudność wyrażania prawdy o sprawach, które po roku 1945 powinny być prawdami. Mam na myśli dyskusje o granicy na Odrze-Nysie, o naszym stosunku do Wschodniej Zony i do światowego komunizmu. Są to sprawy obciążane w publicznych dyskusjach pewnymi emocjami i przesądami, przy jednoczesnym braku ochoty do wolnego i bezstronnego ich omawiania. Jak skorzy są u nas ludzie do wynajdywania obrazy naszych wartości narodowych i do mowy o zdradzie. Wspomnę tylko Karola Jaspersa, który przed kilku laty wetknął kij w gniazdo os, mówiąc o zjednoczeniu Niemiec. Sposób i rodzaj omawiania też Jaspersa dowiodły jak ciężko nam przychodzi swobodnie, krytycznie i wszechstronnie dyskutować o wielkich zagadnieniach naszego życia państwowego.

Z drugiej strony jednak, tu w Berlinie, w obliczu Muru, wszystko staje się mniej ważne. Dopiero w obliczu berlińskiego Muru właściwie od czuwamy jak wolny jest nasz kraj. W obliczu Muru sprawy, o których mówiłem i których nie chcemy bagatelizować, stają się nieważkie, bez znaczenia. Dla mnie bytność w Berlinie jest zawsze nowym potwierdzeniem mojej sympatii dla Republiki Związkowej, gdyż dopiero tu, w Berlinie, dostrzega się bez żadnych wątpliwości granicę swobody.

Wolność jest przede wszystkim zagadnieniem instytucjonalnym. Wolność jest tam, gdzie wolne instytucje funkcjonują, gdzie panuje podział władzy, gdzie opozycja jest możliwa i gdzie krytyka jest w użyciu. Rozpatrując z konstytucyjnego punktu widzenia Republikę Związkową — jest ona niewątpliwie naszą Wolną Wspólnotą.

Nasze niemiłe uczucia nie są konstytucyjno-prawnej natury. Pochodzą one z zagadnienia, czy naszym wolnym instytucjom dorównuje zmysł wolności naszych współobywateli. Max Weber w słynnym artykule wstępnym we *Frankfurter Zeitung* w listopadzie 1918 roku pisał, że wolność instytucji jest tylko cieniem, gdy instytucji tych nie wypełnia i nie uskrzydla zmysł wolności obywateli.

Nasza wątpliwość leży właśnie w zagadnieniu, czy nasze wolne instytucje rzeczywiście z wolnego ducha wyrastają”.

S. W. KOZŁOWSKI

Kraj

Pęknięcia i polski klej

W całym obozie socjalistycznym od Łaby po Ocean Spokojny zachodzą obecnie rzucające się w oczy przemiany. Zbyt wcześnie jeszcze osądzać jak będą głębokie, jak daleko zajdą i czy będą trwałe.

Podłożem ich jest spór chińsko-sowiecki. Pomimo wielkich wysiłków ze strony Sowietów, a także dużej aktywności niektórych innych partii — do załagodzenia sytuacji nie doszło. Po kilkutygodniowym pozornym załagodzeniu ognia wzajemnych oskarżeń na jesieni ubiegłego roku, odezwała się znowu ciężka artyleria rzucanych sobie nawzajem na głowę inwektyw, najpierw z Pekinu, a potem i z Moskwy.

Nie pomogły kierowane pod adresem towarzyszy chińskich, jeszcze w czasie pobytu Ulbrichta w Warszawie, apele Gomułki aby nie wyciągali sporów rodzinnych na światło dzienne. Nie na wiele przydały się podróże członków biura politycznego PZPR do innych partii, ani bezustanne starania kierownictwa partii polskiej, aby doprowadzić do zaklejenia pęknięć i rysów na organizmie światowego komunizmu.

Podróż Czou-en-Lai do Afryki została przyjęta przez Sowietów jako wyzwanie. To już nie jest spór o to czy wszystko ma się dziać na świecie „ze Związkiem Radzieckim na czele”. To nie sprawa prymatu wśród partii. Tu chodzi już o uderzenie w Sowietów, w ich działalność wobec świata zewnętrznego, „trzeciego świata” państw nowopowstałych.

Wprawdzie Czou w Kairze mówił o możliwym współdziałaniu Chin i ZSRR w razie wybuchu wojny, ale im dalej w głąb Afryki, tym wyraźniej dystansował się od Moskwy. Co więcej — wygrywając rasizm występował bardzo ostro przeciwko dominacji białych, a więc również i Rosjan.

Podobno m.in. wskutek działań Gomułki nie doszło do zwołania w Moskwie światowego kongresu partii wiernych kierownictwu rosyjskiemu, dla potępienia i ewentualnego wykluczenia

Chin. Podobno udało się też przekonać Chiny, aby w Tiranie, w czasie pobytu Czou, nie przedsięwzięły ostatecznych kroków, których konsekwencją byłoby utworzenie nowej międzynarodówki. Ale nadwiślańskie chłopki-roztropki wydają się nie doceniać nieodwracalności niektórych procesów między Chinami i Sowietami.

Na linii dalszych możliwości rozwoju sytuacji światowej leży naturalnie ewentualność zbliżenia chińsko-rosyjskiego. Tylko nie odbędzie się to na zasadzie kleju; ktoś musi tu przegrać. Ofensywę prowadzą Chińczycy — prowadzą z pozycji wygodnej wewnątrz obozu, ich działalność zewnętrzna nie doprowadziła jeszcze do utworzenia wielu nowych partii rozłamowych. Ale istnieją już one we Włoszech, w Belgii, w Brazylii, w Szwajcarii, w Indiach. Wierno Chinom są partie Indonezji, Japonii, Korei i ostatnio — coraz bardziej Wietnamu, nie mówiąc już o europejskiej ekspozyturze Pekinu — Albanii.

O skutkach podróży Czou do Afryki nie wiele jeszcze da się powiedzieć. Niezwykle elastyczny w swych wystąpieniach, wzmocnił prestiż Chin jako mocarstwa. Nie wiele chyba zdziałał dla podbudowy lokalnych partii komunistycznych i przyciągnięcia ich do Chin. W postępowaniu swym nie wiele różni się od „oportunistycznej” i „rewizjonistycznej” taktyki Chruszczowa. Flirtował z lokalnymi przedstawicielami narodowej burżuazji i o rewolucji wiele nie wspominał.

Właśnie dlatego głównym rezultatem jego podróży jest osłabienie w Afryce pozycji Sowietów. Ani Sowiety, ani Chiny nie są w stanie dać krajom afrykańskim takiej pomocy technicznej i materialnej, jakiej potrzebują i jaką dostać mogą tylko z krajów zachodnich. Ale w każdej najmniejszej stolicy, w której był Czou, zrozumieli dobrze, że Pekin aspiruje do roli jednej ze stolic świata, obok Moskwy, a jak dotąd — wbrew Moskwie i że światowy ruch komunistyczny, którego obrazem zonglowała przez tyle lat Rosja, nie jest bynajmniej monolitem.

Uznanie Chin komunistycznych przez Francję wzmocniło bardzo ich pozycję. Jakie skutki tego kroku widzi Pekin, wynika z deklaracji na ten temat samego Mao Tse-tunga, który oświadczył, że uznanie przez Francję „ułatwi walkę z imperializmem amerykańskim i ze współczesnym rewizjonizmem”. Czytaj ze Stanami Zjednoczonymi i... z Rosją.

O „współczesnym rewizjonizmie” nie zapomniał w Tiranie i Czou en-lai. Mówił o nim na wiecach fabrycznych, na bankietach. Jest o nim mowa i w komunikacie chińsko-albańskim. Znalazło się tam ironiczne zdanie o tzw. „socjalistycznym podziale pracy”, budowanym kosztem słabszych państw socjalistycznych, innymi słowy — o RWPG.

Chiny pozostają wciąż w charakterze obserwatorów RWPG. Uczestnictwo ich w pracach komitetu wykonawczego RWPG w grudniu 1963 r. w Bukareszcie, zwróciło uwagę obserwatorów. Czy byli tam dlatego, że posiedzenie odbywało się w stolicy Rumunii? Rumuński premier Maurer wystąpił na łamach ukazują-

czego się w Pradze miesięcznika międzynarodówki komunistycznej „Problemy pokoju i socjalizmu” z propozycją, by członkami RWPG, i to pełnoprawnymi (a nie tylko obserwatorami) były wszystkie kraje socjalistyczne, a więc i Chiny. Ale czy i Chiny i Jugosławia?

Co znaczy inicjatywa Maurera? Pokazanie niezależności Rumunii czy uzgodniony z Moskwą balon próbny? A w pierwszej ewentualności czyżby zaraza choć trochę niezależnego myślenia dotarła już do Pragi? I ogarnęła organy Międzynarodówki takie jak redakcja cytowanego miesięcznika?

Czy prawdziwe byłyby także wiadomości, że ostatnio Moskwa niezadowolona jest nawet z wiernego jej Saillant i Międzynarodówki Komunistycznych Związków Zawodowych?

Za dobrych, nie tak znów dawnych, czasów, kiedy pomiędzy poglądami działaczy Kominternu czy Kominformu a rosyjską racją stanu dochodziło do konfliktów, to zasłużeni towarzysze, nie umiejący doceniać dobrodziejstw socjalizmu w jednym kraju, szli pod stienku czy do łagrów. Nikita Siergiejewicz nie ma tak łatwego życia jak Josif Wissarionowicz. Stąd problemy i nasuwające się w związku z nimi pytania. W miarę czasu odpowiedź na nie przynoszą fakty. Tymczasem w styczniu bieżącego roku RWPG obchodziło 15-lecie swego istnienia. Rocznicą ta święcona była w krajach satelickich. W Polsce piano hymny pochwalne. Prasa innych krajów członkowskich RWPG była bardziej realistyczna w ocenie osiągnięć tej organizacji. Radio niemieckie przypominało, że w 18 najważniejszych komisjach RWPG przewodnictwo należy do Sowietów. Przytoczono przy tym fakty, że w imię wspólnego interesu zwycięstwa komunizmu, kraje RWPG muszą pracować na Moskwę i ponosić koszty jej polityki. Za dowód może służyć podróż Castro do Moskwy. Nie wytrzymał on długą taktyki frondy wobec Sowietów, nie stać go było na długą obrazę z racji wycofania wojsk sowieckich z Kuby i porozumienia amerykańsko-sowieckiego w sprawie zaprzestania prób z bronią jądrową. Fatalna sytuacja Kuby zmusiła go do przybycia do Moskwy gdzie sprzedał kubańską produkcję cukru na wiele lat naprzód.

Cena 6 centów amerykańskich za kilogram cukru jest nie wiele wyższa od połowy ceny obowiązującej obecnie na rynkach światowych (blisko 11 centów). W czasie długiego przelotu z Moskwy do Hawany Castro miał chyba dosyć czasu do rozmyślań, że jednak Amerykanie płacili lepiej. Płacili gotówką, gdy Rosjanie dostarczać będą na Kubę — w zamian za cukier — swe towary, wycenione z reguły o 20-30 procent wyżej od cen światowych. Stając się obserwatorem RWPG, Kuba zaczyna więc uczyć się dobrodziejstw tej instytucji. Co innego, że na rok 1964 dostała kredyt około 340 milionów dolarów. Z tego 60% ma podobno dostarczyć ZSRR a resztę europejskie państwa satelickie. Na Polskę ma wypaść około 30 milionów dolarów, tj. akurat tyle, ile w formie kredytu wieloletniego (30-toletniego) Polska dostała od Stanów Zjednoczonych przed paru tygodniami. O

handlu Polski z Kubą cicho w prasie krajowej. Pisze o nim za to prasa zachodnia. Polska ma wywieźć do Kuby w 1964 roku towarów za 100 milionów dolarów, prawie tyle co w roku 1963 do Anglii, która jest największym partnerem Polski na Zachodzie;

Jakoś nie wszyscy w ten sposób postępują. Do Anglii i Francji przybyły wielkie misje handlowe rumuńskie, by poczynić rozmówienia na wiele gotowych zakładów przemysłowych. Na zasadzie kupionych na Zachodzie licencji rozwijany jest w Rumunii przemysł chemiczny i przemysł stalowy. Dzieje się to zupełnie poza RWPG. Uwagę prasy światowej zwróciła wypowiedź zastępcy przewodniczącego rumuńskiej komisji planowania, stwierdzająca kategorycznie, że RWPG nie jest centralnym organem planowania krajów satelickich. W Rumunii śmiało dokonywana jest rumanizacja kraju. Zamknięto w Bukareszcie instytut Maksyma Gorkiego. W prasie coraz więcej przedruków z prasy zachodniej. Rumunia sprzedaje swoją ropę naftową Chinom, a i ropę i pszenicę Albanii. Rumunia, która jedyna z krajów socjalistycznych miała w bieżącym roku żniwnym nadwyżki zbożowe z gestem pożyczka pewną ilość pszenicy Sowietom. A równocześnie Gheorghiu Dej odwiedził Jugosławię i zawarł z Titą układ co do wielkiej inwestycji w żelaznych Wrotach, na Dunaju. A więc i z Chinami i z Jugosławią, obydwoma antypodami w bloku socjalistycznym — zgodnie z *interesem Rumunii*, na zasadzie rachunku i taktyki, i w tym wypadku za kierownictwem rumuńskim stoi cały naród.

Nowe powiewy widać w Bułgarii. Na łamach „Nowe wreme” dawny doradca Kostowa, skazany w „okresie minionym” na piętnaście lat więzienia, domaga się większej samodzielności zakładów pracy i bodźców materialnych dla robotników. Ukazać się mają drukiem pisma Kostowa.

Jeszcze dalej w reorganizacji gospodarki posunął się Ulbricht ogłaszając „nową politykę ekonomiczną” wbrew twardogłowym biurokratom we własnej partii. On, tyloletni zaciekle stalinista, nie wahał się związać z imieniem Stalina błędów biurokratyzmu, odsunąć na dalszy plan przejście do komunizmu, stwierdzić że NRD jest dopiero we wczesnej fazie budowy socjalizmu, w której gospodarować należy na zasadzie kalkulacji rentowności i zapewnienia bodźców materialnych dla robotników.

Z krytyki, jaką wygłosił na temat gospodarki węgierskiej wicepremier Kallai widać, że tam także dokonywane są zmiany modelu gospodarczego. Na Węgrzech i w Bułgarii chłopom przywrócono działki przyzagrodowe.

I w NRD i na Węgrzech stopa życiowa poprawia się i jest znacznie wyższa niż w Polsce. Czy tak mają wyglądać korzyści Polski z socjalistycznego podziału pracy?

Nie wiele wiemy o RWPG pomimo 15 lat jej istnienia. I nie znajdujemy niczego w powodzi artykułów i reportaży prasy reżymowej, co mogłoby nas utwierdzić w przekonaniu, że Polska rzeczywiście korzysta z udziału w tej organizacji.

Sowieckie maszyny w kombinacie siarkowym w Tarnobrzegu musiały być zastąpione przez inne, zachodnie, gdyż nie były w stanie dostarczyć dostatecznie dobrej siarki dla Czechów. Ale to nie Czesi będą pokrywać koszty tej zamiany.

Sowiety, NRD, Czechosłowacja sprzedają Polsce drogo złe maszyny, których nie mogą sprzedać gdzie indziej. Przeciwno takiemu traktowaniu zbuntowała się Rumunia, wykręcając się Węgry, niezależnia się nawet Bułgaria — ale nie Polska. Bo to przecież Polska w 1962 roku zaproponowała, by ożywić na nowo RWPG w ramach „socjalistycznego podziału pracy”.

W rezultacie Polska, która już w przyszłym roku najsilniej odczuje skutki eksplozji ludnościowej na rynku pracy, zmniejsza wszystkie inwestycje z wyjątkiem najkosztowniejszych inwestycji, przeznaczonych na rozwój tak zwanej bazy surowcowej.

Wielki Związek Sowiecki zbyt jest biedny, by rozwinąć kopalnie soli potasowych na Mińszczyźnie. Polsce potrzebne są nawozy sztuczne, a więc niech uczestniczy w budowie tych kopalni. Za to Polska zmniejsza rentujący się znowu wywóz węgla do krajów zachodnich, żeby mieć go dosyć na potrzeby krajów socjalistycznych; kiedy wszystkie bez wyjątku kraje RWPG szukają nowych dostaw do rynków światowych w Polsce z dumą podkreśla się, że tendencja tam jest odwrotna.

Ostatnio prasa sowiecka doniosła, że w ramach RWPG powstaje Instytut do spraw standaryzacji. Będzie on w pierwszym rzędzie zajmował się standaryzacją w zakresie przemysłów metalurgicznego i chemicznego. Ma się rozumieć siedzibą Instytutu będzie Moskwa i kierownictwo będzie rosyjskie. Wiadomo jest powszechnie, że w tej dziedzinie Sowiety nie są — łagodnie mówiąc — przodujące i narzucenie na stałe sowieckich rozwiązań technicznych może się odbić wręcz katastrofalnie na gospodarce polskiej. Czy i w tej dziedzinie Polska się bezkrytycznie zaangażuje?

Bo równocześnie w Polsce państwo postępuje jak najprymitywniejszy kapitalista. Fala redukcji etatów, zmniejszanie liczby zatrudnionych powiększa z miesiąca na miesiąc liczbę bezrobotnych. W tym samym czasie spadają przeciętne dochody zatrudnionych. Ceny rosną. Wielu towarów brak. Trzy lata spadku stopy życiowej to dużo.

A Gomułka, a za nim partia i rząd zajmują się klejeniem. Na XIII Plenum triumfalnie sklejoną kliki partyjne, które nie zniknęły, ale na rozkaz z góry ukryły się pod ziemią. Na XIV Plenum pokryto klejem bankructwo metod planowania i zarządzania gospodarką. Zrzucano odpowiedzialność na nieurodzaj, którego nie było i na rolnictwo, gdzie co roku produkcja wzrasta o 3% — tj. normalnie. Przemilczano, że najmniejszy wzrost (czy nawet spadek) wydajności był w górnictwie i w hutnictwie, gdzie wzrost funduszu płac był najsilniejszy. Za spokój socjalny w dużych zakładach fabrycznych niech płacą inni! Linia ta przeprowadzana jest z całą brutalnością. Choroba rezygnacji i zmęczenia, jaka ogarnęła społeczeństwo, otwiera pole dla wszelkiej dowolności.

Mimo tego kleju kliki szykują się do rozgrywek na IV Zjeździe — miał się odbyć w czerwcu, ale ogólnie przypuszcza się, że zostanie odłożony do jesieni (a nuż będzie dobry urodzaj!).

Cicho i zażarcie przygotowuje się ataki i kontrataki. Partyzanci szukają pomocy nawet u Albańczyków (1), a Puławianie szepcą, że Zambrowski poszedł, bo chciał przy pomocy Chin oswobodzić Polskę od sowieckiego wyzysku. A więc „kto kogo”...

Spekulacje te są mało ciekawe. Gomułka zrobi wszystko by i to zakleić.

Potrzebne mu są moczarowe pepesze dla „trzymania za mordę” społeczeństwa: buława dla „marszałka Florczaka” (2) rozradowała serca ludowego wojska — na wszelki wypadek.

Ale równocześnie Gomułce potrzebny jest Starewicz, bo przecież listów do innych partii nie będzie mu pisał Witaszewski!

Nie ważne jak się to stało, że Polska, która miała najlepsze możliwości rozwojowe dzięki tej fali sympatii, jaką po wypadkach poznańskich i październiku 1956 roku zyskała sobie na świecie — możliwości te zmarnowała i marnuje.

Nie ważne, że pomimo widocznych błędów w gospodarce nie ma żadnych śmielszych myśli jak je naprawić, a plany na najbliższą przyszłość roją się od tych samych prymitywnych niedociągnięć co dotychczas.

Nie ważne jest, że rząd i partia wyobcowały się całkowicie ze społeczeństwa i utraciły zdolność zmobilizowania go wówczas, gdy w innych krajach socjalistycznych odbywa się zwrot ku społeczeństwu.

Dla Gomułki ważną rzeczą jest klejenie frakcyjek wewnątrzpartyjnych i klejenie „bratnich partii” między sobą. Może mu się uda pod warstwą kleju utrzymać Polskę czas jakiś, ale czy na długo?

Bo przecież ostatnie ataki chińskie na Chruszczowa i Sowiety są ostrzejsze niż kiedykolwiek, a „Prawda” znowu sięgnęła do niezawodnego w takich wypadkach arsenału, wyliczając wielu delegatów na XVII Zjazd KPZR i wielu członków ówczesnego KC zostało zgładzonych na polecenie Stalina. Chiny postawiły problem odebrania partii sowieckiej przyznanego jej na Zjeździe 81 partii w 1957 roku prymatu i starszeństwa. Nie na takie sprawy cieniutki klej! Metoda kleju nie wystarczy i w sprawach polskich.

Prasa paryska rozpisła się o ukrywanych przez Gomułkę, a trwających od dwóch lat naciskach sowieckich w sprawie odstąpienia Szczecina NRD. Po ostatniej wizycie Chruszczowa w Olsztynie rozeszły się też pogłoski, że Sowiety dla zdyskredytowania Stalina gotowe były ogłosić prawdę o Katyniu, lecz Go-

(1) Grupa stalinowska do której zaliczani są: Rumiński, Kłosiewicz, Mijał i inni.

(2) W popularnych w Polsce „podwieczorkach przy mikrofonie” występują: Malinowski i Florczak. Ponieważ inwestytura Spychalskiego na marszałka Polski odbyła się przy udziale sowieckiego marszałka Malinowskiego, więc Spychalski otrzymał przezwisko: „marszałek Florczak”.

mułka i partia polska temu się sprzeciwiły. Wiadomość ta wydaje się nieprawdopodobna, jest jednak charakterystyczna dla tego, że wskazuje jak dalece upadło zaufanie do Gomułki.

Jako zaleta Gomułki wymieniana jest powszechnie jego ostrożność. Bywają jednak okresy kiedy ostrożność jest nieostrożnością.

Zamordyzm, spadająca stopa życiowa, uprzywilejowanie partii kosztem całego społeczeństwa, walka z inteligencją, odsuwanie bezpartyjnych fachowców, kłamliwa propaganda — wszystko to jest już dobrze znane.

Jak się to dzieje, że właśnie w Polsce idzie się w tym kierunku, gdy inne kraje socjalistyczne zrzucają z siebie ponure ślady przeszłości?

TRAF W SEDNO!

**SZYBKIM PRZEKAZEM
PIENIĘŻNYM DO POLSKI**

TAZAB 22, ROLAND GARDENS • LONDON S.W.7

TEL. F.R.E. - 3175

TOM XCV

BIBLIOTEKI "KULTURY"

SERIA „ZESZYTY HISTORYCZNE”

ZESZYT PIĄTY

zawiera m.in.:

Druga podróż Mikołajczyka do Moskwy (Stenogram z posiedzenia Rady Narodowej R.P. w Londynie z 27.X.1944).

St. Lubodziecki — *Wypadki listopadowe z 1923 r. w Sądzie Wojskowym.*

Jerzy Mond. — *Z narad Aktywu Centralnego w sprawie sytuacji na froncie kulturalnym w dn. 23.XII.1955.*
Przemówienia: *Jakuba Bermana, Kazimierza Brandysa i Hilarego Minca.*

o r a z d z i a ł y

W OBCYCH OCZACH (teksty L. Bykowskiego i gen. por. Popiela) — SĄSIEDZI i in.

Mimo podwyżki prenumeraty „Kultury” abonament „Zeszytów Historycznych” na rok 1964 wynosi dla prenumeratorów „Kultury” w dalszym ciągu tylko 15 F (22 sh; dol. 3,00) — a więc otrzymują DWA „ZESZYTY” W CENIE JEDNEGO

Str. 240

Cena egz. 15 F. (22/-; dol. 3,00)

Administracja posiada jeszcze na składzie pewną ilość poprzednich numerów ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH.

Sprawy i troski

W oczach Londynu

...więc cicho siedź
Jak w beczce losu solony śledź.

M. Ł.

Cytata ze styczniowych „Kontynentów”, bardzo odpowiednia na Popielec. Reszta utworu pod psem, ale „puste” strofki zdarzały się i Trzem Wieszczom, nie mówiąc o wieszczach naszej Emigracji. Juliusz Sakowski wynalazł antologię francuską, w której takie smakowite gryzki zebrano pracowicie gwoli wspierania imaginacji mówców i pismaków.

Chciałoby się poszeptać o niejednym i niejednej. Ale nie wypada. Są granice. Tabu. Cicho, sza. Jutro będziemy mówić o kim innym. Jest to głęboka prawda życiowa szczególnie przydatna na naszym terenie.

Tłusty Czwartek. Ostatki. Hall „Ogniska” oblepiony afiszami. Zabrakło biletów na Bal Rolników u Barkersa, sala za mała, na 400 osób. W „Daquise” brak pączków. Wysocki otworzył drugą salę w „Al Ristoro”: kuchnia włoska, meble zakopiańskie. No, i brak stolików... W „Ognisku” tłok i najdłuższy w Londynie ogonek do WC.

Jedna rozpacz. I to tylko: pieśń uszła cało. Krążymy po Hyde Parku nucąc pod wąsem:

Z drapaczy sterczących dumnie
Zejdź, luba do mojej chatki...

Ča suffit. Mądrej głowie dość dziura w moście, jak mawiać zwykło polsko-angielskie pacholę z Ealingu. Przysłowia się także odmładzają.

Prosperujemy. Odmładzamy siebie i innych. Podczas niedawnego tournée po Izraelu Hemar, Włada Majewska i Kitajewicz odmładzali tysiące widzów i słuchaczy. I samych siebie. W końcu nie wiadomo było kto kogo odmładza.

Celebrujemy. Grydzewski obchodził 40-lecie „Wiadomości” grypą czterdziestolecia, bijącą rekordy wszystkich poprzednich.

Działyśmy. Nie ma wieczoru bez kilku zebrań obradujących nad zmianami statutów i projektami łączenia pokrewnych organizacji czy instytucji. W momencie finału On, Ona lub Oni powiadają „Veto” i Kopiec Niespełnionych Zamierzeń podwyższa się o dalszą warstwicę.

W Blackpoolu, w czasie wojny na dowództwie lotnictwa pojawił się pewnej nocy szylde ze świetnymi jelenimi rogami i napisem „Nadleśnictwo Lotnictwa”. *Practical joke* godził w instytucję „leśnych dziadków”, starszawych oficerów, trzymających się kurczowo ziemi i obsiadających gromadnie biurka i wanny w zamienionych na urzędy hotelach.

„Leśni dziadkowie” przetrwali wojnę, PKPR, przewrót zamkowy i, rzec by można, samych siebie, są wśród nas, prosperują. Ale nikt ich już tak nie nazywa. Mówi się obecnie o „starszych panach”. Jest to specjalność Londynu, bez wyraźnego odpowiednika w innych środowiskach, relikw Stratonu i Rubensa.

„Starszy pan” liczy lat mniej lub więcej — *dziesiąt* — nie to jednak stanowi o jego tytule. Formalnie biorąc mógłby nim być np. prof. Hełczyński. Nie jest, bo ożywił (zamiast usnąć) Pol. Tow. Naukowe. Gen. Kukiel jest nim tylko częściowo, gdyż wbrew innej niepisanej regule obowiązującej „starszych panów” orientuje się dobrze, co w trawie piszczy w zakresie nauk historycznych w kraju i na świecie. Władysław Günther wyłamał się z klanu, rozczławił się w Mroźku i Różewiczu i wyraźnie zezując w stronę młodych.

Wzorcowy „starszy pan” jest uosobieniem godności, uporu i tradycji. Jak ognia strzeże się zetknięcia z teraźniejszością i jak znawca starych win koncentruje na trosce o utrzymanie umysłowego *status quo*. Póki żyli Wielcy Mistrzowie Tradycji — prof. Brzeski, Stroński, Żółtowski — pojawiał się od czasu do czasu na uczonych i literackich wieczorach, by je uświetnić, zasiadłszy w pobliżu wysuniętego naprzód fotelu Prezydenta. Dziś — nie warto! Przybysze z kraju pragnący oglądać naszych gwiazdorów szukać ich muszą w restauracji „Ogniska” a nie, jak dawniej, na naukowych i literackich imprezach.

„Nie warto”, „odchodzimy bez następców” — oto sztandarowe zawołania „starszych panów”. „Nie”, „nic z tego nie będzie” — oto instynktowna reakcja na plany „Don Kichotów” zastanawiających się nad możliwością scalenia i łącznej gospodarki polskiego mienia społecznego w Londynie.

Jeden z takich Don Kichotów (z YMCA) sporządził takie zestawienie w dwu kolumnach, by plastycznie zilustrować bardzo charakterystyczną cechę naszego układu stosunków. Po jednej stronie: Przychodnia Lekarska na Rutland Gate, po drugiej na Weymouth Str. Jedna i druga robi bokami, w poczekalniach pułkownika. Albo: Tow. Pomocy Polakom versus Komitet Obywatelski Pomocy Uchodźcom Polskim w Wielkiej Brytanii. Albo: Biblioteka Polish Research Centre *contra* Biblioteka Polska na Prin-

ces Gardens. Albo: Polskie Towarzystwo Historyczne *contra* Polskie Towarzystwo Naukowe. Itd.

Zestawienie pobieżne, niepełne, pomijające najwdzięczniejszą dziedzinę najwspanialej rozbudowanego życia politycznego. Kto ogarnia jego całokształt? Ciołkoszowie? Okulicz? Stahl?

Dublowanie jest więc cechą oczywistą. Osobliwością tego wymyślnego systemu jest w większości wypadków brak różnic ideologicznych. Nie są to odpowiedniki *shadow cabinets* w parlamencie brytyjskim, ale po prostu relikty okresu wojennego lub wczesnego powojennego chaosu, troskliwie pielęgnowane z bliżej nieokreślonych powodów.

Inną osobliwością jest skład zarządów. Ta sama ekipa „starszych panów” powtarza się w różnych kombinacjach w większości zarządów i trustów. Po Londynie krąży powiedzenie, iż trzej czy cztery spośród najpracowitszych prezeso-skarbniko-sekretarzy siadłszy w pomyślnej chwili do stolika mogłoby w ciągu jednej narady doprowadzić do zjednoczenia kluczowych organizacji polskich i realizacji projektu Domu Polskiego. Jest to, oczywiście, marzenie ściętej głowy. Zamiast oblewania takiej okazji obchodzimy 19-lecie projektu Domu Polskiego i 10-lecie projektu połączenia bibliotek.

Negacja *a priori*, „Nie” przed wysłuchaniem projektu jest swoistą „mortuiną” poczyniła emigracyjnych. „Nie warto”, „nie da się zrobić” — to stara osłuchana melodia, wytarta jak teczki, w których „starsi panowie” marynują zdyskwalifikowane przez nich projekty pióra „szalonych głów”.

Prowincja, z Manchesterem na czele, dowiodła, że można przy dobrej woli zrealizować projekt Domu Polskiego — nie mówiąc o kościołach i związanych z nimi domach parafialnych i szkołach. Z niczego, wbrew rzeczywistym trudnościom, powstało 120 szkółek sobotnich, skupiających jak wyliczył ostatnio Michał Goławski ponad 5000 dzieci polskich. Inne 5000 (a może i więcej) byłych wychowanków przedszkoli i szkół polskich z obozów i hosteli powojennych osiągnęło już pełnoletność i objawia się w zespołach teatralnych i tanecznych, chórach, klubach sportowych, szybowcowych, szachowych itp. instytucjach, którymi zrzadka tylko interesują się „starsi panowie”. Jest więc i będzie komu służyć.

„Warto” — „nie warto” rozstrzyga się na różnych płaszczyznach. Nie ulega wątpliwości, że w społeczności polskiej w Wielkiej Brytanii coś się przełamało, że zachodzą zasadnicze i pomyślne zmiany. Kto by śledził np. dział tak niewdzięczny i użytkowy jak zestawienia nazwisk dzieci polskich, które rozwiązały krzyżówkę „Tygodnia Polskiego”? Kto by interesował się ilością strojów krakowskich, łowickich i kujawskich sprowadzonych z Polski i sfabrykowanych na miejscu dla dzieci i członków zespołów tanecznych? Albo ilością płyt gramofonowych „Mazowsza” przegrywanych w domach polskich? Albo renesansem amatorskich jednodniówek i gazetek powstających, jak grzyby po deszczu w różnych ośrodkach prowincjonalnych. Analiza ich powie-

działałyby wiele o prospektach na przyszłość. Nie wróżą one zagłady.

Jeden z historyków krajowych wykazał niedawno, iż „przy końcu roku 1832 na terenie Francji przebywało 5362 polskich emigrantów — całość Wielkiej Emigracji obliczano na 15.000 osób”. Przy najbardziej złowrogich postępach śmiertelności i wynaradawiania bez ryzyka omyłki mówić można, iż skurczenie do owych dziewiętnastowiecznych cyfr jest kwestią bardzo dalekiej przyszłości. Światli przyjaciele angielscy, śledzący wyniki prac naukowców polskich w Wielkiej Brytanii czy Kanadzie eliminują zjawisko szybkiej zagłady, mówią o analogii z Hugenotami, którzy rozplynęli się przecież w społeczności brytyjskiej bardzo opornie.

Londynowi potrzebne jest, i to na gwałt, wielkie reprezentacyjne centrum skupiające esencję zbiorów muzealnych i historycznych, ośrodki informacyjne i dokumentacyjne, zaopatrzone w salę teatralną, lokale biurowe, sali do zebrań itp. Fakt, że odnowiono i zmodernizowano „Ognisko” jest pełen swoistej wymowy: lokal o wszelkich cechach podrzędnej restauracji dworcowej, odstraszał młodych, stał się nagle atrakcyjny i modny, ściągnął setki „nowych twarzy” i ściąga je nadal. Plany Ośrodka Polskiego, opracowywane obecnie w gronie *sprzyjających humanistom* techników, wychodzą z podobnego założenia. Opierają się ponadto na realnej ocenie rozproszonego mienia społecznego ulokowanego w nieruchomościach, których większość administrowana jest po amatorsku lub w części tylko wyzyskana.

Nie są to obliczenia gołostowne: w posiadaniu polskim znajdują się w samym tylko Kensingtonie wielkie imperia Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, Lotników, trzy domy Polish University College Association Ltd. (PUCAL’u), „Ognisko”, Instytut Sikorskiego, przychodnia lekarska w domu harcberskim przy Rutland Gate, Skarb Narodowy na Emperor’s Gate, Szkoła Nauk Politycznych na Bolton Gardens itd. — wykaz na pewno niepełny. Imperium Komitetu Obywatelskiego sięga poza Londyn do Beckenham, gdzie mieści się słynny „Antokol”, wzorowy dom dla starszej inteligencji. YMCA rezyduje na Bayswater, kobiety Polki na Warwick Road, Instytut Piłsudskiego na Upper Richmond Road, „Polska Podziemna” na Ealingu, Polish Research Centre na Pont Street, Pisarze na Finchley Road, — i wreszcie „Zamek” na Eaton Place. Nadto sieć domów dochodowych podtrzymujących egzystencję Stowarzyszenia Techników, Komitetu Obywatelskiego, Towarzystwa Pomocy Polakom (hotel „Shellbourne”, apteka Jagg, hostel przy Hugh Str. itp.). Nadto sierocińce, domy dla starców itd.

W przeciwieństwie do instytucji naukowych ogłaszających systematycznie sprawozdania w „Rocznikach Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie” instytucje społeczne „spowiadają się” sporadycznie i opieszale, co spotyka się z coraz częstszymi sprzeciwami ze strony „szarego” człowieka (casus Komitetu Obywatelskiego którego działalność obudziła zainteresowanie w

związku z niedawnym jubileuszem dra Poznańskiego, kilkakrotnie upominano się o sprawozdanie).

Podsumowanie dałoby obraz w równym stopniu imponujący jak i budzący niepokój. Skoro jesteśmy tak zasobni, skoro tyle uratować zdołano dzięki rozsądnej gospodarce i wysiłkowi jednostek, czemu robi się tak mało w kierunku scalenia i utrwaleń podstaw gospodarczych majątku Emigracji? Czemu w tej tak istotnej dziedzinie panuje przesadna wstydlivość, a nawet, jak powiadają Polaków, z Nim tylko rozliczać się będą?!

Ale „polski Londyn” żyje nie tylko tymi sprawami. Lada moment posypie się deszcz nagród: cztery Związku Pisarzy, jury „Wiadomości” — i pewno dalsze, niespodzianki. Rok miniony nie należał do najgorszych: materiały do bibliografii emigracyjnej przekroczyły już 300 pozycji z 1963. Wzrosły cyfry wypożyczonych książek zarówno w Bibliotece Polskiej (przechodzącej jeszcze jeden ciężki kryzys budżetowy) jak Centrali Bibliotek Ruchomych (przechodzącej w bliskiej przyszłości pod zarząd angielski w National Central Library).

Obniża się natomiast w sposób raptowny ilość książek krajowych zakupywanych w księgarniach londyńskich. Winna temu osobliwa polityka Warszawy zmierzająca z bliżej niezrozumiałych powodów do odcięcia Emigracji od produkcji wydawniczej kraju. Jest w tym jakaś daleka analogia do polityki stosowanej wewnątrz kraju a wyrażającej się obcięciami przydziałów papieru, co w sposób oczywisty wpływa hamująco na czytelnictwo i podwyższa ceny książek i czasopism. Chudy numer „Twórczości” kosztuje tyle a może i więcej, co gruby sprzed kilku lat. Przy obliczaniu cen książek dla zagranicy stosowany jest wysoce niekorzystny kurs złotego, ok. 40 zł. za funta, co równa się mniej więcej jednej piątej rzeczywistej relacji tych walut, osiąganey przy pewnych formach wymian legalnych w PKO. Rezultatem tych decyzji są ceny-dziwołagi pomyślane niewątpliwie jako straszaki dla zniechęcania nabywców, a więc np. „Słoneczne życie” Jadwigi Toeplitz-Mrozowskiej — cena krajowa zł. 95, oficjalna dla W. Brytanii £. 2.3.0 (tj. ponad 6 dolarów), „Estetyka miasta Warszawy” A. Magiera — zł. 110 (£ 3.6.0), „Rocznik Polityczny i Gospodarczy, 1963” zł. 90 — £ 2.14.0, tj. dokładnie dwa razy tyle co w roku ubiegłym itp. Szczytem ludowego wyzysku jest cena książki wydanej z okazji *International Musicological Congress devoted to the Works of Chopin* — £ 7.19.6 (ok. 25 dolarów) wyraźnie wymierzona w kapitalistyczny świat muzyczny! Przetofografowanie książki krajowej kosztować będzie niezadługo taniej od oryginalnych jej egzemplarzy! Wznosimy przeto okrzyk: „Precz z uciskiem kapitalistów Zachodu przez zwycięski proletariatski Polski Ludowej!”

I jak tu siedzieć cicho?

Jacek o sobie, o Polsce i o wielu innych rzeczach

Mama mówi, że trzeba Polskę kochać, ale nie tę, która jest, ale tę, której nie ma, tę która była przedtem, kiedy mama była młoda, a nas z Wojtkiem wcale nie było. Bo tamta Polska była biała, a ta jest komunistyczna, czerwona. Nam z Wojtkiem trudno zresztą to pojąć, bo czy kolor biały, czy czerwony, czy oba razem, to chyba wszystko jedno. I kim zresztą są komuniści? Ksiądz Paweł mówił, że komuniści są z piekła rodem i różne inne rzeczy w tym rodzaju. My z Wojtkiem bardzo chcielibyśmy ich zobaczyć; ciekawe, czy są czarni i czy mają rogi. Widzieliśmy kiedyś w gazecie fotografię jednego komunisty, ale nie miał rogów i chyba nie był czarny. Pytaliśmy o to ojca, bo był kiedyś w partyzantce, czyli w lesie, i pewnie ich tam widział i inne czarownice. Ale ojciec gadać nie chciał, a mama powiedziała, że od komunistów, ognia i wojny niech nas Pan Bóg strzeże. Z ogniem ma chyba rację, ale co do wojny to nie powiem. Ja bym bardzo chciał być na wojnie, tak jak ojciec. Musiał tam być „fun” w partyzantce, ciągle znaczy na powietrzu i pracować nie trzeba było, ani chodzić do szkoły. Nawet małe szczeniaki, takie jak ja i Wojtek, też tam podobno były i broń nosiły nabitą, a nam nie chcą nawet kupić wiatrówki.

Kiedyś mamę zapytałam, kiedy znowu będzie wojna i czy szybko, ale mama się gniewała i powiedziała, że taki jestem głupi jak orzeł bez korony na nowej polskiej fladze. Więc ja spytałam, czy tamten w koronie, którego widywała za młodu, nie był głupi i właściwie po co orłu korona. Bez korony chyba lżej. Ja np. wolę koronę na głowie królowej Elżbiety, zawsze co człowiek, to nie ptak. Ale mama nie lubi Elżbiety, mówi, że „nie ma do niej zainteresowania”. Ona ma zainteresowanie tylko do polskich królów, Kazimierza Łokietka i innych, których widywała za młodu. Teraz ich już nie ma, czemu — nie wiem. Widocznie komuniści nie chcą nosić korony. Bo gdyby chcieli, to by mogli. Czemu nie? W polskim skarbcu na Wawelu jeszcze korony są i te inne ararysy, na których królowie spali, cośmy je przysłali z Kanady. Ja bym bardzo chciał je zobaczyć. Takie śmieszne słowo „araras”, tak zupełnie jak „ararytas”. Tak mówi ojciec, kiedy się na nas gniewa: Ararytasów się wam zachciewa, czy co?! Chleb z masłem nie wystarczy?

Ojciec podobno nie zawsze miał chleb z masłem, nie zaw-

sze nawet miał chleb. Polska bardzo jest uboga i nawet zboże tam nie rośnie. Dlatego wciąż posyłamy paczki cioci Jadzi, wujkowi Stefanowi, babci i dziadkowi, kuzynce Meli i Bóg wie komu jeszcze. Oni wszyscy chcą rodzynek i fig. Rodzynki też tam nie rosną, ani figi. Nie wiadomo, co tam rośnie. Mają tylko lasy, a w nich dużo grzybów. Te grzyby się suszy i wysyła do nas na święta. Na sucho nie są smaczne, my z Wojtkiem kosztowaliśmy, w zupie też nie za bardzo. Ale mama mówi, że my się nie znamy, bo zupa „pachnie domem”, tym domem, w którym mama mieszkała za młodu, i którego też już nie ma, bo go spalili Niemcy.

Ze też mama wciąż żałuję tego, czego już nie ma? Nie ma, to nie ma, to się nie wróci, zresztą co za różnica — taki, czy inny dom? Tamten dom nie był nawet ładny, ściany miał z gliny i dach ze słomy i pewnie do środka padał deszcz. Jedno tylko było w nim dobre — wcale w nim nie było łaźienki i nie trzeba się było kąpać, ani myć. Do ustępu też nie chodzili, tylko prosto w pole, niby że to nawóz. Nie wiem tylko, jak robili w zimie. Na śniegu musiało być bardzo zimno.

My z Wojtkiem chcielibyśmy do Polski pojechać, żeby zobaczyć prawdziwych komunistów i grzyby w lesie. Tylko wolelibyśmy latem, żeby tam nie chodzić do szkoły, bo ze szkołą różnie bywa. Wprawdzie pisać i czytać po polsku umiemy, ale nie tak bardzo. Alfabet polski wcale nie jest taki łatwy, np. pisze się o, a mówi się u, tylko dlatego że o ma kreskę. Co za różnica z kreską, czy bez? Polacy w ogóle przywiązują wagę do szczegółów, powiedz „proszę”, powiedz „dziękuję”, podaj pani krzesło. Kanadyjczycy po prostu mówią „hallo” i nigdy nic nie podają. Wojtek mówi, że uczyć się po polsku nie warto, bo książki polskie wcale nie są ciekawe. Ciągle tylko o pszczołkach, grzybkach i krasnoludkach. Nas to z Wojtkiem nudzi i wielu słów nie możemy zrozumieć. Po polsku np. mówią pług, albo brona, albo socha, a po kanadyjsku tylko traktor. I w Polsce wcale nie było Indian, ani kowbojów, a żołnierze wciąż umierali i na Westerplatte i gdzie indziej i wielką z tego widać mieli przyjemność, bo do dziś dnia palą im świece i na wszystkich grobach rosną brzozy. Ja bym nie chciał leżeć w grobie ani z brzozą, ani bez, ani nawet pod pomnikiem, ale mama pewnie by chciała, bo ona lubi cmentarze i zawsze chodzi oglądać pomniki. Jak umrze, postawimy jej orła z koroną.

Polacy to w ogóle dziwny naród. Ciągle mówią o przykrych rzeczach, jak śmierć i katar i podatki. Pieśni też mają dziwne. Jednej nauczył nas ojciec. Zaczyna się tak:

*Patrz Kościuszko na nas z nieba
Jak w krwi wrogów będziemy brodzić...*

Nie wiadomo, co to wszystko znaczy? Ojciec mówi, że brodzić tzn. chodzić po kostki w wodzie. Ale jak można brodzić we krwi? Musiałaby być tej krwi cała rzeka. A przecież krew nie płynie, tylko krzepnie, tego nas uczyli w szkole. W Polsce widocznie inna jest krew. I co to znaczy Kościuszko? Ojciec mówi, że to taki narodowy święty, czyli bohater. Ale jeżeli święty, to czy by chciał z nieba patrzeć na całą rzekę krwi? Chociaż może by chciał, bo niektórzy święci też zabijali, np. święty Jerzy zabił smoka.

Inne piosenki też są dziwne. W jednej np. mówią o „kurzu krwi bratniej”. Jak się może z krwi zrobić kurz? Wojtek nawet próbował, przeciął sobie palec, ale nic z tego nie wyszło, krew bratnia była, ale kurzu — nie. I o Bogu też dość dziwnie mówią, że niby Bóg Polskę „smagał”, tak jakby konia batem. Polska nie koń, a Bóg nie woźnica. I po co właściwie miał ją smagać?

Ja już wolę piosenki wesołe, tylko że niektóre też nie są do sensu. „Ja za wodą, ty za wodą” — śpiewa się w jednej — „jakże ja ci buzi podam, podam ci ją na listeczku” itd. Jak można buzię podać na listeczku? Buzia — nie sztuczne włosy, odczepić się jej nie da.

Dużo by o tym wszystkim dało się powiedzieć, tylko w domu nie można, a w szkółce sobotniej też lepiej nie, bo siostry się gniewają i zaraz stawiają do kąta. Tylko z Wojtkiem można pogadać, ale też nie zawsze, bo Wojtek nie ma czasu i mówi, że to wszystko „rubbish”. On jest Kanadyjczykiem i jak wyrosnie, będzie grał w hockey, a ja, mówi, mogę jak chcę. Mogę jechać do Polski, mogę grzyby zbierać i nawet dawać buzię na listeczku. On by się w takie rzeczy nie bawił, bo to nie po męsku i w ogóle żaden „fun”. Ale ja mogę, czemu nie. Mogę nawet dać się pochować pod tą brzozą, czy jaką inną wierzwą, gdzie, jak śpiewają, „konik nogą grzebie mogiłę dla niego”. Ja zresztą myślę, że to też nieprawda, bo jakby koń wygrzebał sam mogiłę? Ale mama mówi, że konie są inteligentne i przede wszystkim nie są ani białe, ani czerwone, tylko po prostu konie. Mnie to wszystko trochę martwi i czasem zazdroszczę innym dzieciom na ulicy, że są po prostu tutejsze, mówią w domu tak jak w szkole i nie muszą chodzić do sobotnich szkółek. Jak wyrosnę, nie będę chodził, ale na to trzeba długo czekać. A tymczasem ma się dużo kłopotów i często stoi się w kącie. Tyle na dzisiaj. Może jutro coś jeszcze napiszę. Jacek.

Danuta Irena BIENKOWSKA

Sprawy gospodarcze

Niemiecki "Wirtschaftswunder"

Gdyby ten artykuł był pisany w roku 1955, byłby zapewne utrzymany w tonie bardziej lirycznym. Istotnie w owym okresie renesans gospodarczy Niemiec robił wrażenie wyjątkowe, *einmalig*, jak mówią Niemcy. Od owych na dzisiejsze tempo odległych czasów zanotowaliśmy cały szereg tych „cudów gospodarczych”. Pomijam Szwajcarię: Szwajcaria jest Arką Noego płochliwych i strwożonych kapitałów pieniężnych na oceanie inflacji i socjalizmu. Austria jest zjawiskiem na zbyt małą skalę, by można było jej ewolucję pożytecznie porównywać z ewolucją Niemiec. *Boom* w Hiszpanii jest zbyt świeżej daty, by jego kontury stały się jasne, a poza tym objął, jak dotąd, niemal wyłącznie przemysł i zawody, związane z turystyką. Kraje za Żelazną Kurtyną przeżywały i przeżywają inflację optymistycznych statystyk i prognoz, ale poza tym znaczą się tylko ciężkimi ołowianymi chmurami trwałego „kapuśniaka” na horyzoncie. Ale Włochy są też *Wirtschaftswunderem*, który może rywalizować z osiągnięciami NRF. Ale przede wszystkim jesteśmy świadkami fenomenu japońskiego; fenomen ten jest oczywiście znacznie późniejszy pod względem dat od rozkwitu Niemiec, dotąd też nie osiągnął niemieckiej skali. Jeżeli chodzi jednak o punkt wyjścia, japoński był wielokrotnie niższy od niemieckiego, pozycja geograficzna jest dużo mniej korzystna, zwłaszcza wobec kompletnego odcięcia od naturalnego dla Japonii chińskiego rynku zbytu, bogactwa naturalne są jeszcze mniejsze, niż w wypadku Niemiec, przeludnienie było i jest wielokrotnie gorsze, przyrost ludności jest nadal zastraszająco wielki w przeciwieństwie do rekordowo niskiego powojennego przyrostu naturalnego Niemiec. A jednak Japonia zajmuje dzisiaj

Artykuł dyskusyjny.

już w bardzo wielu dziedzinach przemysłowych trzecie miejsce w świecie Zachodnim: po Stanach i Niemczech, a przed Anglią i Francją i jest na najlepszej drodze, by stać się trzecim wielkoludem Zachodniego Świata. Więc czyżby kolosalna ekspansja Niemiec, zamiast być *einmalig*, mogła być normą, mogła być udziałem każdego kraju, który z energią, zapałem i dyscypliną zabiera się w drugiej połowie XX wieku do odbudowy gospodarczej? Nie wykluczam, że ta druga hipoteza jest właśnie bliższa prawdy. Atoli nie mam dość miejsca, by się nad nią dzisiaj rozwodzić. Fenomen gospodarki niemieckiej jest w każdym razie pierwszy pod względem czasu, znajduje się bliżej nas, bo w sercu Europy, i już choćby z tego względu zawiera dla wszystkich Europejczyków, a więc i dla Polaków, więcej tematów dla rozmyślań i porównań.

Cyfry

Za najważniejsze uważam cyfry, które ilustrują wzrost stopy życiowej, bo inwestycje, produkcja, handel zagraniczny etc. są tylko środkami do celu: a tym celem jest stopa życiowa, czyli zaspokojenie potrzeb jak największej ilości obywateli. Dla oceny wzrostu stopy życiowej wzrost płac realnych (w przeciwieństwie do nominalnych) ma znaczenie decydujące. Nawet we Francji, mniej zmodernizowanej od Niemiec, proporcja *salariés* czyli pracobiorców wzrosła pomiędzy 1938 a 1960 rokiem z niecałej połowy na 70%: w Niemczech jest jeszcze wyższa, bo procent rolników, rzemieślników, sklepikarzy i samodzielnych wszelkiego typu jest niższy niż we Francji. Otóż według danych oficjalnych przeciętna płaca realna robotnika NRF wzrosła z 243 DM w r. 1950 do 614 DM 1962: w roku ubiegłym wynosiła o 10% więcej, czyli około 700 marek. Uwzględniając wzrost cen, wzrost płac realnych w ciągu dwunastolecia 1950-1962 wyraża się cyfrą 96%, powiedzmy sto procent dla okrągłego rachunku (na 1-go stycznia 1964 ten stosunek przekracza 100%). Podwojenie płac realnych w ciągu 12 lat — to już jest bardzo dużo: wszak Butler w roku 1958 obiecał — tylko obiecał! — podobne podwojenie dochodów realnych i stopy życiowej dopiero na rok 1983 a więc na przestrzeni 25 lat. A więc nawet w obietnicach rząd angielski preliminuje wzrost stopy życiowej dwa razy wolniejszy od tego, który rzeczywiście miał miejsce w Niemczech.

Prawda, punkt wyjścia Niemiec w roku 1950 był wyjątkowo niski: gdyby dochody i płace realne w Niemczech miały się znowu podwoić w latach 1964-1975, tobyśmy stanęli wobec fenomenu o wiele bardziej zdumiewającego, od tego, którego byliśmy świad-

kami w latach pięćdziesiątych. Ale z drugiej strony wzrost płac realnych nie odzwierciadla całego polepszenia losu pracobiorców niemieckich w ciągu ubiegłej dekady. By zrobić bilans wszystkich korzyści klasy robotniczej trzeba by jeszcze uwzględnić: wzrost zatrudnienia, bardzo poważny skoro objął nie tylko „Vertriebene” ale także dwa miliony uciekinierów z Wschodniego Berlina i z Niemiec Wschodnich, a także 800 tysięcy pracowników zagranicznych, skrócenie tygodniówki i dłuższe wakacje, zażegnanie kryzysu mieszkaniowego przez dostarczenie ludności sześciu i pół milionów mieszkań, w tym znacznej proporcji (około połowy) tak zwanych *Sozialwohnungen* (odpowiednika HLM) o bardzo niskich czynszach — wobec czterech milionów trzypokojowych *homes* zbudowanych w tymże okresie w Anglii, a tylko trzech milionów, zbudowanych we Francji po wojnie. Jeżeli uwzględnić te momenty i wiele innych, to trzeba dojść do wniosku, że wzrost płac realnych w powojennych Niemczech przekraczał 100%, nawet znacznie.

Statystyki międzynarodowe są notorycznie nieściśle, bo podstawy obliczeń są różne. Najlepsze, a właściwie jedyne wiarygodne — to są statystyki Komisji Brukselskiej, które obejmują państwa Szóstki, czasem także Anglię. Otóż Komisja Hallsteina obliczyła, że przyjmując płace realne w Luksemburgu w roku 1962 za 100, płace realne w tymże roku wynosiły w Niemczech 99, we Francji 98, w Belgii — 91, w Holandii — 89 i we Włoszech tylko 82. Są to zapewne najlepsze cyfry, którymi rozporządzamy. Pomijając Luksemburg, który jest maleństwem i gdzie poziom płac zależy tylko od koniunktury w przemyśle stalowym, widzimy, że niemieckie płace realne były w roku 1962 odrobinczkę wyższe, niż we Francji. W roku 1963 płace nominalne wzrosły szybciej we Francji, ale wobec przeszło dwa razy szybszego wzrostu cen francuskich od niemieckich, płace realne wzrosły dwukrotnie więcej w Niemczech niż we Francji. Tak więc *décalage* płac niemieckich wobec francuskich wynosi dzisiaj więcej, niż jeden punkt, zapewne dwa, i, jeżeli wzrost cen czyli inflacja we Francji nie zostanie w sposób drakoński i na stałe zahamowana, jeżeli poza tym Francja nie zwiększy szybko o 100% podaży nowych mieszkań w HLM'ach — to ta różnica na korzyść Niemiec może tylko przybierać na sile. I Niemcy i Francja mają dzisiaj wyższe płace realne, niż Anglia.

Zresztą ilustrację tych statystyk znajdujemy w danych o migracjach pracowników z Alzacji poprzez Ren do Badenii. Od niepamiętnych czasów płace w Alzacji były stale wyższe, niż w sąsiedniej Badenii. Za czasów, gdy Alzacja stanowiła część *Reich'u*, jak również między wojnami i po ostatniej wojnie — Badańcy przekraczali rano Ren na łódkach, promach i mostach,

by pracować w fabrykach alzackich, a wieczorem wracali do siedzib u podnóża Czarnego Lasu. Dopiero w r. 1961 ten odwieczny rytm się odwrócił, i dzisiaj codziennie osiem tysięcy Alzacków przekracza co rano Ren, by pracować w fabrykach i na budowlach Rastadtu, Karlsruhe, Kehl i Fryburga. Otóż ten miernik jest zawsze murowany. Migracje pracobiorców odbywają się zawsze od niższych do wyższych płac. Kraj o wyższych płacach jest zawsze dominujący, zawsze staje się „hegemonem”. Polityka niskich płac jest zawsze dowodem biedy. Może być chwilowo konieczna, by wydobyć się z tarapatów, by nadrobić straty wojenne, kryzysowe, zacofanie. Na dłuższą metę niskie płace są objawem chorób ekonomicznych, zaniedbań, błędnej polityki gospodarczej, nadmiernych zbrojeń, nadmiernego przyrostu naturalnego, jednym słowem klęsk i nieszczęść. „Jak cię widzą, tak cię piszą”. To stare przysłowie odnosiło się dawniej do pałaców i trybu życia królów i możnowładców. Dzisiaj się odnosi do statystyk płac realnych. Są one bardziej wymowne od wszelkiej propagandy, od wszystkich teorii. W dniu, w którym płace realne ekonomii „socjalistycznych” będą wyższe, naprawdę, a nie na papierze, niż w krajach kapitalistycznych, kapitaliści będą musieli zamknąć sklepik. Nic ich nie uratuje. Jedynym usprawiedliwieniem nierówności majątków i dochodów jest — dzisiaj — fakt, że „kapitaliści” potrafią zapewnić pracobiorcom wyższe płace realne, niż socjaliści wszelkiego autoramentu.

Dwa okresy „Wirtschaftswunder’u”

Przyjrzyjmy się po krótko historycznemu procesowi odbudowy gospodarczej Niemiec, bo proces ten jest bardzo pouczający. Lata wojny były latami potwornych strat gospodarczych: wszystkie rabunki, wszystkie zabory, tym bardziej wszystkie mordy i kacety — które gospodarczo były oczywiście, jak zresztą wszelkie formy pracy więziennej i przymusowej, szczytem aberracji i nonsensu, nie tylko okrucieństwa — nie mogły w żadnym wypadku wyrównać kolosalnych wyrw, wywołanych przez mobilizację prawie całej młodzieży i ludzi w sile wieku, produkcji zbrojeniowej, gospodarki wojennej, a wreszcie zniszczeń spowodowanych bombardowaniem i działaniami wojennymi na terenie samych Niemiec. Wspominam o tym dlatego, że bardzo wielu naszych rodaków sądzi, iż rabunki wojenne, kradzież mienia Żydów i narodów podbitych, konfiskaty, rekwizycje były dla Niemiec źródłem fenomenalnych dochodów: istnieje rozpowszechniony pogląd, że przynajmniej do roku 1944, może nawet do roku 1945,

wojna była dla Niemiec operacją dochodową. Nonsensowność tych teorii jest dla każdego ekonomisty oczywista. Przy włamaniu straty poszkodowanego są zawsze wielokrotnie większe, niż zysk włamywacza. Gdy państwa wkraczają na miejsce jednostek, różnica jest jeszcze jaskrawsza. Francja straciła w Rosji 45 miliardów franków złotych: ale to co przejęli bolszewicy w formie przemysłu, maszyn czy zapasów dewiz i złota stanowiło wielokrotnie mniej. Dzisiaj podobnie straty państwa francuskiego i obywateli francuskich w Algierii są wielokrotnie większe, niż to co przejął rząd Ben Belli na skutek nacjonalizacji i ucieczki ludności europejskiej z południowych brzegów morza Śródziemnego.

Pierwsze trzy lata powojenne były dla Niemiec katastrofą, bezprzykładną w Zachodniej Europie. My, nieszczęśliwi Wschodni Europejczycy, jesteśmy do podobnych katastrof przyzwyczajeni: nasze kresy wschodnie wyglądały w roku 1921 nie lepiej od Niemiec Zachodnich w roku 1945. Na terytorium o blisko połowę mniejszym, niż w roku 1937, znalazła się ludność o osiem milionów liczniejsza, w tym przeszło pięć milionów inwalidów wojennych, a produkcja przemysłowa spadła do 40% produkcji z 1936 r. Brak jakiegokolwiek waluty poza dolarem i walutą papierosową zwiększył jeszcze panujący chaos. Do tego doszedł demontaż (*dismantling*) fabryk, głównie w strefie sowieckiej, co jest innym problemem, a poza tym w Ruhrze, czyli w strefie okupacji angielskiej. Ludność upatrywała w demontażach względy konkurencyjne: Anglicy chcieli się pozbyć konkurentów niemieckich na rynkach eksportowych. Jak każdy zły i nielojalny uczynek, tak i ten się zemścił: nie tylko wytworzył w NRF kapitał antyangielskich nastrojów i podejrzeń, który w końcu odbił się w powstaniu Wspólnego Rynku bez Anglii, i w zaniku — pomimo tradycji datujących od Waterloo — anglofilizmu w Bonn, ale, co ciekawsze, ten angielski *dismantling* stał się źródłem lub przynajmniej jednym z powodów dzisiejszego zacofania Anglii: oto zabierając maszyny, a właściwie graty z Ruhry, Anglicy zmusili Niemców do kupienia najnowszych i najlepszych maszyn amerykańskich, a sami po dziś dzień dłami i zakazami przywozu chronią swe przestarzałe przemysły, które nadal pracują na „przedpotopowych” gratach niemieckich. Do najbardziej zacofanych przemysłów angielskich należą stocznie: a one właśnie, przy pomocy admiralicy, najintensywniej demontowały stocznie okrętowe w Hamburgu i Kilonii. Dążenie do wyrządzenia szkód gospodarczych innemu krajowi zawsze okazuje się boomerangiem, i zawsze odbija się na krzywdzicielu. Ekonomia jest, a w każdym razie być powinna, wielkim aliantem ETYKI w życiu międzynarodowym, wielkim argumentem na korzyść tezy, że uczciwość i dobra wola, a nie szacherki i złośliwość, się w końcu opłacają.

Okres „bohaterski”: 1948-55

Rząd Bundesrepublik powstał 15 września 1949, kiedy to Adenauer został wybrany przez Bundestag jednym głosem większości na konstelera. Ale *Wirtschaftswunder* datuje się o rok wcześniej: od czerwca 1948, kiedy to została przeprowadzona reforma walutowa: bezwartościowa Reichsmarka została zastąpiona przez nową DM, czyli markę niemiecką. Starą Reichsmarkę drukowano nie tylko w trzech strefach zachodnich, ale także w strefie sowieckiej, i już ten wzgląd uniemożliwiał jakkolwiek sanację waluty a więc i gospodarki niemieckiej. Nic też dziwnego, że Sowiety zareagowały z największą furią na zachodnio-niemiecką reformę walutową: blokada Berlina była rewanzem Stalina za reformę walutową. Stary zbir, choć nie ekonomista, miał nadzwyczajne wyczucie, gdy tylko mu jakiś nóż wrywano z ręki.

Ta reforma walutowa została przeprowadzona przez aliancki, faktycznie przez amerykański *Military Government*, a więc przez generała Lucius Clay, który ma tę zasługę, że oparł się skutecznie blokadzie Berlina, a więc pierwszemu i najgroźniejszemu zamachowi na nową walutę. Ale sam Clay i jego doradcy ekonomiczni z których czołowym był Żyd nowojorski pochodzenia niemieckiego, Tennebaum, byli przerażeni reformą, która odbywała się pod ich egidą. Prawdziwym autorem tej reformy był nie Clay i nie eksperci amerykańscy, ale drugorzędny profesor ekonomii z Norymbergi, Ludwig Erhard. Ów Erhard był ciężko ranny w obie nogi angielskim szrapnelem koło Ypres jeszcze w 1915 roku, od tego czasu chodził w żelaznych obręczach czy strzemionach: to kalectwo sprawiło, że nie był zmobilizowany w 1939 roku i że hitlerowcy nigdy nie naciskali na skromnego wykładowcę Norymberskiej Wyższej Szkoły Handlowej, by wstąpił do ich ruchu czy brał udział w ich marszach i pochodach. Reforma Erharda była prosta: za jednym zamachem unieważnił cały obieg pieniądzy, emitował po 40 nowych DM na łebek, a jednocześnie skasował wszystkie „kontrole” — ceny maksymalne, racjonowanie, kupony na ubrania etc. Clay, gdy się dowiedział o treści reformy, groził Erhardowi sądem polowym. Ten z uporem twierdził, że pod wpływem ciasnoty monetarnej towary wypłyną na rynek, bo nikt nie będzie w stanie ich tezauryzować. Twierdził, także, że przy tej ciasnocie pieniądza ceny będą musiały zacząć spadać, a nie rosnać. Tak się stało. Jak to często bywa, Clay zaczął chodzić w glorii reformy, której był najgłębiej przeciwny.

D-marka stała się pieniądzem

Myśl przewodnia reformy monetarnej była prosta, jak wszy-

stkie wielkie myśli: w Niemczech brakowało wszystkiego — posiad, miejsc pracy (*jobs*), mieszkań, ubrań, żywności, transportu, opału etc. Twórcy D-Marki postawili sobie jako cel, by JEDEN towar stał się jeszcze rzadszy, jeszcze w mniejszej podaży od wszystkich innych, i by towarem *rarissime* była właśnie D-Marka. Przez lata całe Erhard, a może jeszcze z większym naciskiem Adenauer i jego minister skarbu, Schaeffer, powtarzali: trzeba, by każdy wiedział po orgiach inflacji, że marka jest marką a fenig fenigiem, by się nauczono markę szanować. Jeszcze długo po reformie walutowej Schaeffer gromadził w kraju, w którym pensje urzędnicze były straszliwie niskie, w którym brakło mieszkań, szkół, taboru kolejowego, szpitali, samochodów, odzieży, słowem wszystkiego, kolosalne NADWYŻKI BUDŻETOWE, i je sterylizował, często pod najgłupszymi pretekstami, ale ze skutkiem: podaż marek była i od strony budżetu i od strony banku emisyjnego zredukowana do minimum, i w najtwardszej szkole ludność nauczyła się szanować swą walutę. Gdym zamieszkał w Niemczech w 1951 roku, zaledwie w trzy lata po reformie walutowej, miałem dolary, i byłem zdumiony, że już wówczas, gdy próbowałem czasem zapłacić w sklepie lub w restauracji banknotem dolarowym, wszyscy odmawiali jego przyjęcia: nie wiemy, jaki jest kurs, powiadano mi ze wszystkich stron, niech pan pójdzie do banku, i sam zmieni go na marki, my nie chcemy obcych walut. Wydaje mi się, że we wszystkich krajach za Żelazną Kurtyną rządy nie potrafiły stworzyć tego bezwzględnie automatycznego zaufania do własnej waluty, i stąd nauki z niemieckiej reformy mogą być im przydatne: nie wierzę, by można było prowadzić właściwą politykę walutową i gospodarczą, póki ludność ucieka się do obcych walut lub ich używa, jako miernika wartości.

Przytoczę ilustrację stopnia DRAKONSKOŚCI tej niemieckiej reformy, którą wyczytałem przed laty w *interview* któregoś pisma niemieckiego z generalnym dyrektorem Volkswagenu, Dr. (duże D małe r, kropka!!!) Nordhofem. Fabryka Volkswagen została założona przez Goeringa w Wolfenbuettel koło Hannoveru w 1936, ale wypuściła zaledwie sto czy tysiąc wozów Volkswagena, który był dziełem inż. Porsche i który w zasadzie ma dotąd ten sam kształt i ten sam motor, i przetrzymała się na budowanie czołgów. Po wojnie ruiny fabryki przejęli Anglicy, w których strefie znajdował się Wolfenbuettel, i angielski *Military Government* naprzód wywiózł co lepsze maszyny, jako służące dla produkcji wojennej, a po roku wznowił produkcję w rejonie Hannoveru, by zapobiec olbrzymiemu bezrobociu. Obydwa te posunięcia były katastrofalne. Maszyny wywiezione do Anglii zostały sprzedane fabrykom Austina i Morrisa, i ponieważ były przestarzałe, bardzo się przyczyniły do zacofania wozów brytyjskich wobec wozów konty-

nentalnych, i w szczególności właśnie do nowych Volkswagenów. Gdy zaś Anglicy uruchomili tę fabrykę, to prowadzili ją tak nie- dołężnie, że produkcja w pierwszym roku wyniosła coś około 50 wozów. W rezultacie na wiosnę 1948 roku Anglicy oddali całą tę kupę żelazniwa rządowi Dolnej Saksonii, który wynalazł 40-letniego inżyniera, katolika (rzecz rzadka w tej protestanckiej okolicy), który podjął się niewdzięcznego zadania rozkręcenia produkcji samochodów osobowych. Nordhof opowiadał, jak po reformie walutowej ciasnota pieniężna była w Niemczech tak straszna, że on sam musiał przez rok objeżdżać jeepem stacje benzynowe i pożyczać od nich po paręset marek, by móc wypłacać tygodniówki swym pracownikom. A dzisiaj Volkswagen jest największą fabryką samochodów w Europie, która sama jedna produkuje więcej wozów osobowych rocznie, niż cała Anglia!

Niespożyte zasługi klasy robotniczej

Pierwszy etap niemieckiego *Wirtschaftswunder* polegał na powrocie w ciągu okresu, który można oceniać na 5 do 7 lat (od 1948 do 1953 wzgl. 1955)), od PRYMITYWU gospodarczego, bez pieniądza i wśród ruin, do *normalnej* gospodarki rynkowej, regulowanej przez prawo popytu i podaży. Co było istotną przyczyną tego olbrzymiego sukcesu? Wszystkie rządy wiecznie nawołują swe narody do wysiłku, do podporządkowania interesów osobistych i klasowych interesom całości. Widzę trzy wypadki w ostatnich czasach, kiedy te nawoływania zostały wysłuchane BEZ PRZYMUSU. Bo sukcesy gospodarki wojennej w wielu krajach, sukcesy odbudowy w Rosji czy Chinach zostały osiągnięte w drodze przymusu. Otóż te trzy kraje — to Niemcy Zachodnie, to Japonia, i to Izrael. Już we Włoszech dyscyplina narodowa okazała się znacznie słabsza, i stąd proces „cudu gospodarczego” był znacznie dłuższy: dopiero koło roku 1960 Włochy naprawdę zaczęły odgrywać większą rolę w gospodarce światowej. Zresztą jeżeli przyjąć, że „cud gospodarczy” dochodzi naprawdę do finału dopiero z chwilą likwidacji bezrobocia, to trzeba uznać, że dopiero teraz możemy mówić o włoskim „cudzie”.

Niemiecki *Wirtschaftswunder* jest rezultatem abnegacji i poświęceń przede wszystkim klasy robotniczej, ściślej pracobiorców w ogóle, a następnie poświęceń, rozumu i ogromnych zdolności i talentów klasy przedsiębiorców. Co się stało po reformie walutowej? Klasa robotnicza pogodziła się z niesłuchaniem niskimi płacami, które zapewniały tylko minimum egzystencji. Pogodziła się dalej ze stosowaniem z miejsca polityki komprymowania liczby posad i *job'ów* (*Arbeitsplaetze*): i rząd, i przedsiębiorstwa, od

pierwszej chwili uznali, że tylko przedsiębiorstwa, zatrudniające MINIMUM koniecznych pracowników mogą się rozwijać, a więc w przyszłości dać więcej zatrudnienia. Od początku, mimo ogromnego bezrobocia, firmy niemieckie i rząd niemiecki poszli na inwestycje, a nie na roboty publiczne, nie na konsumpcję, jako na drogę dla zaradzenia bezrobociu na dłuższą metę. Od początku niemiecki przedsiębiorca zastępował robotnika maszyną, gdy tylko to się opłacało. Bezrobocie zaraz po reformie walutowej wzrosło do przeszło dwóch milionów, przez lata nie spadało poniżej miliona. Dodajmy, że podatek dochodowy był z miejsca bardzo dotkliwy. Samotny pracownik o głodowej pensji 300 DM miesięcznie płacił 10% podatku osobistego, plus składki na ubezpieczenia społeczne, które znowuż niskie nie były. Tydzień pracy *de facto* wynosił 54 godziny. Ofiary, które poniosła niemiecka klasa robotnicza dla rehabilitacji gospodarczej Niemiec, są bezprzykładne. Prawda, w Rosji były zapewne jeszcze większe. Ale w Rosji były one wynikiem terroru siepaczy Berii, w Niemczech były procesem dobrowolnym.

Rzutkość przedsiębiorców

I jeszcze jedno. W Rosji te ofiary były wymuszone na rzecz państwa. W Niemczech beneficjentem tych niskich płac, tego cierpliwie znoszonego bezrobocia, był nietyle kapitalista, co przedsiębiorca. Bierny kapitalista został potraktowany brutalnie: wkłady pieniężne utracił, dywidend żadnych nie było, podatki od majątku, od dochodów innych niż z pracy najemnej były szalenie wyśrubowane. Kapitalista bierny został wywłaszczony, albo zredukowany do stopy życiowej proletariusza. Ale przedsiębiorca, businessman stał się najbardziej uprzywilejowanym członkiem społeczności niemieckiej. Inwestycje zostały omal zupełnie zwolnione od podatków. *Selbst-Finanzierung*, ten wytrych do niemieckiej *prosperity*, stała się tabu.

Businessman niemiecki nie zawiódł zaufania ani swego rządu, ani swych pracobiorców. W latach heroicznych, podczas gdy businessmeni angielscy i francuscy myśleli tylko o odtworzeniu swej przedwojennej stopy życiowej, przedsiębiorcy niemieccy okazali fenomenalną pracowitość, spartańskie obyczaje i niezwykle talenty organizacyjne, handlowe i techniczne. Mieszkałem dwa lata w Monachium na Schumannstrasse, na przeciw małego sklepiku kolonialnego, i przez dwa lata patrzyłem, jak jego właściciel co dzień przychodził pierwszy, już o siódmej rano, a wychodził ostatni, już grubo po ósmej, i patrzyłem, jak co dzień rozszerzał swój asortyment towarów, ich jakość, urządzenie witryn, zapasy na miej-

scu, a w końcu lokal: gdym się przeniósł na inną ulicę sklepik już zajmował cały parter kamienicy, bo mieszkania zostały zamienione na lady. Wielkie firmy w ogóle nie brały pod uwagę wypłacania dywidenty, absolutnie cały zysk szedł w inwestycje. Nikt nie próbował ratować przemysłów czy przedsiębiorstw, które nie miały szans na ekspansję: z autarkicznych resztek III Reichu, jak np. z fabryk sztucznej benzyny, gdy można było dostać poddostatkiem taniej nafty z Ameryki, z miejsca zrezygnowano. Pęd do koncentracji, do modernizacji objął cały przemysł. Nie próbowano kosztownymi subwencjami ratować małego rolnika, czy małego kupca, czy małej fabryczki, czy małego rzemieślnika. Darwinowski *survival of the fittest*, niesprawiedliwy ale skuteczny, stał się niepisany kanonem. Niemcy totalnie odrzucili teorię „zwiększania siły nabywczej”, która szerzyła spustoszenia w Anglii i Francji. Ta teoria ma pewne uzasadnienie, gdy istnieją leżące odłogiem narzędzia produkcji: w okresach ich braku nie ma sensu. W pewnym stopniu ekonomia zrujnowanych Niemiec przypominała stosunki w Stanach z czasów „pionierów” w 19-ym wieku.

Rząd NRF dał przykład oszczędnej gospodarki

Państwo też ułatwiło ten *Wiederaufbau* przez ograniczenie robót publicznych do minimum: prawie wszystkie środki zostały zarezerwowane dla businessmana, który inwestował sprawniej, wydajniej, taniej, niż państwo. Państwo ograniczyło się do absolutnie koniecznego minimum odbudowy dróg, ulic, kanalizacji, kolei, autostrad etc. Ale przez lata drogi w Niemczech były okropne w porównaniu nie tylko z Francją, ale i z Anglią; ale przez lata trzeba było co kilka kilometrów zjeżdżać z autostrad, bo mosty i wiadukty były wciąż rozwalone; ale koleje były przedpotopowe i tabor był opłakany. Szkoły gnieździły się w prymitywnych barakach, a uczenie odbywało się wszędzie na dwie zmiany, niekiedy nawet trzy: czasami dzieci mogły się uczyć tylko wieczorami, bo za dnia nawet w tych rozwalonych budach nie było miejsca. Szpitale były straszne. A jednak minister skarbu zamykał mieszek i miał dość charakteru, by gromadzić wśród tych braków nadwyżki budżetowe, w ten sposób przeciwdziałając zwyżce cen i presjom inflacyjnym, wyrastającym z coraz większego zatrudnienia. Istotnie, w ciągu lat 1948-1963 wskaźnik kosztów utrzymania w Niemczech wzrósł tylko o 20%, czyli przeciętnie wzrastał o półtora procent rocznie. Jedna tylko Szwajcaria miała równie stałe ceny. Bo o ile nigdy nie wolno godzić się z wzrostem cen o 3 lub więcej procent rocznie, jak to robi Francja, o tyle można

twierdzić, że wzrost cen o półtora procent rocznie jest do strawienia przez armię konsumentów, że stanowi pewną premię dla przedsiębiorców, i pewną skuteczną grzywnę dla ciułaczy i tezauryzatorów, którzy w ten sposób są zachęceni do lokowania swych oszczędności w papierach procentowych czy w akcjach, zamiast skupować złoto czy trzymać banknoty pod podłogą.

Rząd federalny, rządy krajowe, magistraty zrobiły jeden tylko wyjątek od tej polityki *austerity*, który to wyjątek wydaje mi się nie tylko słuszny, ale godny najszerzego naśladowania. Władze niemieckie od początku dusiły jak najbardziej wzrost płac, i tę politykę stosowały plus minus do 1961 roku. Ale jednocześnie wszelkimi środkami zaczęto popierać budownictwo mieszkaniowe, z którego lwia część została z miejsca przeznaczona na *Sozialwohnungen*, odpowiednik HLM (*Habitations à Loyer Modéré*) we Francji i *County Council Houses* w Anglii. Już w r. 1955 budownictwo mieszkaniowe w Niemczech doszło do 550 tys. nowych mieszkań rocznie, i dotąd utrzymuje się na tym poziomie. Od wojny Niemcy zbudowały 7 milionów mieszkań, Anglia cztery, Francja tylko trzy! Różnica klimatu socjalnego, siły partii komunistycznej tłumaczy się przede wszystkim różnicą tych właśnie cyfr. W praktyce rząd powiedział Niemcom: będziemy wam bardzo źle płacić, będziecie musieli oszczędzać na jedzeniu, na piwie, na papierosach, na ubraniu, na wszystkim, ale będziemy wam dawać mieszkania. Za jednym zamachem ta polityka ubiła kilka zajęcy: pokój socjalny był uratowany, rodzina została poważnie podmurowana (procent dzieci nieślubnych z 20 i nawet 25 zaraz po wojnie spadł do 5% obecnie!), presje inflacyjne zostały zahamowane a inwestycje wzrosły: bo budownictwo mieszkaniowe jest samo przez się inwestycją, a poza tym pobudza inne przemysły inwestycyjne, jak stal, cement, cegielnie, instalacje elektryczne, kanalizacyjne, gazowe etc. Gdyby rządy Pompidou i Macmillana były twardsze wobec żądań podwyżki płac, a przeznaczały znacznie większe środki na budownictwo mieszkaniowe, klimat społeczny i koniunktura w Anglii i Francji byłyby znacznie lepsze, niż są. To że wszyscy we Francji i w Anglii zaczynają sobie zdawać z tego sprawę jest ilustracją tego, co należy rozumieć przez termin „*leadership* gospodarczy”. *Leader*’em jest ten kraj, to państwo którego przykład wszyscy pragną naśladować, dlatego, że jest narzucany przez pogróźki, *mises en demeure*, *dates préclusives* i tym podobne archaiczne reminiscencje z pseudo-dyplomatycznego lamusa, ale ponieważ każdy widzi w tym swój interes.

Dobrodziejstwa ograniczeń w płodzeniu

Obok niskich płac, długich godzin pracy, poświęceń klasy

robotniczej, intensywnej i sprawnej *Selbstfinanzierung* przedsiębiorców, rozumnej polityki finansowej, budżetowej i kredytowej władz, istniały jeszcze inne elementy tego niemieckiego „cudu”, z których niektóre są przesadzane, a wiele niedocenianych.

Otóż wśród wielu elementów dyscypliny, którą Niemcy sobie samym dobrowolnie narzucili, jest jeden, niesłuchanie ważny, a całkowicie i zagranicą i w Niemczech samych zapoznany. Tym momentem jest OGRANICZANIE POTOMSTWA. Po katastrofie 1945 roku Niemcy odwrócili politykę populacyjną Hitlera o 180 stopni i stopa rozrodczości czyli liczba urodzeń spadła chwilowo nawet do 15, a trwale — bodaj do 1960 roku — do 16 pro mille. Po raz pierwszy od 150 lat rozrodczość niemiecka spadła poniżej francuskiej. Ekonomicznie, płodzenie dzieci jest długoterminową inwestycją, która przez szesnaście czy dwadzieścia lat czy niekiedy dłużej, powoduje olbrzymie wydatki, a rentuje się dopiero później. Spadek rozrodczości daje gospodarce kolosalne *respiro*. Jest to jeden z najlepszych, najbardziej skutecznych sposobów walki z kryzysem i mурowany sposób zmniejszenia napięć socjalnych. Niemcy nie byłoby w stanie znieść powojennych prywatacji, związanych z polityką *austerity*, nie pogodziliby się tak łatwo z latami niskich płac, bezrobocia, forsowania inwestycji kosztem konsumpcji, gdyby jednocześnie płodzili dużo dzieci. Na tę samą drogę weszła Austria, która nawet pobiła rekordy niemieckie: zaraz po wojnie stopa urodzeń w Austrii spadła aż do 13 pro mille, a potem przez 10 lat utrzymywała się na poziomie 14 pro mille, na poziomie najniższym w Europie. I znowuż ta błogosławiona wstrzemięźliwość w płodzeniu dzieci pozwoliła Austrii wyciągnąć się z okropnej opresji, stanąć na własnych nogach. Płodząc na skalę np. Polski, Niemcy nigdy by sobie nie dali rady z kryzysem gospodarczym, nie byłoby zapewne żadnego *Wirtschaftswunder*, bo środków i na odbudowę, i na inwestycje, i na dwa razy więcej kołysek na pewno by nie starczyło. Przy wyższej stopie urodzeń byłoby rzeczą wykluczoną, by Niemcy mogły równie szybko i sprawnie wchłonąć miliony *Vertriebene*, którzy ze Wschodu napłynęli do kadłubowej Rzeszy.

Uciekinierzy z Wschodnich Niemiec

Nie wyrobiłem sobie dotąd definitywnego zdania, czy napływ *Vertriebene* był dla Niemiec zjawiskiem gospodarczo pomyślnym czy nie. Wśród nich była duża ilość ludzi starszych, chorych, kobiet, dzieci, inwalidów: procent zdolnych do pracy był niższy, niż wśród autochtonów Zachodnich Niemiec. Poza tym byli to ludzie zgorzkniali, niezawsze dopasowani do nowego otoczenia.

Natomiast z całą pewnością błogosławieństwem dla Niemiec Zachodnich był napływ Niemców z Wschodniego Berlina i Wschodnich Niemiec, uciekających przez dziurę berlińską spod panowania kacyka Ulbrichta. Ten exodus wyniósł w sumie około 2 milionów osób, blisko 200 tysięcy rocznie aż do 13 sierpnia 1961. W przytłaczającej większości była to młodzież poniżej lat 25, przeważnie młodzi chłopcy, często z wykształceniem zawodowym lub z doświadczeniem praktycznym. Ci młodzi mogli być z miejsca wciągnięci w procesy produkcyjne, znajomość języka, wspólny *background* obyczaju i upodobań (choćby kuchnia, piwo etc.) umożliwiały natychmiastową asymilację. Uciekinierzy z Niemiec Wschodnich wpływali zniżkowo na płace, odznaczali się szczególną pilnością, oszczędzali specjalnie dużo, by sprowadzić rodziców, rodzeństwo lub narzeczone. Była to najlepsza imigracja, jaką można sobie wyobrazić: jeżeli się pomyśli, że zamiast niej Anglicy sprowadzali Murzynów z Jamajki a Francuzi Algierczyków z Afryki — to niejedna zagadka *Wirtschaftswunder*’u z miejsca się tłumaczy. Dopiero po zamknięciu muru berlińskiego Niemcy zaczęły sprowadzać na wielką skalę imigrantów, na szczęście dla siebie tylko Europejczyków, głównie Włochów i Hiszpanów: ale rentowność gospodarcza i socjalna nawet tej imigracji europejskiej jest mniejsza, niż *Ost-Fluechtlinge*, bo są trudności językowe, różnice charakteru i usposobienia, metod pracy, gustów, słowem wydajność tych przybyszy nie jest równie wysoka, jak uciekinierów ze Wschodu. Ten był ideałem: dawał pracownika w wieku najbardziej produkcyjnym, a koszt edukacji i wychowania odpadał. Politycznie był jeszcze jeden plus: ponure opowieści ze znajomości *de visu* życia pod komunizmem pogłębiały naturalny konserwatyzm mas niemieckich, oraz pogłębiały antyrosyjskość nastrojów mas, co tak odróżnia Niemcy od Francji i Anglii.

Pomoc amerykańska

Wypada jeszcze omówić moment kapitalny: jaką rolę należy przypisać pomocy amerykańskiej w tym odrodzeniu gospodarki niemieckiej. Piszę oczywiście „amerykańskiej” a nie „zachodniej”: pomoc angielska i francuska, nie mówiąc naturalnie o łupiestwie sowieckim, była czysto fikcyjna. Jeżeli chodzi o pomoc amerykańską, to pomijam pierwsze trzy lata do reformy walutowej: oczywiście, że w tym okresie pomoc UNRRA uratowała Niemcy, jak zresztą niemal całą Zachodnią Europę od śmierci głodowej, ale tej pomocy UNRRA dla samych Niemiec, tym bardziej samych Niemców, (bez D.P.’isów) cyfrowo ująć się nie da, poza tym miała ona charakter filantropijny, humanitarny, nie gos-

podarczy. Pomoc amerykańska zaczyna się od planu Marshalla. O ile pamiętam — bo warunki zmuszają mnie do pisania bez archiwów, bez *reference books*, bez sekretarek, polegając tylko na własnej, fenomenalnej pamięci — pomoc Marshallowska wyniosła 6 miliardów dolarów dla Anglii, pięć miliardów dla Francji, cztery miliardy z okładem dla Niemiec. Oczywiście uczciwość każe te cyfry z miejsca skorygować. Do cyfry pomocy Niemiec trzeba dodać specjalne kwoty pomocy dla Berlina Zachodniego, które były pomocą ściśle polityczną, uzupełnieniem odparcia blokady sowieckiej, ale która miała, obok ważnych efektów politycznych, także ważne efekty gospodarcze. Nie pamiętam, ile dokładnie wynosiła ta pomoc dla Berlina, ale była duża, i trwała długo, badajże do 1958 roku, kiedy to przejęła ją wyłącznie NRF.

Obok pomocy Marshallowskiej, trzeba by uwzględnić również wydatki amerykańskie, wynikające ze stacjonowania na terenie Niemiec olbrzymiej armii amerykańskiej. Koszty jej utrzymania pokrywały Niemcy tylko częściowo aż do r. 1955 w formie trybutu okupacyjnego: po przyjęciu Rzeszy do NATO, 5 maja 1955, trybut ten się skończył. W każdym razie amerykańskie wydatki wojskowe miały kolosalne znaczenie dewizowe, dużo większe niż budżetowe. Z punktu widzenia dewizowego obecność wojsk amerykańskich w Niemczech była ekwiwalentem obecności naprzód pół miliona, potem ćwierć miliona całorocznych amerykańskich turystów. Trzeba defalkować to co oni sami wydawali w swych P.X.'ach i import bezcłowy nie tylko sprzętu, ale także żywności etc. do koszar etc.: mimo tego zysk dewizowy był olbrzymi, i sędzę, że i po dziś dzień jest bardzo duży, choć bardzo trudno go wyrazić cyfrowo nawet dzisiaj, cóż dopiero w okresie „cudu”. Jaką część swej gaży amerykański G.I. wydał na P.X.'owe kino czy stołówkę, a jaką na lokalną *Bierhalle* czy *Gaststaedte*, jaką część na „chodzenie” z amerykańskimi „pestkami”, których były krocie, a jaką na uwodzenie niemieckich pańienek, z których 40.000 rok rocznie poślubią G.I.'ów i emigrowały do USA, by dzielić życie nowych małżonków i nowej ojczyzny? Kto to może obliczyć? Ale jest rzeczą pewną, że obecność G.I.'ów w Niemczech tłumaczy w dużej mierze sukces niemiecki w uporaniu się z hydrą deficytu bilansu płatniczego, odpływu dewiz. Z tą hydrą Francja uporała się dopiero w 1958 r., za czasów wielkiego Pinay'a: czy teraz p. Giscard d'Estaing upora się z reaparacją tego straszaka, *remains to be seen*. A Anglia dotąd szamoce się z kryzysem funta co drugi rok. Gdyby było w Anglii tylu G.I.'ów co w Niemczech, to by ten *dollar gap* wyglądał w Albionie mniej groźnie.

Ale trzymajmy się planu Marshalla. Co dał Niemcom? Byłoby błędem, jak wielu twierdzi, powiadać: „eh, odbudowa Niemiec

— to nic wielkiego, po prostu Amerykanie dali im forszę, i tyle!”. Jest to pogląd prymitywny, świadczący tylko o nieuctwie i ignoracji, jeżeli nie złej woli, która nigdy nikomu zaszczytu nie przynosi. Ale jednocześnie trzeba przyznać, że bez pomocy amerykańskiej koszt społeczny odbudowy Niemiec byłby jeszcze wielokrotnie większy, spadek stopy życiowej w latach odbudowy byłby może nie do zniesienia, a sam proces odbudowy zarówno fizycznej, jak gospodarczej, jak dewizowej, trwałby dużo dłużej i byłby bez porównania boleśniejszy.

Plan Marshalla pozwolił Niemcom w latach 1948-53 otrzymywać darmo lub na tani kredyt żywność dla nakarmienia ludności, surowce, oraz maszyny dla odbudowy przemysłu. Bez tej pomocy Marshallowskiej ludność by głodowała, surowców by brakowało, renowacja przemysłu byłaby niemożliwa.

Niskie wydatki wojskowe

Ale istotne pytanie brzmi następująco: dlaczego pomoc Marshallowska dała dużo większe efekty w Niemczech, niż w Anglii i we Francji, chociaż dotacje dla obu mocarstw zachodnich były zakrojone na większą skalę?

Odpowiedzi jest wiele, ale obok wyżej uwzględnionych momentów: spadku urodzeń, bardzo korzystnego napływu wybornej i taniej siły roboczej z Niemiec Wschodnich, dyscypliny pracowników i przemysłowców — trzeba uwzględnić dwa inne czynniki, zupełnie pierwszorzędne, o których nikt nie myśli: oto Niemcy miały od 1945 r. po dzień dzisiejszy najniższe wydatki wojskowe ze wszystkich wielkich państw zachodnio-europejskich, i nie miały żadnych wydatków ani odpowiedzialności kolonialnych. Anglia i Francja roztrwoniły pomoc Marshallowską w dużej mierze na imprezy kolonialne, na zbrojenia, na dyplomację prestiżową, etc. W szczególności Francja finansowała z pomocy amerykańskiej wojnę w Indochinach, potem algierską. Anglia z tychże funduszy budowała bazy imperialne po całym świecie, jak np. na Bliskim Wschodzie, w strefie kanału sueskiego, w Lydda w Palestynie, w Iraku, na Malajach, w Hong-Kongu, na Cyprze, w Kenii, etc. etc. Anglia ponadto za amerykańskie dolary rozbudowywała namiętnie swoje pozycje naftowe w Iraku i w Persji, potem w Kuwaicie. Z tychże funduszy Anglicy płacili subwencje królom Jordanii i Iraku, pomoc dla Malty i Adenu, wojowali z gerylasówkami komunistycznymi w Grecji (póki Grecja i Turcja nie zostały przejęte tzw. doktryną Trumana) etc. Wreszcie Anglia kosztem hojności Marshallowskiej podtrzymywała zbyt wysoki kurs funta, finansowała nacjonal-

zacje węgla, stali, kolei, Banku angielskiego etc. i podtrzymywała zbyt wysoki standard konsumpcji mas, a zwłaszcza warstwy ludzi bogatych w latach powojennych. W r. 1951 standard życiowy w Anglii był dużo wyższy, niż w Niemczech, był nim jeszcze w 1955, kiedy już zmiana stosunków sił gospodarczych między Niemcami a Anglią zaczęła wyraźnie rysować się na horyzoncie. Anglia w dużej mierze roztrwoniła pomoc Marshallowską, Niemcy ją wyzyskały wysoce celowo.

Zbrojenia, wojny, wydatki na stałe armie są bardziej odpowiedzialne za stulecia nędzy mas, niż kapitalizm, feudalizm etc. Rzadko się bardzo zdarzało, by władca potrafił wyniszczać swych poddanych na wydatki bezsensowne, ale czysto cywilne, jak Faraonowie wyzyskiwali fellachów na budowę Piramid, a Ludwik XIV wyzyskiwał chłopów francuskiego na budowę Wersalu i Marly. Ale pod płaszczykiem „obrony” można każdy naród wepchnąć do nędzy w niesłychanie krótkim czasie. Można zniszczyć zbrojeniami najbardziej kwitnące finanse w ciągu kilku lat. Pomoc Marshallowska, minimalne wydatki wojskowe, niska rozrodność — oto trzy potężne dodatkowe motory niemieckiej odbudowy, koniunktury i *prosperity*, obok oczywiście podstawowych filarów, którymi są i będą zawsze pracowitość, dyscyplina, zrozumienie zjawisk gospodarczych, rozumne i wielkie inwestycje.

Co Amerykanie zarobili na Niemczech?

Niemcy wydali pomoc Marshallowską na zakup żywności w koniecznych tylko rozmiarach, a poza tym wszystko wpakowali w zakup surowców i maszyn, bo słusznie uznali odbudowę i modernizację przemysłu za postulat numer jeden. Stąd pomoc Marshallowska zaczęła się samym Amerykanom rentować właśnie najszybciej w Niemczech, bo Niemcy z miejsca stali się wielkim rynkiem zbytu dla amerykańskich surowców (jak nafta, bawełna, miedź etc.), a także dla eksportu maszyn z Ameryki.

„Interes niemiecki” po dziś dzień się opłaca Ameryce, która ma w NRF swego najlepszego klienta handlowego w Europie. Stąd zresztą waga, którą rząd niemiecki przywiązuje i musi przywiązywać do *Kennedy round*, czyli do obniżenia taryf między Ameryką a Wspólnym Rynkiem. Ale opłacił się on także pod wieloma innymi względami.

W ostatnich dwóch latach Niemcy zakupują sprzęt zbrojeniowy w Ameryce na sumę 600 milionów dolarów rocznie. Dewizowo jest to dla dolara pomoc bardzo ważna. Dla przemysłu zbrojeniowego w Ameryce, szalenie rozbudowanego, Niemcy są klientem zagranicznym numer jeden. Dla porównania przypomnę,

że Niemcy obiecały Anglii, po niekończących się targach, zakupić sprzęt wojskowy w latach 1962 i 1963 na 1.200 milionów marek, czyli 300 milionów dolarów, więc cztery razy mniej, niż w Ameryce w tymże okresie. Konkurencja ofert przemysłu zbrojeniowego Anglii i Ameryki dla Niemiec jest bardzo żywa, i jak dotąd Ameryka stale wychodzi z tej konkurencji zwycięsko. Ci, którzy marzą o tzw. *disengagement* czyli o neutralizacji Niemiec, powinni pamiętać, że Niemcy są nie tylko jedynym serio wojskowym sprzymierzeńcem Ameryki w NATO, ale także najważniejszym klientem amerykańskiego przemysłu zbrojeniowego: to także coś znaczącego.

Niemcy okazały się też wzorem dłużnika. W r. 1953 Niemcy skonsolidowały swe długi nie tylko powojenne, ale także przedwojenne, jak Dawes'a, Younga etc. Suma tych długów, bez odszkodowań dla Żydów etc., wynosiła wówczas 13 miliardów dolarów. Już dzisiaj przeszło połowa tych długów została przedterminowo spłacona. Obok Francji, a na długo przed Anglią, Niemcy okazały się wzorowym dłużnikiem. Głównym wierzycielem były Stany Zjednoczone. Znowuż bez niemieckich spłat długów obrona dolara mogła się nie udać. Ci co śledzą tok tych wypadków nie mogą się dziwić, że Erhard był przyjęty w Texasie aż tak serdecznie. Wzorowi dłużnicy są w dzisiejszym świecie, jakże zmaterializowanym, często wyżej cenieni, niż bohaterzy.

Amerykanie znaleźli też w Niemczech idealne *placements* dla swych kapitałów. Zapewne, wiercenia naftowe na Bliskim Wschodzie odrzucały większe zyski. Ale były to inwestycje spekulatywne, połączone z wielkim ryzykiem politycznym i walutowym. Odwrotnie w Niemczech. Nie znamy dokładnej wysokości prywatnych inwestycji amerykańskich w Niemczech: zresztą te inwestycje przybierają dzisiaj tak różnorodne formy — wymiany patentów, techników, inżynierów, specjalistów, wspólnych biur sprzedaży, wspólnych ofert wobec stron trzecich, filii, przedstawicielstw, zamówień, dostaw, partycypacji, kredytów, pakietów akcji etc. Wszystkie dane o tych połączeniach kapitałowych są niepewne i fragmentaryczne, ale należy sądzić, że w każdym wielkim koncernie stalowym i hutniczym w Ruhrze tkwią kapitały i udziały amerykańskie, że AEG i Siemens czyli największe firmy elektrotechniczne w Niemczech są ściśle powiązane z kolosami US., jak General Electrics, czy Am. Telephone and Telegraph itd. Wiemy w każdym razie, że z pięciu „wielkich” niemieckiego przemysłu samochodowego Taunus należy w 100% do Forda, a Opel do General Motors: i trudno znaleźć na całym świecie dwa bardziej rentowne złote jajeczka. Niemiecki przemysł naftowy — rafinerie i dystrybucja — jest w 80% amerykański: ESSO — Deutschland jest oczywiście tylko filią

Standard Oil of New Jersey (Rockefellerzy), ale Deutscher Erdoel, pomimo nazwy, jest też tylko filią olbrzymów amerykańskich, co prawda z pewnym udziałem kapitałów lokalnych, niemieckich.

Wreszcie kapitalistyczny ustrój amerykański nie mógłby się utrzymać, jeżeli miałby być ograniczony do samych Stanów: *à la longue* „kapitalizm w jednym kraju” jest równie niemożliwy, jak „komunizm w jednym kraju”. Otóż po Ameryce kapitalizm w swej najczystszej formie istnieje w Niemczech i w Japonii: pomijam Szwajcarię, bo ta *tirelire* światowa — to jednak drobniak. Wspólność ustroju, światopoglądu etc. nie dają stuprocentowej gwarancji wiecznej harmonii: ostatecznie w 1914 roku nawet cioteczni bracia na tronach rzucili się sobie wzajemnie na gardło — ale byłoby błędem tych związków nie doceniać. Zamiast wierzyć naiwnie, że pomstowanie na Niemców czy kapitalizm niemiecki robi na świecie kolosalne wrażenie, lepiej byłoby poważnie się zająć przestudiowaniem rezultatów powiązań kapitałowych. Osobiście sędzę, że przybywając do jakiegoś kraju, kapitał zagraniczny nie tylko go sobie nie podporządkowuje, ale przeciwnie się z nim solidaryzuje. Kapitał ma jedną tylko broń naprawdę skuteczną: bojkot.

Vitesse de croisière

Vitesse de croisière oznacza normalną szybkość. Rok 1955 był ostatnim rokiem zawrotnego wzrostu produkcji: o kilkanaście procent. Po 1955 nigdy wzrost ten nie przekracza w Niemczech 10 czy 11% (w 1960 r.). „I przeszedł z hymnu do prostej powieści”... Rekordy niemieckie stały się *à l'échelle humaine*. A jednak okres 1955-1963 jest też okresem ogromnych i trwałych osiągnięć.

Jakich? W roku 1955 wielkie dzieło, wielki *achievement* niemieckiego *Wirtschaftswunder* już był faktem dokonany i nieodwracalnym: Niemcy stworzyły z gruzów olbrzymią, lśniącą, niesłychanie sprawną maszynę przemysłową, przede wszystkim przemysłu maszynowego, inwestycyjnego. W 1948 roku Niemcy nie eksportowały ani jednej maszyny, ani jednego motoru, ani jednego lekarstwa, ani jednego samochodu. Dzisiaj ich eksport trzech tylko pozycji — maszyn, chemikaliów i samochodów — obejmuje DWIE TRZECIE całego eksportu niemieckiego. Proporcja fabrykatów w eksporcie niemieckim jest wyższa, niż w eksporcie amerykańskim. Przeciętny wiek obrabiarek w fabrykach niemieckich jest niższy niż w amerykańskich: w NRF 10 lat, w USA — 12 lat (sam Kennedy *dixit!*). Wydajność (*pro-*

ductivity) pracownika niemieckiego jest dzisiaj druga na świecie, zaraz po produktywności robotnika amerykańskiego. I dalej rośnie. Jeden przykład na tysiące: w 1950 r. wyprodukowanie tony cementu wymagało 6 robotniko-godzin, dzisiaj wymaga dwóch. Jeszcze wymowniejszy przykład: zbudowanie 3-pokojowego nowoczesnego mieszkania, z kuchnią, łazienką, centralnym ogrzewaniem etc. wymaga w Anglii dzisiaj 3.200 robotniko-godzin, we Francji 2.400, w Niemczech 1.600. I nikt nie przeczy, że budownictwo niemieckie jest bez porównania solidniejsze.

W obecnym okresie *vitesse de croisière* Niemcy dokonali dalszych poważnych przesunięć kapitału i siły roboczej z gałęzi mniej rentownych, mniej potrzebnych do bardziej nowoczesnych.

Relatywne odważniki tradycyjnych „ciężkich” przemysłów Ruhry, a więc węgla, hutnictwa, stali zmalały: to znaczy Niemcy wciąż produkują z grubsza tyleż węgla, a więcej surówki i stali, ale w stosunku do całości produkcji udział tych starych form maleje. Niemcy stały się nawet wielkim importerem stali, sprowadzają jej aż pięć do sześciu milionów ton, głównie z Francji. Zostawiają Francuzom półfabrykat, którym jest stal, a sami koncentrują się na maszynach, na motorach, na obrabiarkach, czyli z kolei sprzedają stal w formie, zawierającej maksimum pracy, i maksimum intelektu ludzkiego, wysiłku technika, inżyniera, badacza, naukowca. Rentowność eksportu węgla jest społecznie minusowa, bo eksport ten oznacza, że znaczna część ludności ma kopać węgiel pod ziemią w okropnych warunkach, by naród mógł żyć. Rentowność surówki i stali jest już wyższa, bo stal reprezentuje bądź co bądź, obok pracy górnika rudy i węgla, także pracę hutnika. Ale eksport maszyny reprezentuje nadto kreślarnie, laboratoria, biura badań, pracownie naukowe.

Rezerwy dewizowe

W r. 1955 sytuacja Niemiec była trochę podobna do obecnej sytuacji Japonii. Wzrost produkcji był już olbrzymi, ale gospodarka niemiecka była kolosem o glinianych nogach. Nie miała dostatecznie opanowanych rynków zbytu. Nie miała trwałej organizacji sprzedaży i *servicing* zagranicą. Aparat bankowy był wciąż anemiczny, banki niemieckie zależały całkowicie od krótkoterminowych wkładów i lokat zagranicy. Byłe kryzys mógł stać się groźny, byle panika mogła zachwiać walutą. W latach 1955-63 Niemcy stworzyli tzw. „zdrowe” podstawy dla swej marki, dla swego handlu zagranicznego i dla swego bilansu płatniczego, podstawy, które zadawałnają w 100% nawet bankierów szwajcarskich, najbardziej podejrzliwych na świecie. Dzi-

siaj Szwajcarzy woła lokaty w Niemczech od wszelkich innych, nawet amerykańskich. Jak mi mówił kiedyś melancholijnie dyrektor genewskiej firmy reasekuracji międzynarodowej: „lokujemy pieniądze w Ameryce, we Francji, we Włoszech, rzadziej w Austrii, wyjątkowo w Anglii, ale tylko dlatego, że nie możemy znaleźć lokat w Niemczech: gdy je mamy, nie wahamy się ani sekundy, dajemy im absolutne pierwszeństwo!”. Niemcy mają dzisiaj drugi na świecie zapas złota i dewiz — siedem i pół miliarda dolarów. Nawiasem wspomnę, że z tej sumy Niemcy połowę trzymają w dewizach, to znaczy w praktyce w dolarowych *treasury bills* na rachunkach w Nowym Yorku. Anglicy trzymają prawie wszystkie swe rezerwy w kruszcu, Francuzi 70%. Wynika więc z tego, że Francja ma niewiele ponad miliard dolarów na koncie swego banku emisyjnego w N. Yorku, Anglicy zero, a Niemcy blisko cztery miliardy. Wynika z tego dalej, że Francuzi, zamieniając swe dolary na kruszec, mogliby dolarowi bardzo zaszkodzić, ale jedynym państwem, które może każdego dnia zmusić Stany do dewaluacji dolara w stosunku do złota, są Niemcy. Rzecz jasna, nigdy tego nie zrobią, bo ani Erhard, ani Blessing, prezes banku emisyjnego i zapewne najlepszy *central banker* dzisiaj na świecie, nie są wariatami, i rozumieją, że stałość dolara jest podstawą wszelkiego porządku monetarnego na globie.

Siła marki niemieckiej ma dalsze filary: zadłużenie krótkoterminowe banków niemieckich i firm niemieckich zagranicą jest minimalne. Sytuacja jest *de facto* odwrotna: to banki niemieckie mają więcej *avoir'ów* zagranicą, niż zobowiązań. Firmy niemieckie już dawno spłaciły swe krótkoterminowe długi w Nowym Yorku, a długoterminowe zostały zamienione na akcje czy partycypacje. Nie ma więc najmniejszej obawy, że run zagraniczny mógłby nagle spowodować w Niemczech kryzys, na wzór kryzysu z 1929 roku, który został wywołany właśnie nagłym wycofaniem depozytów banków amerykańskich i angielskich w bankach i przemyśle niemieckim. Do kryzysu monetarnego i finansowego dojść może w Niemczech tylko z dwóch powodów: gdyby Niemcy oszaleli i zaczęli prowadzić politykę inflacyjną, bo inflacja może zniszczyć każdy kraj i każdą walutę w ciągu paru lat, albo gdyby groziła wojna światowa. Po franku szwajcarskim, a przed dolarem, nie mówiąc o funcie, franku francuskim, lirze etc. marka niemiecka jest dzisiaj najmocniejszą walutą świata. Jest to też jedna z najrzadszych walut w dziejach świata, która była zrewaluowana — o 5% w marcu 1961 roku. Dewaluacji jest na świecie co roku kilka lub kilkanaście, rewaluacje zdarzają się niezmiernie rzadko. Jest rzeczą charakterystyczną dla siły marki niemieckiej, że raz po raz

Deutsche Bank, bank emisyjny, musi zaprzeczać pogłoskom o planowaniu ponownej rewaluacji marki niemieckiej.

Walka z inflacją

Kwitnący i murowany stan waluty, bilansu handlowego i bilansu płatniczego — to jedno wielkie osiągnięcie Niemiec w latach 1955-63.

Drugie osiągnięcie — to walka z inflacją. Walka ta jest dla ekonomisty tak samo nieuchronną i nigdy niekończącą się koniecznością, jak dla moralisty i kapłana walka z grzechem. Grzech nas nęci, i nęci nas inflacja. Na to nie ma rady. Cóż miłszego, niż myśl, że można zrobić *hocus-pocus* i z miejsca wszyscy są bogaci, wszystkie problemy są rozwiązane, nikt nie musi pracować, nikt nie musi oszczędzać, a państwo może sobie na wszystko pozwolić: z jednej strony rozdaje *panem et circenses*, z drugiej zbroi się aż do księżycy!

Miarą inflacji jest wzrost cen, a stałość cen jest dobrem największym w całym życiu gospodarczym i socjalnym. Inflacja podnieca walki socjalne, walkę klas, budzi niepokój i nerwowość, zniechęca do oszczędności.

Wzrost cen w Niemczech wynosi od reformy walutowej przeciętnie półtora procent rocznie. Jest to maksimum, bo każda większa dawka już zagraża stabilizacji społeczności, gdzie ogromna większość ludności żyje ze stałych poborów, stałych emerytur, jednym słowem musi mieć stały miernik wartości. Można się nawet zastanawiać, czy wzrost o półtora % rocznie nie jest nadmierny, czy nie jest powodem niedość silnego rozwoju rynku kapitałów długoterminowych? W Niemczech, jak i gdzie indziej, jest nadmiar kapitałów płynnych, które nie chcą lokować się na dłuższe terminy, np. w obligacjach: stąd firmy są nadal zbyt zależne od *Selbstfinanzierung*. Tak samo wzrost cen jest zapewne odpowiedzialny za wciąż zbyt wysoką stopę procentową w Niemczech: 6% rocznie jest normalnym oprocentowaniem papierów wartościowych i nowych emisji. Ale w każdym razie marka w ciągu 15 lat okazała się trwalszą jednostką wartości, niż Nowy Frank w 5 lat zaledwie po zbawiennych reformach Pinaya.

Roboty publiczne

Trzecia wielka zmiana ostatniego okresu — to zabranie się państwa do wielkich masowych robót publicznych. Państwo mia-

ło rację, redukując je do minimum, pomimo bezrobocia, w latach 1948-55: cały wysiłek trzeba było skoncentrować na odbudowie i wyszlifowaniu aparatu przemysłowego. Ale od 1955 roku państwo i municypalności zabrali się energicznie do odrobienia i strat wojennych, i zacofania powojennego. *Bundesbahn* zamieniła kupę szmelcu i żelaziwa w doskonały aparat kolejowy. Sieć *Autobahnen* — 3 tysiące km. z okładem — jest pierwsza w Europie. Co jeszcze ważniejsze, Niemcy mają dzisiaj najlepszą po Holandii sieć połączeń wodnych śródlądowych w całej Europie. Duisburg jest największym w Europie portem śródlądowym, Ren przewozi rocznie przeszło 80 milionów ton, kanały są w stanie wybornym, kanalizacja Mozeli jest na ukończeniu, za kilka lat Dunaj zostanie połączony z Menem i Renem nie przedpotopowymi kanalikami, ale wielką arterią, po której będą mogły kursować barki tysiąc i więcej tonowe. O budownictwie mieszkaniowym już mówiłem. Niemcy słusznie dali pierwszeństwo budowie szpitali przed szkołami, bo zdrowie jest jeszcze cenniejsze od wykształcenia. Ale teraz szkolnictwo też rusza z miejsca. Zwłaszcza dla uniwersytetów i badań naukowych zrobiono już bardzo wiele. Także Niemcy odbudowali swe zdrojowiska — jest 200 oficjalnie uznanych *Bad'ów* — które są źródłem i zdrowia, i dochodów. Liczba kuracjuszy w Niemczech jest przeszło trzykrotnie wyższa, niż we Francji przy ludności z grubsza równej.

Wzrost płac realnych

I wreszcie punkt czwarty najważniejszy. Od 1955 roku, a zwłaszcza od 1960 nastąpił w Niemczech głęboki przewrót, który można by nazwać rewolucją. Przewrotem tym jest wzrost płac realnych, jest poważne, *bardzo poważne* przesunięcie dochodu społecznego od pracodawców do pracobiorców. Znowu jeden, ale wymowny przykład. W roku 1958, zaledwie pięć lat temu, robotnik niemiecki musiał pracować OSIEM minut, by zarobić na kufel piwa. W roku 1963 w tymże celu musiał pracować już tylko *pięć* minut! Blisko dwukrotny wzrost płacy realnej. Zapewne, nie we wszystkich dziedzinach proporcja była równie pomyślna. Ale *trend* (kierunek) jest wyraźny!

Wzrost płac realnych, wysoka stopa życiowa, mają konsekwencje czysto gospodarcze. Spowodowały znacznie lepszą *równowagę*, gospodarki niemieckiej, która w latach wilhelmińskich i w epoce weimarskiej była zbyt wyjątknie *axée* na ciężkim przemyśle, na węglu i stali. Dzięki szalonemu wzrostowi stopy życiowej powstały w Niemczech, jak w Stanach, ogromne przemysły wew-

nętrznej konsumpcji masowej; tu wymienić wypada konfekcje męską i damską, obuwie, artykuły sportowe, wczasy i wyjazdy, etc. Wiele przemysłów z „ciężkich” stały się częściowo „lekkie”, a więc konsumpcyjne: np. większość samochodów jest dzisiaj narzędziem przyjemności, a nie narzędziem pracy, przemysł elektrotechniczny zakłada nie tylko kable i buduje centrale elektryczne, ale także wytwarza aparaty radiowe, telewizory, płyty etc. Niemiecki ustrój gospodarczy jest bardziej zharmonizowany, niż dziesięć lat temu, nie mówiąc o czasach dawniejszych. Więc o kryzys trudniej.

Znaki zapytania

Ale oczywiście istotne problemy sięgają dużo głębiej. Od 10 lat Niemcy rozporządzają najbardziej wydajnym aparatem przemysłowym w Europie. Dzisiaj, do tej pierwszej broni, doszła druga: najwyższa stopa życiowa ze wszystkich wielkich krajów Europy. Sowiety miały i mają dużo większy potencjał militarny, ale ekonomicznie i pod względem stopy życiowej pozostają o wiele długości w tyle za Niemcami. I pozostaną nadal w tyle, bo zdolności bogactwo-twórcze Rosji były i są dużo mniejsze, niż Niemców. Jeżeli się oczekuje wojny, Rosja jest wielkim mocarstwem, Niemcy są małym państwem. Jeżeli wojny nie będzie, jeżeli wkroczymy w okres prawdziwego odprężenia, Niemcy z drugorzędnego państwa staną się pierwszym mocarstwem Europy, a Rosja z mocarstwa — państwem drugorzędnym. Oczywiście, Niemcy mogą powtórzyć błędy Wilhelma II, kiedy też były u progu dominacji gospodarczej, a swe szanse zmarnowały najpierw wyścigiem zbrojeń, a następnie wojną. Historia się rzadko powtarza, ale może się powtórzyć. Myślę, że Erhard pozostanie wierny doktrynie, że jedyną skuteczną bronią są dzisiaj bronie gospodarcze, potęga przemysłu i dobrobyt. Ale mogą przyjść do głosu inni, a wówczas ktoś może przewidzieć katastrofy, które mogą nam grozić?

Wzrost stopy życiowej w Niemczech uważam jednak za wielką gwarancję pokoju, bo nacjonalizm, bo rasizm — to są rośliny, które kiełkują i rozkwitają głównie na podłożu kryzysów i biedy. Wierzę, że turystyczne kokosy zładogdzą konflikt włosko-austriacki w Süd-Tirol wzgl. Alto-Adige, może nawet flamadzko-francuski w Belgii. Ale nie wierzę, by z dnia na dzień waśń religijna i rasowa między Grekami a Turkami na Cyprze opadła, nie wierzę, by napięcie między Izraelem a Arabami szybko znikło, nie wierzę, by kacyki nieprzytomnie

rozradzających się plemion Afryki i Azji szybko się nawróciły na wiarę w kompromis i tolerancję.

Jeżeli Niemcy mają nadal równie szybko bogacić się i zwiększać swą stopę życiową, to musi wkrótce nadejść chwila, kiedy ten dalszy wzrost stanie się niemożliwy bez głębokich przeobrażeń ustroju socjalnego. Innymi słowy problem socjalizmu może się stać w Niemczech za 10 lat aktualny, podczas gdy we Francji do tego momentu jest dużo dalej. Prawdziwy socjalizm jest rewolucją bogactwa, nie biedy, jakim jest dotychczas w Rosji i w reszcie komunistycznego świata. Socjalizm jest kwestią równania w górę, a nie w dół, jak przy dotychczasowych przewrotach.

Czy przyszłe Niemcy będą socjalistyczne? Jak będą się dzielić swym bogactwem z resztą świata i zwłaszcza z resztą Europy? Czy potrafią stworzyć nową, oryginalną *way of life*, bardziej demokratyczną i bezklasową od anglo-francuskiej, a bardziej rafinowaną od amerykańskiej? Czy Wspólny Rynek może być dostatecznie wielką ramą (*cadre*) dla ekspansji tak potężnego organizmu gospodarczego jak Niemcy? Jak się potoczy ekspansja kapitału niemieckiego w Europie środkowej i wschodniej, która stanowi jakby naturalny *Hinterland* dla gospodarki niemieckiej? Czy Niemcy potrafią ułożyć trwale swe współzycie z tym *Hinterlandem*? Jakie są szanse państw między Rosją a Niemcami ułożenia stosunków z Niemcami? O tych wszystkich sprawach, dużo ważniejszych od obecnie naszkicowanych, chciałbym pomówić następnym razem.

W. A. ZBYSZEWSKI

Najnowsza historia Polski

Jeszcze o płk. Hańczy

Nie zdecydowałbym się prawdopodobnie na zabranie głosu w związku z artykułem płka Michniewicza „Śmierć płka Hańczy”, gdyby nie oświadczenie firmy „Jaxa & Partners, International Law Agents”. Zawołowane w nim nastraszanie podziało wprost przeciwnie. Płk Hańcza zmarł w okolicznościach „which stink”, a śmierć oficera Kdę Gł. AK, a później Kda bazy przerzutowej O. Spec. sztabu NW stanowi fragment historii polskich sił zbrojnych. Czy na Zachodzie jeszcze żyją Polacy naprawdę wierzący, że historię można zamknąć na zawsze epilogiem w postaci protokołu zgonu-samobójstwa i ustrzec jego treść przez przyłożenie pieczęci kancelarii adwokackiej?

Przyczyny śmierci Hańczy ujmuję w dwie kategorie; postawy ideologicznej tego oficera na tle sytuacji w latach 1944/45, oraz natury kryminalnej. Jeśli chodzi o pierwszy rodzaj zarzutów, postawionych lub nie postawionych Hańczy, na podkreślenie zasługuje jego ślepe posłuszeństwo wobec gen. Tabora. I tu stawiam dwa pytania: 1) Czy prawdą jest że Tabor przed przylotem z Polski utrzymywał nieautoryzowane przez AK kontakty z podziemiem komunistycznym, ujawnienie których postawiło Kdę Gł. AK przed dylematem, co zrobić z Taborem? Na stacji wyczekiwania cichociemnych we Włoszech uparcie krążyła wieść, że przylot Tabora na Zachód stanowił formę jego usunięcia z kraju; 2) Czy dr Retinger w czasie swego pobytu w Polsce nawiązał kontakt z Taborem i przekonał go do koncepcji współpracy z Komitetem Lubelskim? Tabor już jako zastępca szefa sztabu gł. do spraw krajowych w Londynie na koncepcję tę poszedł, opowiedziawszy się za orientacją Mikołajczyka, a razem z Taborem poszedł również ppłk. Utnik, szef O. Spec. Od reperkusji ze strony polskiej obu chronili Brytyjczycy, którym polityka Mikołajczyka odpowiadała. Hańcza znajdował się w zasięgu polskim i, co ważne, na uboczu. Zatem odium nietykalności Tabora i Utnika, pomna-

Materiały zamieszczone w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

zające odium otaczające samego Hańczę, który był dziwakiem nieprzyjemnym, mogło się łatwo na nim wyładować. Tak scharakteryzowałbym klimat psychiczny śmierci Hańczy. Organy bezpieczeństwa z tego styną, że wykonują każdy rozkaz, a niemożliwości wykonują natychmiast.

Pytanie wręcz: Czy Hańcza kolaborował z komunizmem? Zbyt krótko trwała nasza znajomość, bym na nie mógł z czystym sumieniem odpowiedzieć. To jednak podkreślę, że, przed moim skokiem do Polski, obarczywszy mnie dodatkowym zadaniem na okres po Powstaniu Warszawskim, wykonanie tego zadania oparł na pomocy z Zachodu. Zadanie skierowane było przeciwko komunizmowi.

Z końcem grudnia 1944 r. Brytyjczycy zawiesili operacje do Polski z powietrza. Kurierzy dochodzili drogą naziemną i z reguły wpadali w ręce UB na melinach kontaktowych. Zginął „Peter”, stary wyga, już raz zrzucony do kraju w czasie okupacji niemieckiej. Wpadł gen. Okulicki, dea akcji „Nie” w czasie umówionego spotkania, na które kurier nie stawiał się. Obstawiała odbić generała. Doszliśmy w kraju do przekonania, że Londyn jest źródłem wssp. Między innymi i w tej sprawie wybrałem się do Londynu. W Kopenhadze poprosiłem brytyjską misję wojskową o przekazanie wiadomości do O.Spec. celem odebrania mnie. Odpowiedź przyszła, a w jej wyniku zostałem osadzony w twierdzy. I pewnie wygrzewałbym się długo na jej blankach, gdyby nie komendant twierdzy, oficer duński, który zawiadomił dę dyw. pancernej na okupacji w Niemczech. Przesłany stamtąd oficer przewiózł mnie do Brygady Spadochronowej. W Londynie przekonałem się bez większych trudności, że wyjście każdego kuriera do kraju, oraz adresy kontaktowe w Polsce były przekazywane urzędującej w stolicy Brytanii misji warszawskiej. Nie było natomiast wpadek na osi baza włoska-kraj w dyspozycji Hańczy.

Rozważając drugi wariant zarzutów: Hańcza-malwersant, wspomnę że Utnik, przechodząc do obozu Mikołajczyk-Tabor, zdał agendy O. Spec, zatrzymując około 2 milionów dolarów, częściowo w złocie. Część ich poszła na kupno domów dla misji warszawskiej w Londynie. Wymieniony nie tań, że wykonał polecenie Tabora. Polecenie takie otrzymał i Hańcza. On jednak fundusz w jego dyspozycji ukrył nie tylko przed II Korpusem, ale, twierdząc, również przed Taborem. W jakim celu?

Nagły wyjazd Hańczy z Włoch na tajemnicze spotkanie, o którym wspomina płk Michniewicz, wiąże się w czasie z przyjazdem do kraju kuriera i... dolarów. Jeśli Londyn sypał własne podziemie w kraju, trudno sobie wyobrazić, by drugą ręką zasiliał je pieniędzmi. Skąd więc ów zastrzyk, jaki otrzymaliśmy w kraju późnym latem 1945 r.? Nie znam cyfr sumy, musiała jednak być poważna, skoro otrzymałem 6-miesięczny budżet dla swej sieci, nawet gaże dla podkomendnych. Otrzymali również inni oficerowie na stanowiskach kierowniczych sztabu „Kupała”, który wówczas działał na terenie Poznańskiego, części Pomorza, Ziemi Odzyskanych i części Śląska. Jesienią 1945 r. na odprawie oficerów sztabu „Kupała” w Poznaniu przyjęto plan wybuchu powstania w 30 dniu po wyborach, gdyby przegrał je Mikołajczyk (wcale nie żartuję). W czyjej głowie zrodził się ten szaleńczy pomysł? Polskie Stronnictwo Ludowe mieściło się w strefie pracy jednej z mych komerek, a z meldunków jakie napływały wynikało, że nie wyszedł on z aktywu tej partii. O dołach partyjnych nawet nie wspominam. Dedukcja co do autorstwa narzuciła mi się mimowoli: Hańcza. On ucziwie wierzył, że wszystkie

aspekty sprawy polskiej w naszym położeniu geopolitycznym należy rozwiązywać powstaniem. I ryzykuję twierdzenie, że Hańcza w połowie 1945 r. wyłamała się spod uroku Tabora. Będąc bezsilny wobec jego koncepcji współpracy z komunizmem i licząc się z przegraną Mikołajczyka w wyborach, postanowił że wejdzie do akcji. Na przygotowanie jej postanowił rzucić pieniądze bazy, a pierwszy zastrzyk przerzucił do kraju.

Wersja o samobójstwie w chwili aresztowania przeczy logice. Hańcza nie był tchórzem. Był doświadczonym konspiratorem, a konspiracja uczy, że samobójstwo jest wyjściem z sytuacji bez wyjścia. Pieniądze nie są warte śmierci. Hańcza miał szereg wyjść z sytuacji. Mógł postarać się o protekcję brytyjską, zgłaszając akces do akcji Mikołajczyk-Tabor; mógł wsiąknąć w jednym z państw w południowej Ameryce. Jeśli tego nie uczynił, widocznie uważał że sumienie miał czyste. Mógł również stanąć przed sądem i powiedzieć że pieniądze przerzucił do podziemia. Stanowiłoby to poważny argument obrony przy posądzeniu go o kolaborację z komunizmem i przywłaszczenie pieniędzy.

Uwagi powyższe raczej pogłębiają tajemnicę śmierci. Głos płka Michniewicza tym bardziej więc nie powinien pozostać głosem wołającego na puszczy. Jemu i „Kulturze” należą się słowa uznania za publiczne poruszenie tej afery. Prawda może okazać się w treści różną od protokołu zgonu określonego samobójstwem. Resumé przedstawione w oświadczeniu kancelarii adwokackiej bije rekordy naiwności, nawet scenariusze hollywoodzkie.

B. Marek NADOLCZAK

Staten Island, N.Y., USA.

Omyłka Wincentego Witosa

W maju 1926 r. pracowałem wraz z W. Grzybowskiem w parlamentarnym Klubie Pracy, którego prezesem był prof. inż. Kazimierz Bartel, były minister komunikacji w rządzie Obrony Narodowej w roku 1920, a po przewrocie majowym pierwszy premier. Klub Pracy, liczący 6-ciu posłów i 3-ch senatorów, nie przedstawiał arytmetycznie większego znaczenia, lecz liczono się z nim poważnie, wiedząc o jego bliskich kontaktach z Marszałkiem Józefem Piłsudskim. Poza tym Klub Pracy był pierwszym ugrupowaniem politycznym, które w przeciwieństwie do innych stronnictw czy ugrupowań powstało w Niepodległej Polsce.

O przewrocie majowym napisano już bardzo wiele naświetlając go z rozmaitych stron. W tym moim wspomnieniu pragnę się tylko ograniczyć do jednego momentu, mało dotychczas znanego. Dla porządku należy podać krótko stan faktyczny, doty-

czący utworzenia ostatniego, przedmającego rządu przez Wincentego Witosą.

Było wiadome, iż marszałek Piłsudski dążąc do naprawy ustroju państwowego, pragnął naprawę tę realizować etapami na drodze pokojowej. Toteż, gdy rząd koalicyjny Aleksandra Skrzyńskiego złożył swą dymisję w dn. 8 maja 1926 r. wieczorem tego samego dnia, prezydent R.P. St. Wojciechowski zaprosił do Belwederu Wł. Grabskiego byłego premiera i zaproponował mu utworzenie nowego rządu. W. Grabski podejmuje się tej misji, stawiając jako warunek, powrót marszałka Józefa Piłsudskiego do czynnej służby. Z polecenia W. Grabskiego, jego zaufany współpracownik St. Kauzik, zwrócił się następnego dnia, tj. 9 maja, rano do Klubu Pracy z prośbą, o jak najszybsze przekazanie tej wiadomości p. Marszałkowi do Sulejówka, pan Kauzik dodał, iż desygnowany premier W. Grabski pragnąłby bardzo zobaczyć się tego dnia z Marszałkiem u prezydenta Wojciechowskiego w Belwederze.

W późnych godzinach wieczornych tego samego dnia Marszałek przybył do mieszkania Władawa Grzybowskiego, generalnego sekretarza Klubu Pracy, gdzie już znajdowało się kilku członków tegoż Klubu w osobach: prof. Bartel, Marian Zyndram-Kościałkowski, Jerzy Barański i St. Gaszyński. Marszałek zakomunikował zebranim, że odbył rozmowę z prez. Wojciechowskim w Belwederze, w obecności prem. Grabskiego i że w wyniku tej rozmowy, Grabski rzekł się misji tworzenia rządu. Marszałek dodał, że uzgodniono powołać do życia gabinet koalicyjny z Aleksandrem Skrzyńskim, jako premierem i min. spraw zagranicznych na czele. Z oświadczenia Marszałka wynikało niezbitcie, iż koncepcja rządu Al. Skrzyńskiego, rządu koalicyjnego, była sugerowana prezydentowi Wojciechowskiemu przez niego samego. Prez. Wojciechowski sugestię tę zaaprobował. W tym nowym uzgodnionym gabinecie, Marszałek miał objąć tękę ministra Spraw Wojskowych. Uzgodniono dalej następujące kandydatury Centrolewu: prof. Bartel — min. Komunikacji, inż. Moraczewski — min. Robót Publicznych, oraz dr Ziemięcki — min. Pracy i Opieki Społecznej. Obsada dalszych tek miała być przeprowadzona w dniu następnym tj. 10 maja.

Wydawało się więc, iż drugi rząd Al. Skrzyńskiego rozkłada na drodze pokojowej wielkie napięcie, panujące zarówno wśród stronnictw politycznych, jak też i w opinii społeczeństwa.

Tak stały sprawy do następnego dnia, gdy przed 10-tą rano (poniedz. 10 maja) gruchnęła wiadomość, która wstrząsnęła do głębi opinią publiczną i właściwie była jak gdyby zapowiedzią nadciągającej burzy. Wiadomość głosiła, iż prez. Wojciechowski późną nocą, z niedzieli na poniedziałek, powierzył misję tworzenia rządu Wincentemu Witosowi, byłemu dwukrotnemu premierowi i aktualnemu prezesowi stronnictwa ludowego „Piast”. Gdy wiadomość ta została autoratywnie potwierdzona, stało się jasne, iż osiągnięte poprzedniego dnia w Belwederze porozumienie, zostało jednostronnie przekreślone.

Wiadomość ta, nie ukazała się w porannej prasie warszawskiej, co tłumaczono spóźnioną porą zapadłej w Belwederze decyzji.

Tego samego dnia Witos przybył do gmachu sejmowego, gdzie czekali nań zebrani licznie dziennikarze. Jako sprawozdawca parlamentarny „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” w Krakowie, znajdowałem się również w tym koleżeńskim gronie. Na zapytania dziennikarzy, premier Witos wyjaśnił, iż pragnął on przekazać prasie wiadomość o powierzeniu mu misji tworzenia rządu dopiero wtedy, gdy personalny skład jego rządu będzie gotowy. To oświadczenie Witosy zostało sceptycznie przyjęte przez większość dziennikarzy.

Zazwyczaj powściągliwy i opanowany w swych wypowiedziach Wincenty Witos był tego dnia wyraźnie rozgorączkowany i zdenerwowany. Rzucił niespokojne spojrzenia na dziennikarzy, żując w ustach cygaro. Zebrani dziennikarze zaczęli zasypywać premiera pytaniami, który jednakże uchylał się od wyraźnych, zdecydowanych odpowiedzi.

W godzinę później p. Dziedzic, osobisty sekretarz W. Witosy zawiadomił mnie, iż premier pragnie się ze mną zobaczyć i w tym celu zaprasza mnie na godzinę 5-tą po poł. do lokalu klubu parlamentarnego „Piasta” w gmachu sejmowym. Premier pragnie bowiem udzielić mi specjalnego wywiadu dla „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”.

Tutaj trzeba dodać że stosunki między W. Witosą a „IKACEM” były od szeregu lat zażyłe. Jak wiadomo założycielem i naczelnym redaktorem „IKACA” był Marian Dąbrowski, aktualnie poseł na sejm z ramienia stronnictwa „Piast”. Witosowi bardzo zależało zawsze na „IKACU”, który był bardzo rozpowszechniony na terenie Małopolski, będącej na wsi domeną polityczną stronnictwa „Piast”. Poseł Dąbrowski nie angażował się jednakże w sposób wydatniejszy w aktualną politykę swego stronnictwa.

Zjawiłem się punktualnie o oznaczonej godzinie w lokalu „Piasta”, gdzie spotkałem oprócz premiera Witosy, Zygmunta Sachnowskiego, sprawozdawcę parlamentarnego „Kuriera Porannego” w Warszawie. Po przywitaniu się premier Witos poinformował mnie, iż przychylił się do prośby redakcji „Kuriera Porannego”, któremu na równi ze mną udzieli wywiadu.

Nie będę tutaj podawał szczegółowo treści całego wywiadu. Muszę natomiast podkreślić iż jego treść wprawiła nas obu, dziennikarzy, w osłupienie. Wywiad ten był dosłownie polityczną bombą, a ogłoszenie go przez „Kurier Poranny” rano, następnego dnia, tj. 11 maja, poruszyło do głębi Warszawę i dołało oliwy do ognia. Wywiad prem. Witosy potraktowano po prostu, jako prowokację obozu marszałka Piłsudskiego.

Witos chodził wielkimi krokami po gabinecie, rzucając w zdenerwowaniu krótkie, urywane zdania.

W pewnym momencie zapukano do drzwi.

— Kto tam — pyta się niecierpliwie Witos.

Przez uchylone drzwi ukazuje się głowa ministra Kiernika, który wskazując ma swój zegarek mówi:

— Panie prezesie, jest już godzina 6-ta, mamy o tej godzinie konferencję...

Witos przerywa Kiernikowi, wyjmując swój zegarek z kieszonki kamizelki, pokazuje go Kiernikowi i mówi:

— Na moim zegarku nie ma jeszcze 6-ej, pański zegarek powinien chodzić tak jak mój...

Speszony minister Kiernik zniknął szybko za drzwiami.

Spojrzelśmy z kolegą Sachnowskim znacząco na siebie.

Wypytyuję premiera Witos o skład jego gabinetu oraz o jego program polityczny. W pewnym momencie rzucam pytanie:

— A kto będzie ministrem spraw wojskowych w pańskim gabinecie?

— To jeszcze nie wiadomo — pada odpowiedź. — To nie jest takie ważne...

(Późnym wieczorem dowiedzieliśmy się, iż kierownikiem ministerstwa spraw wojskowych mianował premier Witos gen. Malczewskiego, zupełnie nieodpowiedniego w obecnej sytuacji na to stanowisko).

— Panie premierze — mówię dalej, głęboko wstrząśnięty. — Czy Pan nie widzi co się dzieje? Przecież w obecnej sytuacji najwłaściwszym rządem byłby rząd koalicyjny... pański zaś gabinet ma charakter centroprawu z wyłączeniem lewicowych stronnictw niepodległościowych.

— To nie ma nic do rzeczy — przerywa premier — mamy większość w sejmie...

— Może by jednak pan premier — kontynuuję — przynajmniej w sprawie obsadzenia teki Ministerstwa Spraw Wojskowych zechciał się porozumieć z marszałkiem Piłsudskim w Sulejówku...

— *Taka sama droga z Warszawy do Sulejówka* — mówi z tajoną pasją Witos — *jak z Sulejówka do Warszawy...*

— Ależ panie premierze — przerywam — marszałek Piłsudski i jego obóz reprezentują dużą siłę zarówno moralną, jak i fizyczną...

— Przewiduję jak najgorsze następstwa takiego stawiania sprawy przez pana premiera — mówi kol. Sachnowski.

Witos przystanął i nieomal krzyczy:

— Jeśli tak jest, jak panowie mówicie, jeśli Piłsudski istotnie ma siłę, to niech przyjdzie do Warszawy i niech pokaże swą siłę...

Prędko zakończyliśmy nasz wywiad. Pozostałem jeszcze przez chwilę sam na sam z Witosem i zakomunikowałem mu, że ja tego wywiadu nie przekażę ani telefonicznie, ani listownie mojej redakcji w Krakowie, a motywy tej decyzji podam telefonicznie posłowi Dąbrowskiemu.

Marian Dąbrowski uznał moją decyzję za słuszną i mimo późniejszych nacisków telefonicznych w tym dniu ze strony Witos, stanowiska swego nie zmienił.

We wtorek, 11 maja rano „Kurier Poranny” wywiad ten w pełni ogłosił, zaopatrując go w odpowiedni komentarz. Dalsze wypadki potoczyły się znanym już torem.

Po abdykacji prezydenta St. Wojciechowskiego i dymisji rządu Witos, dowiedziałem się, że na ostanim przeddymisyjnym posiedzeniu rządu w Wilanowie, Witos oceniał realnie wytworzoną sytuację i był rzecznikiem pogodzenia się z faktycznym stanem rzeczy. Widocznie w tym momencie, obudzono się na nowo w tym stuprocentowym, polskim chłopie, poczucie realizmu życiowego, jakie go dawniej cechowało. Zarówno podczas przejazdu z Wilanowa do Warszawy do swego mieszkania przy ul. Królewskiej 11, jak również przez szereg następnego dnia, Witos zachowywał się z godnym podziwu spokojem i mężnie, mimo poniesionej klęski.

W jakiś czas później zapytałem posła Jana Erdmana, ze stronnictwa witosowego, co jego zdaniem wpłynęło na Witos, iż przyjął on w ogóle misję tworzenia rządu i zajął tak nieprzejednane stanowisko w stosunku do marszałka Piłsudskiego i jego obozu. Jan Erdman był legionistą i wraz z kilkunastoma swymi kolegami partyjnymi reprezentował w swym stronnictwie kierunek centrolewicowy.

— Niewątpliwie — oświadczył mi Erdman — działała wówczas u Witos, przede wszystkim rządu władzy, oparta poza tym na błędnej ocenie, istniejącej sytuacji politycznej. Ocena ta sugerowana była Witosowi przez Stronnictwo Narodowe. Muszę z przykrością zauważyć — kończy Erdman — że od chwili zawarcia przez Witos niefortunnego paktu lanckorońskiego w r. 1923, Witos zaczął tracić równowagę polityczną... a szkoda...

W lecie 1927 r. spotkałem Witos w Zakopanem. Przywitaliśmy się uprzejmie chociaż z pewną obopólną powściągliwością. Utartym zwyczajem poszliśmy na dłuższy spacer pod Regle. Gadałszy o tym i o owym, nie poruszając przedmawianych wypadków. Ale te sprawy jak gdyby wisiły w powietrzu. Gdyśmy usiedli na przydrożnym gładzie dla odpoczynku — spojrzałem Witosowi głęboko w oczy.

— Ja wiem co pan w tej chwili myśli — mówi Witos...

— Tak — odparłem — okazało się niestety, że droga z Warszawy do Sulejówka, nie była ta sama, jak z Sulejówka do Warszawy... A szkoda... — dodałem.

Witos nic nie odpowiedział, kreśląc na trawie ciupagę jakiegoś zyzgaki.

Duże zdolności Witos, jego wielkie wyrobienie polityczne, jego patriotyzm, predestynowały go na kierownika nawy państwowej, przy boku Piłsudskiego. Przecież w r. 1920 Witos, jako szef ówczesnego rządu Obrony Narodowej, zasłużył się dobrze Ojczyźnie. I on i jego zastępca wicepremier Ignacy Daszyński. Odnoszę wrażenie że obaj czuli się na pewno dobrze w tamtych czasach.

Kończąc te moje wspomnienia, muszę z głębokim szacunkiem, podziwem i uczuciem wdzięczności podkreślić tutaj postawę Wincentego Witos w czasie okupacji niemieckiej i bolszewickiej w Polsce.

W czasie obu okupacji, Witos mimo kusicielskich zalotów jednego i drugiego okupanta okazał wielki hart duszy i wielki charakter.

Jan WALEWSKI

KONKURS NA ESEJ O POWSTANIU WARSZAWSKIM

W związku z przypadającą w bieżącym roku 20-tą rocznicą Powstania Warszawskiego i celem pogłębienia ciągle niedostatecznej znajomości historii A.K. i samego Powstania redakcja „Kultury” rozpisuje konkurs na esej krytyczny o książce H.v. Krannhals'a pt.: *Der Warchauer Aufstand 1944*, wydanej w r. 1962 przez Bernard & Graefe Verlag für Wehrwesen (Frankfurt/Main).

Termin nadsyłania pracy upływa 30 kwietnia 1964.

Objętość eseju nie powinna przekraczać 25 stron maszynopisu znormalizowanego formatu.

Autor wyróżnionej pracy otrzyma jako nagrodę „Correspondance de Napoléon” 1-sze wydanie z lat 1858-1870 w 32 tomach oprawnych w półskórek. Nagroda ta została ufundowana przez płk. Wł. Michniewicza z Buenos Aires, inicjatora tego konkursu.

Praca nagrodzona będzie ogłoszona w „Kulturze” lub w „Zeszytach Historycznych”. Redakcja zastrzega sobie prawo opublikowania także i szkiców nienagrodzonych za normalnym honorarium autorskim.

Kronika kulturalna

Dadaizm i dadaiści

Śmierć Tristana Tzary przypomniła czasy odległe, gdy w r. 1916 w Zürichu, kilku młodych poetów i malarzy wystąpiło z gwałtownym protestem przeciw wszelkim ogólnie uznanym wartościom moralnym i artystycznym propagując porzucenie logiki i bezsens. Ich pismo nazywało się *Cabaret Voltaire* a z tego protestu, który był nie tylko niezwykle ostrą formą reagowania, ale i związanym z nią pewnym typem umysłowości — zrodził się kierunek zwany dadaizmem. Nazwa ta pochodzi od słowa dada, używanego przez dzieci i powstała przypadkowo: jeden z jego twórców włożył nóż do rozcinalnia papieru między kartki słownika i po otwarciu książki okazało się, że ostrze dotyka słowa dada. Dadaizm wywarł ogromny wpływ na nowe kierunki w literaturze i w malarstwie. Wiele mu zawdzięcza zwłaszcza nadrealizm, który przejął od niego pewne metody, pewien „styl” wystąpienia.

Dadaizm był nie tyle kierunkiem literackim, ile pewnym stanem duchowym, wynikającym z tego, że młodzi poeci i malarze pod koniec pierwszej wojny światowej odczuwali jej bezsens i chcieli w jak najbardziej gwałtownej formie zaprotestować przeciw temu, co uważali za ogólne bankructwo wszystkich walorów i naszej cywilizacji. Wychodząc z tego założenia uważali, że należy się przeciwstawić całemu światu przecząc wszystkiemu bez jakichkolwiek prób zastąpienia dawnych wartości nowymi. Dla tego z ogromną pasją dadaiści zaczęli negować i atakować zarówno przeszłość, jak i chwilę obecną, a zwłaszcza sztukę. Tristan Tzara pisał więc w *manifeste de mr. antipirine*, że sztuka nie jest poważna, a w innym manifestie twierdził, że logika podlegająca sensowi jest chorobą organiczną, a nawet posunął się do głoszania, iż dada pracuje ze wszystkich sił nad wprowadzeniem wszędzie idiotyczności. Gdy weźmiemy pod uwagę te punkty wyjścio-

we — nie trudno przyjdzie nam zrozumieć, dlaczego w dadaizmie było tak dużo elementów, które mogą się wydać bezsenssem i bezcelową prowokacją.

Do grona pierwszych dadaistów należeli, obok Tristana Tzary: Hugo Ball, Huelsenbeck, Marcel Janco i Arp. W pierwszym numerze *Cabaret Voltaire* znalazło się także kilku poetów francuskich (Apollinaire, Cendrars i włoskich (Marinetti, Cangiullo) oraz malarze Picasso i Kandinsky. Arp wspominał mi, że wśród pierwszych dadaistów figurował także malarz o polskim nazwisku: Słodki.

Sytuacja w jakiej powstał dadaizm była w wielu punktach podobna do tej, w jakiej znalazło się po ostatniej wojnie młode pokolenie poetyckie w kraju. Wszystkie istniejące wartości moralne uległy brutalnemu załamaniu. Ci którzy w wieku chłopięcym i w okresie dorastania poznali okropności okupacji, łapanki, wywożenie bliskich do obozów koncentracyjnych lub na stracenie do komór gazowych — nie mogli wierzyć w ideały i w postęp ludzkości. Przeszli oni przez kryzys podobny do tego, jaki istniał w chwili narodzin dadaizmu, a nawet jeszcze większy. Dlatego jedyną odpowiedzią na wielkie słowa mogły być szyderstwo i drwina, grymas, śmiech lub gorzka ironia. Podobnie jak dadaści ci młodzi poeci polscy odczuwali potrzebę negacji i zburzenia wszystkich walorów. Również oni mogli przyjąć za dewizę słowa Tzary: *Dada jest przeciw przyszłości. Dada umarło. Dada jest idiotyczne. Niech żyje Dada. Dada nie jest szkołą literacką, (więc) rycz.*

Z tego rodzaju uczuć wyrosła poezja Różewicza, a później — Iredeńskiego, Czyża, Grochowiaka... To co spotykamy u tych poetów jest swoistą formą dadaizmu naszych czasów, wypływa z podobnej negacji wszelkich walorów, z niechęci do piękna i wzniosłości. Nie był to więc wynalazek polskich *turpistów*, ale wiele z tego co ich cechuje — znajdowało się już u dadaistów. Nasi *turpiści* mogliby się także powołać na Apollinaire'a, który w tym czasie pisał: *Nous recherchons le laid.*

Dla tym mocniejszego podkreślenia bankructwa wartości moralnych dadaści używali słów brutalnych i ordynarnych, lubowali się w wyrażaniu najbardziej prymitywnych potrzeb fizjologicznych w skatologii. Tak więc już w r. 1916 Tristan Tzara w *Chronique zurichoise* pisał: *nous voulons pisser en toutes les couleurs.* (To hasło w dosłownym przekładzie znalazło się pięć lat później w jednodniówce futurystycznej). Przeciwwstawiając się prawom logiki dadaści lubowali się w programowym bezsensie w zakresie poezji, a w malarstwie umieszczali absurdalnych kombinacjach, szukając często groteskowych zestawień. Dlatego w ich obrazach figuro-

wały np. fotografie części roweru, Giocondy z domalowanymi wąsami, postacie bez głowy itp. Tę kopalnię nowości eksploatował w kilka lat później, z większym powodzeniem i w sposób bardziej artystyczny, nadrealizm. Dadaści propagowali anarchię słów, programowy bezsens, ale stosunkowo rzadko rozbijali słowo. Do wyjątków należał Schwitters, który napisał wiersz składający się jedynie z nic nieznaczących dźwięków i liter.

Natychmiast po zakończeniu pierwszej wojny światowej nastąpiły próby rozszerzenia działalności dadaistów na inne kraje, zwłaszcza na Niemcy. Wystąpienia dadaistyczne pojawiły się również w Stanach Zjednoczonych, gdzie ich inicjatorami byli Francis Picabia i Man Ray. Z końcem 1919 roku, po założeniu czasopisma *Littérature* zaczyna się wytwarzać we Francji, teren pomyślny dla rozwinięcia się tego kierunku, ale jego pierwszą manifestacją był *le Premier vendredi de Littérature dnia 23 stycznia 1920.* Wzięli w nim udział m.in. Tristan Tzara, Cocteau i Aragon. W tym czasie Tzara wznowił w Paryżu wydawany w Zürichu *Bulletin dada* i dadaści urządzili kilka wieczorów, które zawsze były połączone z incydentami i odbywały się w atmosferze skandalu. Prowokowanie uczuć małomieszczańskich było bowiem jedną z najbardziej typowych cech dadaizmu, którą przejął od nich następny nadrealizm. Z dadaizmem było związanych kilku poetów generacji apollinaire'owskiej (Pierre Albert Birot, Paul Dermée, Céline Arnaud), oraz większość późniejszych nadrealistów: André Breton, Aragon, Ribemont-Dessaignes, Paul Eluard, Philippe Soupault, i in. W ruchu dadaistycznym brało udział także wielu malarzy m.in.: Marcel Duchamp; Francis Picabia i Max Ernst. Z inicjatywy Bretona urządzili dadaści słynny *Proces Maurycego Barrèsa* (13.V.1921). Przewodniczącym tego zaimprovizowanego trybunału był André Breton, rolę prokuratora pełnił Ribemont-Dessaignes, a obrońcami byli Aragon i Soupault. Pisma Barrèsa wywierały ogromny wpływ na całą młodzież francuską przed pierwszą wojną, oddziaływały także na instygatorów tego „procesu”, którzy pragnęli przecież pępowinę łączącą ich z tym pisarzem. Było to dla nich przypieczętowaniem zerwania z przeszłością, pewnego rodzaju aktem magicznym, podeptaniem tego co kilka lat przedtem miało dużą siłę atrakcyjną. Dadaizm zakończył swój burzliwy żywot w r. 1922; w latach następnych ukazało się jeszcze sporadycznie kilka numerów wydawanego przez Picabię 391 oraz czasopisma *Merz*, które wychodziło w Hanowerze pod redakcją Kurta Schwittersa.

Tristan Tzara był niewątpliwie pierwszoplanową figurą dadaizmu — on również był autorem *Manifestów.* W latach następnych, gdy zniknęła przesadna prowokacja i drażnienie publiczności okazało się, iż Tzara był także poetą dużej klasy. Wy-

dał on wiele zbiorów wierszy z ilustracjami najwybitniejszych artystów takich jak Picasso, Braque, Arp, Max Ernst, Fernand Léger, Paul Klee i in. Tzara jest także autorem poematu *l'Homme Approximatif*.

Gdy przyjechałem po raz pierwszy do Paryża nadrealizm miał już cztery lata. Ten krnąbrny chłopiec w niczym nie przypominał grzecznych, wykrygowanych dzieci — był to raczej swawolny Dyzio rozbuchany — jak powiedziałby Witkacy — do kosmicznych rozmiarów, albo mały potworek pokazujący wszystkim język i czyniący prowokacyjnie nieprzyzwoite gesty. Niemowle dadaistyczne zostało już przez wszystkich porzucone, ale jego wpływ na kształtowanie się umysłowości młodego pokolenia poetów trwał nadal i nadrealiści w swych publicznych manifestacjach kontynuowali ten sam „styl”, który wprowadziła dada.

Mam pewną słabość do dadaizmu, gdyż moje pierwsze publiczne wystąpienie *Powszechny Mityng w sprawie sztuki* miało niewątpliwie dadaistyczny charakter: gwałtowność ataków na uznanych pisarzy, negacja sztuki, propagowanie „postu twórczego” na dwa lata, perfumowana sala przybrana prowokacyjnymi transparentami, celowe drażnienie publiczności itp. — tych haseł i atmosfery nie powstydziliby się niewątpliwie Tristan Tzara lub Arp, podobnie jak końcowego głosowania, które było pełnym unikatem. Widząc że sala jest wrogo nastawiona i że nie ma żadnych szans na uchwalenie proponowanej rezolucji jeden z nas wpadł na świetny pomysł zapewnienia nam większości oświadczając: „Wobec tego, że zebrani nie wykazują zrozumienia dla zasadniczych problemów sztuki postanawiamy, że każdy z obecnych tutaj *negatywistów* reprezentuje 100 głosów”. Było nas czterech (Józef Edward Dutkiewicz, Julian Przyboś, Jan Alfred Szczepański i ja), mityng zakończył się więc uchwaleniem rezolucji 405 głosami przeciw 300, co było dużym sukcesem, gdyż nie spodziewaliśmy się znaleźć na sali nawet 5 osób głosujących za nami. To wystąpienie było — obok *Almanachu GGA* Sterna — jedyną w Polsce manifestacją o charakterze dadaistycznym.

Nie pamiętam kiedy i w jaki sposób poznałem Tzarę. Prawdopodobnie zetknąłem się z nim przez Pawła Dermée, albo przez Seuphora, wkrótce po przyjeździe do Paryża, ale bliższy kontakt nawiązałem z nim dopiero w okresie, gdy wydawałem czasopismo *l'Art Contemporain-Sztuka Współczesna*. Już w pierwszym numerze wydrukowałem wiersz Tzary pt. *Paysages et accidents*, w tekście francuskim i w polskim przekładzie. Tłumaczenie było dziełem zbiorowym, gdyż nie znałem poety, który mógłby się podjąć tego trudnego zadania i mimo że sam zająłem się ostatecznym wy-

gładzeniem tekstu — nie jestem zadowolony z rezultatu. Kontakty nawiązywane w Paryżu przerywają się zazwyczaj bardzo szybko, w tym wypadku — trwał on przez czas wydawania pisma. Tzara doradził mi zaproszenie do współpracy Hugneta, który wtedy był jeszcze młodym, nieznanym poetą grawitującym w kręgu Maxa Jacoba. Artykuł Hugneta, zamieszczony w polskim tłumaczeniu w numerze drugim jest dzisiaj dokumentem niepozbawionym pewnej pikanterii, gdyż zawiera dość nieprzyjemne uwagi pod adresem nadrealistów, a — jak wiadomo — Georges Hugnet, w kilka lat później, stał się głównym filarem grupy młodych nadrealistów, na których Breton oparł się po zaatakowaniu go przez Desnosa, Ribemonta-Dessaigues i in. w jednodniówce *Un Cadavre*. W latach gdy go spotykałem — Tzara porzucił już ekstrawagancje *mr. anti-pyrine*; wtedy ukazał się jego poemat *l'Homme Approximatif*, dziś jeszcze bardzo ceniony. Jest to utwór mający duże ambicje i niewątpliwie o szerszym rozpięciu skrzydeł. W tym okresie Tzara był jeszcze młodzińcem o kruczo-czarnych włosach i — podobnie jak Bruno Jasiński — nie rozstawał się z monoklem. Już przed wybuchem wojny straciłem go jednak z oczu, przelotnie widziałem go zaraz po wyzwoleniu Francji, a w latach ostatnich spotykałem go od czasu do czasu w okolicach *St. Germain-de-Près*. Czarne włosy zastąpiła siwa czupryna, a monokl — zwykłe okulary w rogowej oprawie.

Z innych byłych dadaistów widywałem dość często Pawła Dermée i jego żonę poetkę Céline Arnaud (która też wzięła udział w kilku wystąpieniach dadaistycznych), Piotra Albert-Birot i Ribemonta-Dessaigues. Wszystkich drukowałem w *l'Art Contemporain*, oprócz Birot'a gdyż poznałem go już po zawieszeniu wydawnictwa. Spotykałem go dość często w okresie przedwojennym na organizowanych na jego cześć kolacjach tzw. *Diners Grabinoulor*, które zawsze kończyły się odczytaniem przez Follaina fragmentu *Grabinoulor*. Był to hołd oddany staremu poecie przez młodych.

Najczęściej widywałem jednak Arpa. I ta znajomość datowała się z okresu, gdy wydawałem *l'Art Contemporain*. Spotykałem go wtedy na zebraniach grup *Cercle et Carré* i *Abstraction-Création*. W tym okresie Arp nie miał uznania, którym cieszy się obecnie we wszystkich krajach, nie był jeszcze prawie „oficjalną” osobistością; dlatego był bardzo zadowolony, że w numerze trzecim *l'Art Contemporain* zamieściłem kilka dużych reprodukcji jego rzeźb. Okładka do tego numeru również była jego dziełem, ogłosiłem także przekład jego wiersza i list do mnie, zawierający opinie o malarstwie i o rzeźbie. „Aby dać odpowiedź na to pytanie — pisał Arp — muszę zacząć od dady porodzonej wśród uciechy przez Tzarę i przeze mnie; dada jest głębą macierzystą wszelkiej

sztuki, dada jest za bezsenssem ale nie za nonsensem, dada jest bez sensu jak przyroda i jak życie, dada jest za naturą i przeciw „sztuce”, dada jest moralna jak przyroda i jest za nieograniczonym sensem i ograniczonymi środkami”.

Te zdania robią wrażenie wyjętych z jakiegoś manifestu dadaistycznego. Jeszcze bardziej dadaistyczne jest zakończenie tego krótkiego listu: „ostatecznie uważam że człowiek — to ani para-sol ani para-la-si-do ani paramount bo składa się z dwu mięsożer-nych cylindrów z których jeden mówi białe gdy drugi mówi czar-ne”. Najbardziej zabawna jest końcowa formuła grzecznościowa, która jest nieprzetłumaczalna, gdyż polega na nie dającej się wyrazić po polsku grze słów: Listy handlowe Francuzi kończą często formułą: *Veillez agréer, Monsieur, mes salutations empressés*. Otóż Arp skojarzył tę formułę z *citron pressé* (wyciskaną cytryną, jaką zamawia się w kawiarniach) i zakończył ten list następującym zdaniem: „agréz monsieur mes citrons empressés”. Przetłumaczyłem tę formułę przez: „proszę przyjąć me cytrynowe uści-ski”, ale oczywiście straciło to całą „sól” zawartą w grze słów.

Rozpisałem się nieco obszerniej o tej drobnej sprawie, gdyż jest ona typowym przykładem *esprit dada*, który zawsze cechował Arpa. Nie można zrozumieć dadaizmu i nadrealizmu, jeśli się nie ma wycucia tego typu nieprzewidzianych kalamburów i skoków myślowych. Arp zachował ten *esprit dada* jeszcze w chwili obecnej, gdy przekroczył już próg starości, i dzięki temu utrzymał pewną młodość, duchową i artystyczną. Ten sam „styl duchowy” posiada Max Ernst, podczas gdy pierwsza żona Arpa, Sophie Tauer-ber-Arp, mimo że brała czynny udział w wielu wystąpieniach dadaistycznych była go prawie pozbawiona. Wydaje mi się, że kto raz przeszedł przez dadaizm i nabrał *esprit dada* nie może się go już nigdy pozbyć — dlatego nawet dziś jeszcze, rozmowy z Arpem lub Maxem Ernstem mają zawsze w sobie coś zaskakującego, nieprzewidzianego, dają to drobne ułknięcie aluzji do *l'au-delà*, do tego co jest z *tamtej strony*. Jest to niezmiernie zapładniające dla artysty otwierając często zupełnie nieprzewidziane horyzonty. Te drobne metafizyczne ułknięcia są miniaturową pozostałością wielkiej przygody duchowej, jaką był dadaizm dla wielu poetów i artystów w tym *okresie burzy i naporu*.

W pracowni Arpa w *Meudon-Val-Fleury* spędziłem wiele niezapomnianych chwil. Arp jest autorem rysunków zawartych w moim tomiku pt. *W drugiej osobie*, także mój francuski tomik *Nuits végétales* ukazał się *avec un papier déchiré de Arp*. On również robił okładkę do mojej francuskiej broszurki o malarstwie *Kilométrage de la peinture contemporaine*. Arp ułatwił mi wreszcie zbieranie obrazów dla kolekcji nowej sztuki zorganizowanej przez grupę *a.r.* w Muzeum miejskim w Łodzi.

Postać Sophie Tauer-ber-Arp łączy się w mojej pamięci z wizytami w *Meudon-Val-Fleury*. Oddała mi ona dużą usługę pomagając w charakteryzacji i robiąc fotografie, które zamieściłem na początku powieści filmowej *Bankructwo profesora Muellera*. Dzięki niej wypadłem bardzo interesująco jako dr Józef Strumień, jako książę Larsen Ulupin i Ingeborga Held. W tym ostatnim wcieleniu wystąpiłem nawet w kapeluszu Sophie Tauer-ber-Arp. Jedynie profesor Gwido Mueller reprezentowany był przez mój portret zrobiony przez Witkacego. Nosiłem wtedy brodę i miałem istotnie diaboliczny wygląd. W tym okresie filmy były poprzedzane zazwyczaj fotografiami gwiazd ekranu i tym się tłumaczy zamieszczenie fotografii na początku książki. Moja powieść była próbą połączenia formy cklewie sentymentalnego scenariusza z powieścią opartą na bardzo sensacyjnym, ale absurdalnym pomysle zrealizowania idei neomaltuzjanizmu przez antropofagię — była więc próbą pewnego rodzaju mistyfikacji w duchu dadaistycznym.

Przez Arpa poznałem wielu malarzy, m.in. Maxa Ernsta. „Okres Ernstowski” był stosunkowo krótki, ale pozostawił w mojej twórczości trwałe ślady: mój tomik *Zaciśnięte dookoła ust* i *Spectacle métallique* zawierają *collages* Ernsta. Widywałem go często w dość trudnym dla artysty okresie, gdy przechodził kryzys finansowy i nic nie pozwalało przypuszczać, że jego obrazy osiągną dzisiaj tak „himalajskie” ceny.

W twórczości Arpa wiele rzeźb związanych jest z tendencją do oparcia się na formie, dlatego był on członkiem grup *Le Cercle et le Carré* i *Abstraction-Création*; o wiele mniej często spotyka się elementy o charakterze dadaistycznym („wasy” i „pępki”) najmniej oddźwięków wywołał nadrealizm, mimo że przez pewien czas był on członkiem grupy nadrealistycznej i brał udział w jej zebraniach. W obrazach Maxa Ernsta tendencje dadaistyczne są o wiele bardziej widoczne i łatwo można dostrzec jak w prawie naturalny sposób przeszły w nadrealizm. Okres dadaistyczny pozostawił więc stosunkowo mało śladów w ich dziełach — pomimo to dadaizm odegrał jednak największą rolę w kształtowaniu się ich umysłowości i postawy w stosunku do sztuki. Bez *esprit dada* niewątpliwie ich twórczość byłaby zupełnie inna, prawdopodobnie byłaby artystycznie o wiele mniej przekonująca. Już ten fakt świadczy jak dużą rolę odegrał dadaizm w sztuce współczesnej.

Jan BRZEKOWSKI

Wieczór Zofii Romanowiczowej

Wieczory literackie Związku Pisarzy mają swoją tradycję. Chyba nie ma wielu polskich pisarzy i uczonych, którzy by nie stawali przed londyńską publicznością w cieniu sztandarów Instytutu. Londyńscy członkowie Związku stanowią naturalnie większość korzystającą z tego przywileju. Przyjezdni ze wszystkich stron świata, a od kilku lat i z kraju, są zawsze atrakcją mile witaną przez zmęczony wciąż tymi samymi twarzami Londyn. Czasem owe miłe witanie bywało zamącone londyńsko-polskim kwaskiem, jak było za czasów pierwszego pobytu Miłosza w Londynie. Rasowi „emigranci polityczni” rozdzierali szaty w obronie czci sztandarów. Drugi wieczór Miłosza odbył się już bez wstrząsów i w przyjaznej atmosferze, choć bez obecności „rasowoczystych”.

Z tą obecnością na wieczorach literackich ma się tak: ustalił się pewien schemat. Rdzeń publiczności stanowią stali bywalcy: państwo K., którzy zawsze przychodzą na pół godziny przed zaczęciem i stale zajmują te same krzesła, pani M. wpadająca w ostatniej chwili i potężną tuszą rozsadzająca porządek zdaje się już zaskrzepły. I wielu innych. Razem kilkadziesiąt osób, których ściślejszego powiązania z literaturą trudno szukać, chyba zwykle, ludzkie, szlachetne amatorstwo.

Następną warstwą zalegającą salę są znajomi i krewni „ofiary”. Jest ich zawsze sporo; przy wieczorach zbiorowych wypierają innych na korytarz.

Na tym korytarzu, w cieniu siodła husarskiego, szyszaka i karabeli w gablotkach, stoją zwykle korespondenci i sprawozdawcy „Tylonu”, „Gazety Niedzielnej”, „Orla Białego” itd. Obowiązek nakazuje im przynajmniej powąchać atmosferę, aby potem móc zarobić pięć szylingów za króciutką notatkę.

Resztę sali wypełniają „fachowcy”, więc pisarze, członkowie Związku, zainteresowani zawodowo i duchowo literaturą. Im wyższy jest poziom wieczoru, im bardziej interesująca i kontrowersyjna jest postać autora, tym mniej jest owych „zawodowców”. Najgęściej obsiadają krzesła, gdy występuje miejscowa „siła”. Istnieje bowiem w Londynie polskim czcigodny zwyczaj czynienia sobie wzajemnych uprzejmości — „ty mnie pochwalisz, ja cię pochwalę...”.

A swoją drogą ilość „literatów”, członków Związku Pisarzy, którzy przychodzą na wieczory literackie jest tylko nikłym procentem owych 67 pisarzy polskich mieszkających w Londynie. Bardzo często można ich policzyć na palcach jednej ręki.

Na wieczorze Zofii Romanowiczowej sala była zapełniona, a spośród członków Związku Pisarzy zjawilo się coś ponad dwudziestu.

Przemawiał jako przewodniczący najlepszy, jeśli nie jedyny krytyk literacki Londynu, Tymon Terlecki, zabierał głos pisarz i znawca literatury, Jan Bielatowicz, deklamowały artystki: Tola Korian i Irena Kora Brzezińska. Wydaje się, że pokazaliśmy, co mamy najlepszego. Dla kogoś kto zjechał zza morza, dla kogoś kto na wieczorze londyńskim był po raz pierwszy, był to program świetny, bez zarzutu. Dla sztandarów wiszących pod sufitem była to męka powtarzania kliszy w nieskończoność.

Wieczory literackie organizuje się u nas już bez entuzjazmu. Aby się odbyły. Członkowie zarządu Związku liczą kasę, zastanawiając się czy wy-

starczy na znaczki do zaproszeń na przyszłą imprezę. Korespondenci przepisuja swoje notatki sprzed kilku lat. Publiczność wychodzi z uczuciem jako tako spełnionego obowiązku.

Prelegenci wzdychają.

Na tle schematu i konwencji skostniałej Londynu głos przybyłej z Paryża Zofii Romanowiczowej zabrzmiał jednak zupełnie nowymi akcentami.

Pełna tremy i zastrzeżeń, zdenerwowana pierwszym w swoim życiu wielkim wieczorem autorskim Romanowiczowa pokazała wnikliwie i subtelnie tajemnicę tworzenia.

Zarysowująca się, zaczajona w zamysłach, narastająca z każdym dniem nowymi obrazami powieści Romanowiczowej ukazała się nam w postaci kilku fragmentów. Trzy na pozór oderwane obrazy, na pozór inne, były tym samym wysiłkiem uchwycenia na gorąco przyczyn i skutku, urodzin i umiarnienia, ujrzania i doznania.

Nowa powieść nosi roboczy tytuł. „Ifigenia z Radomia”. Chociaż w polskim Londynie chodzi ukute gdzieś w kuluarach Związku Pisarzy twierdzenie, że „Romanowiczowa jest za trudna”, to przecież publiczność ta stała, amatorka, ta przyjacielska i znajoma, i ta zawodowa, słuchała z zainteresowaniem.

Byliśmy świadkami powstawania dzieła artystycznego.

Jednak twórczość Zofii Romanowiczowej nie została, niestety, omówiona dostatecznie.

Londyn polski, ten Londyn literacki, kulturalny nie dał ze siebie za wiele Zofii Romanowiczowej, a jednak ona wyjeżdżała z niego zachwycona.

Dlaczego?

Bo Londyn wciąż posiada to, czego nie mają ani Paryż, ani Monachium, ani Toronto, ani Buenos Aires — PUBLICZNOŚĆ.

Pisanie książek, świadomość ich rozchodzenia się po świecie, zbieranie krytyk (jakże skąpych na emigracji), gromadzenie listów przyjaciół i wielbicieli — to tylko część życia literackiego. Spotkanie się z czytelnikami oko w oko, rozmowa z nimi, oklaski, uśmiechy, ściskanie ręki z wdzięcznością, wreszcie kolejka po autograf — to wielkie przeżycie dla autora.

To może mu wciąż dać polski Londyn. Wśród 140 tysięcy Polaków tu mieszkających znajdzie się kilkudziesięciu, którzy na pół godziny przed czasem przyjdą zająć miejsca na sali, wśród 60 pisarzy zapisanych w Związku i 20 niezapisanych znajdzie się kilkunastu poczuwających się do solidarności i uważających za potrzebne przyjście na wieczór. Zapewnienie niewielkiej sali Sztandarowej jest pewne.

Niestety, poza ową salką muzealną nie posiadamy tu większych możliwości, niestety, poza schematycznym wieczorem autorskim nie potrafimy się zdobyć na godniejszą i bardziej interesującą imprezę literacką. Jesteśmy starzejący się i zniechęceni, zblazowani i zmęczeni i brak nam tego młodego tworzywa, które pieni się i płonie organizując Stodoły i Krzywe Koła.

Londyn powinien być centrum kulturalnym na obczyźnie, Londyn ma wciąż jeszcze wiele na to danych... oprócz szczerzej chęci.

Czesław DOBEK

Komunikaty

PROGRAM NAUKOWYCH TŁUMACZEŃ

Ubiegłej jesieni American Council of Learned Societies zwróciło się do niewielkiej grupy naukowców i pisarzy z prośbą o podanie tytułów wybitnych książek, wydanych w Stanach Zjednoczonych w językach mało znanych, które należałoby przetłumaczyć dla użytku amerykańskich naukowców. W pierwszym rzędzie ACLS wyraziło wyjątkowe zainteresowanie pracami z dziedziny historii idei, historii nauki i historii sztuki. Otrzymało 24 propozycje, z których 8 zakwalifikowano do natychmiastowego rozpatrzenia i streszczenia przez kompetentnych naukowców dla naukowego jury.

W przeciągu miesiąca 3 a może 4 prace będą przedstawione Komitetowi Wydawniczemu ACLS do ostatecznej decyzji i wydania.

Mimo że program tłumaczeń dopiero wszedł w życie oraz ACLS nie może zapewnić tłumaczenia i wydania każdej wybitnej pracy w obcym języku, pierwsze próby wskazują na potrzebę skompletowania wykazu wybitnych prac celem przekładu. W związku z tym ACLS prosi historyków i humanistów o przesłanie dodatkowych propozycji, dotyczących prac o wysokiej wartości naukowej, pożytecznych naukowcom, nie mogących zapoznać się z tekstami oryginalnymi. Prace w językach francuskim, niemieckim, włoskim, hiszpańskim nie wchodzi w rachubę. Ponadto ACLS zakłada, że studium historii lub ustrój danego kraju będą dostatecznie znali język tego kraju, tak że tłumaczenie prac z tego języka na język angielski nie będzie potrzebne; celem planu jest udostępnienie amerykańskim naukowcom dzieł, mających szersze znaczenie i użyteczność. Prace brane obecnie pod uwagę obejmują historię matematyki w języku duńskim; studium o wczesnych psychologicznych teoriach w języku holenderskim oraz zbiór esejów o historii sztuki w języku polskim.

Każda propozycja musi obejmować standartowe informacje bibliograficzne. Ponadto powinna, o ile to możliwe, obejmować analizę książki oraz nazwisko chociażby jednego naukowca, który potrafiłby przedstawić dokładny opis po francusku lub angielsku. Listy adresować należy: Scholar Translation Program, American Council of Learned Societies, 345 East 46-th Street, NEW YORK, New York 10017.

KONKURS IM. ZYGMUNTA NOWAKOWSKIEGO

Dla uczczenia pamięci Zygmunta Nowakowskiego, znakomitego pisarza i oddanego przyjaciela teatru, Obywatelski Komitet Pomocy Uchodźcom Polskim w W. Brytanii rozpisuje konkurs na sztukę dla dzieci i młodzieży.

Warunki konkursu są następujące:

1. Sztuka powinna uwzględniać potrzeby i liczyć się z możliwościami odbioru dzieci polskich (do lat 15), wychowujących się poza krajem.
2. Sztuka może się opierać na pomysle oryginalnym lub zaczerpniętym ze skarbicy znanych baśni lub bajek. Może być napisana na obsadę z osób dorosłych lub dzieci.

3. Tekst sztuki powinien wypełniać widowisko całowieczorowe (ok. 2 — 2 i pół godzin).

4. Sztuka nie może być uprzednio ani ogłoszona drukiem, ani wystawiona na scenie.

5. Utwory przepisane na maszynie, należy nadsyłać do dnia 15 października 1964 r. na adres Komitetu Obywatelskiego (*Polish Citizens Committee for Refugees*, 33 Weymouth Street, London, W. 1.) z napisem „KONKURS” na kopercie zewnętrznej. Każda przesyłka powinna być oznaczona godłem i zawierać imię, nazwisko i adres autora w zamkniętej kopercie, oznaczonej w taki sam sposób.

6. W konkursie zostaną przyznane trzy nagrody: I — £ 100, II — £ 60 i III — £ 40. Jury konkursu ma prawo w uzasadnionych okolicznościach inaczej podzielić globalną sumę £ 200 i może wyróżnić dowolną liczbę sztuk, a w razie pomyślnego wyniku zabiegać o dodatkowe nagrody.

7. Jury konkursu stanowią: Mgr Ludwik Bojczuk, Maria Duszowa, dr Władysław Günther, dr Leopold Kielanowski, Regina Kowalewska, dr Karol Poznański i dr Tymon Terlecki.

CZTERY NAGRODY ZWIĄZKU PISARZY

5 lutego 1964 odbyło się posiedzenie jury nagród literackich Związku Pisarzy Polskich na obczyźnie.

Nagrodę im. Herminii Naglerowej (£ 50), ufundowaną przez mec. M.H. Chmielewskiego przyznano A. Jancie, nagrodę ufundowaną przez ppłk. Franciszka Raczkę (£ 50) Marianowi Pankowskiemu, nagrodę ufundowaną przez czytelników „Dziennika Polskiego” (£ 50) — Władysławowi Güntherowi; nagrodę ufundowaną przez Koło A.K. w Detroit (100 dolarów) przyznano pośmiertnie Krystynie Kraheleskiej, poetce A.K. z lat okupacji, poległej w pierwszym dniu Powstania Warszawskiego. Nagroda dopomoże do wydaniu tomiku wierszy śp. Krystyny Kraheleskiej w dwudziestolecie Powstania.

SUBSKRYPCJA KSIĄŻKI ALEKSANDRA GROBICKIEGO

W dwudziestopięciolecie wybuchu wojny i dwudziestolecie bitwy pod Monte Cassino Aleksander Grobicki, czynny i aktywny uczestnik ostatniej wojny, ogłasza subskrypcję na swoje wspomnienia pt. **WOJENNE BŁYSKI**.

Książka objętości ok. 200 stron kosztuje w przedpłacie dol. 2.50. Lista subskrybentów będzie wydrukowana w specjalnym dodatku do książki i każdy subskrybent otrzyma egzemplarz dedykowany przez autora. Po ukazaniu się książki cena sprzedażna będzie znacznie wyższa.

Subskrypcję w wysokości dol. 2.50 za egzemplarz należy kierować na adres autora: Aleksander Grobicki, 185 Quebec Avenue, TORONTO 9, Ont., Canada. Listy subskrybentów (będące niejako pokwitowaniem odbioru pieniędzy) będą periodycznie drukowane w polskiej prasie w Kanadzie.

Książki

Długi bieg

Byłoby źle, gdyby antologia współczesnej literatury sowieckiej, „We własnych oczach” (1), nie doczekała się żadnej recenzji. „Kultura” zdaje się wychodzić z założenia, że wystarczy książkę wydać, a sama znajdzie swoje miejsce pod słońcem, jednakże sens wydawania takiego grubego tomu musi pozostać dla potencjalnych czytelników niejasny i mogą go omijać, bo „znamy to, znamy”. Wprawdzie książka jest zaopatrzona w przedmowę Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, ale żeby się z nią zapoznać trzeba tom otworzyć (2). Dzieło, jest tak niezwykle, tak prokokujące do mnóstwa pytań, że powinno się przynajmniej odnotować jego istnienie jako fakt zastanawiający. Pozostaje zagadką dlaczego w Polsce żaden dom wydawniczy nie wpadł na taki pomysł.

To co napisano na Zachodzie o sowieckich obozach koncentracyjnych złożyłoby się na pokaźną bibliotekę. Ponieważ nie jest pewne czy nasze stulecie będzie się nazywać epoką energii atomowej czy epoką obozów koncentracyjnych, świat zachodni, mimo swoich wielu chorób, zyskał słuszny tytuł do dumy, bo nie zabrakło w nim pisarzy, którzy mieli odwagę krzyczeć, wystawiając się na zorganizowane kampanie komunistów, kontrolujących nieraz znaczną część prasy i rynku wydawniczego. I zwykłej obojętności i tym kampaniom trzeba przypisać dość słaby rozgłos książek na tak odstrasający temat, jednakże wolno prokokuwać, że przyszłość obejdzie się z całą tą biblioteką inaczej. Pisarze zajmujący się obozami koncentracyjnymi nie przemawiali tylko w obronie ludzi zamkniętych. Zdawali oni sobie sprawę, że

(1) *We własnych oczach*, Instytut Literacki, Paryż 1963.

(2) Przedmowa ta, została również zamieszczona w „Kulturze” nr 1/195-2/196 (styczeń-luty 1964). Redakcja.

obozy wytwarzają w społeczeństwie, którego każda cząstka jest stale zagrożona, rodzaj *moral insanity*, co, zważywszy na postępy socjalizacji posługującej się takimi środkami, wymagało ostrzeżenia ludzkości. Antologia ten pogląd całkowicie potwierdza. Wszystkie niemal opowiadania i krótkie powieści w niej zamieszczone mają za przedmiot wpływ, jaki obecność obozów koncentracyjnych w ludzkiej świadomości wywiera na mechanizm społeczny. O Wyspach Sołowieckich, Białomorskim Kanale, Kołymie etc. mówi się otwarcie.

Błędem byłoby chyba stosować analogie i patrzeć na tę książkę z polskiej perspektywy. Suma cierpień jest niewspółmierna i trzeba to stwierdzić, pomimo polskiej skłonności do litowania się nad sobą. Być może analogie z polską „odwilżą” też byłoby mylne, bo skłaniałyby do uznania sowieckich utworów za wyraz minionego już u ich sąsiadów „etapu”, umieszczonego gdzieś w 1955 r., do czego co prawda trochę upoważnia „Wołogodzkie wesele” Jaszyna, bardzo podobne w pomysłcie do „Na wsi wesele” Dąbrowskiej (przypadek czy wpływ?). Polska perspektywa byłaby przydatna, gdyby chociaż polska i rosyjska proza rządziły się tymi samymi prawami, ale tak nie jest. Kapryśna, aluzyjna, persyflażowa, często historyczna, polska proza wywodzi się z tradycji gawędziarstwa, pamiętnikarstwa albo poezji i nie była nigdy tak ustawiona przez wybitnych autorów dziewiętnastego wieku jak rosyjska, co nie pozostało bez konsekwencji. Dyktowane przez partię powieści i nowela nie miały w Polsce czym się żywić, technika ich była nędzna, toteż szybko obrócono te próby w pośmiewisko. Ale w Rosji pokolenia na takiej literaturze się wychowywały, przenikała ona wszędzie, naprawdę „narodna”, wchłaniając całą moralizatorską pasję pisarzy dawnych, ich zmysł realistycznie odtworzonego szczegółu, ich powolny tok narracji, ich głęboko współczującą ludzkość, przez co powstawała mieszanka zaiste diabelska, „poza prawdą i nieprawdą” jak to nazywa Wat. Z takiej też, i dziewiętnastowiecznej i socrealistycznej, szkoły wyszli autorzy prozy drukowanej w 1962 i 1963 w sowieckich *tolstych* *żurnalach* i przedstawionej (szybkość zdumiewa!) czytelnikowi antologii. I chociaż raz nas nieraz staroświeckość pisarskiej techniki, chociaż irtują dłużyzny i naiwności, chociaż poziom literacki opowiadań jest bardzo nierówny, mamy do czynienia z prozą solidną, tzn. zdolną zaciekawić i utrzymać zaciekawienie. Kto wie zresztą, czy łatwość z jaką wciągamy się w tę lekturę nie pochodzi stąd, że pokazane są zjawiska typowe, że czytamy jakby studium o losach wielu milionów ludzkich istnień, co dowodziłoby, że długoletnie dyskusje o „typowości” właściwe erze socrealizmu nie były tylko nonsensem.

Nie ma co ukrywać, jest to literatura przeprowadzająca obra-

chunek z „epoką błędów i wypaczeń” na mocy udzielonego przez rząd i partię mandatu. Nie opuszcza nas dziwne uczucie wahania pomiędzy dwiema alternatywami. Albo ci pisarze aż tak posiedli sztukę akrobacji, że umieją maszerować po sznurze nad wielką czarną jamą doskonale wiedząc, że trzeba udawać jakoby jamy nie było, albo też ich przyzwyczajenia myślowe są zbyt silne żeby jamę widzieli. Coraz to przechylamy się to ku jednej to ku drugiej alternatywie. Nie jest wykluczone, że chcąc wybrać, ulegamy z kolei własnym przyzwyczajeniom, domagając się koherencji i logiki tam gdzie zaprawa kilku dekad na długo ją uniemożliwiła.

Jedną z właściwości piśmiennictwa socrealistycznego była jego współpraca z policją śledczą, tj. budowanie mirażu opromienianych działań policji szczególnym nimbem moralnym. Współpraca ta zarażała piśmiennictwo wręcz inkwizytorską przenikliwością w tropieniu zła i podsuwała sposoby charakterystyki postaci jakby zapożyczone z policyjnej kartoteki. Nigdy też w historii, nie wyłączając psychoz późnego średniowiecza i psychoz purytanizmu, nie przeprowadzano w tej skali obławy na nieczytą siłę, usiłując ją zniszczyć przez fizyczną likwidację osobników jej kopytem naznaczonych. W przeciwieństwie do ustrojów, gdzie dziedziny prawa i moralności są rozgraniczane, kara spadała za grzech, który albo zaledwie dawał znać o sobie (np. jakiś szczegół biograficzny sprzed wielu lat) albo musiał być, z założenia, nieodłączny od przynależności do pewnej kategorii społecznej. Najbardziej charakterystyczne utwory w Antologii (nie należą do nich opowiadania Jaszyna i Sołżenicyna) świadczą, że ich autorzy nie pożegnali się bynajmniej z tą szkołą podejrzliwości, jedynie zrobili ze swojego terminowania nowy użytek.

Teżę temu można by ująć następująco: nie wolno torturować ludzi niewinnych. Wysyłając ich masowo do łagrów, nierozsądny aparat marnował tych, którzy byli jego najpewniejszymi sprzymierzeńcami i dezorganizował życie w państwie. Żal, współczucie, cała miłość do Dobra, korzystająca z doświadczeń wielkiej prozy rosyjskiej, wybuchają kiedy autorzy zdają relację z przyciód tych skrzywdzonych i poniżonych. Dobro jest utożsamione z wiernością partii i państwu. W opowiadaniu Diakowa „Przeżyte”, bohater Wojny Domowej, generał, rektor Akademii Lotniczej, Aleksander Todorskiej, odsiadujący w łagrze piętnastoletni wyrok, pozostaje zapalonym komunistą i wygłasza odczyty „w obronie naszej władzy”. Stąd okrzyk jednego ze współwięźniów: „Zadziwiający naród. Toż Todorskiej — dosłownie jak karaś, jak Boga kocham! Smażą go na patelni aż dym idzie, a on krzyczy: Ach, jak ładnie pachnie!”. Ten podziw dla cierpliwości i posłuszeństwa jako najwyższej cnoty jest i u Siomina („Okno”) i w krótkiej powieści Stadniuka o wsi ukraińskiej („Lu-

dzie nie są aniołami”). Tylko katorżnicy, urki, są wyzbyci jakichkolwiek przywiązań, ale ci są dotknięci atrofią zmysłu społecznego. U Maksimowa („Żywot człowieka”) taki katorżnik po ucieczce z łagru, dokąd trafił za to, że dostał się był do niewoli niemieckiej (ten grzech był karalny), zamarza w tajdze i pielęgnowany w zapadłym osiedlu z poświęceniem życia (chłopak który wybrał się psim zaprzęgiem po lekarza zginął) zostaje — moralnie — przywrócony społeczeństwu. Maksimow stawia tu, podobnie zresztą jak jego koledzy, pomnik lekarzom i pielęgniarzom, a wiemy z wielu świadectw, że jest to pomnik zasłużony.

Polski czytelnik będzie zapewne zawsze skłonny uważać wierność partii i państwu utożsamione z cnotą za fasadę, lakier niezbędny żeby prawdę przemycić. Nie można jednak mieć pewności czy nie ulega on wtedy swojej anarchicznej tradycji kpin w wszelkiej władzy, co utrudnia mu zrozumienie innej mentalności. Patriotyzm rosyjski ma inne tradycje, łączy się z powagą państwa a nawet jego kultem i pomijając ten czynnik łatwo wpaść w lekkomyślny optymizm, dopatrując się buntu przeciwko rządowi totalitarnym tam gdzie go nie ma.

Ale o jakiej wielkiej jamie wspomniałem? Autorzy dokładają wielu starań żeby oddzielić ziarno od plew i przenikliwością sędziów śledczych posługują się tym razem żeby przygotowywać proces rehabilitacyjny. Nie powinno się było torturować ludzi niewinnych, ale białogwardyjców, petlurowców, kułaków, banderowców owszem, bo jakżeby inaczej? Co się jednak stanie kiedy zadamy pytanie, które treść tej książki narzuca; a może w ogóle ludzi nie należało torturować, może lepiej jest kiedy państwo nie karze za grzech, tylko trzyma się kodeksu karnego (byle nie takiego, który i oddychanie pozwala zaliczyć do przestępstw), może obozy koncentracyjne były niepotrzebne? Innymi słowy, czy przypadkiem czyści, niewinni, wierni: politruk Kłoczkow, generał Todorskiej, zapędzający chłopów Kochanówki do kołchozu wiejski aktywista Hryhorenko i tylu innych, miażdżonych przez aparat którego byli częścią, czy przypadkiem nie oni ponoszą winę? Albo, postawmy pytanie brutalniej: miliony pomordowanych i jeszcze więcej milionów wdów i sierot, czy to się opłaciło? Sądząc po opisach wsi skolektywizowanej („Dokoła i wokoło” Abramowa, „Zagroda Matryony” Sołżenicyna), opisach przygnębiających, skoro zważymy, że jest druga połowa XX wieku i że od wybuchu rewolucji dzieli nas lat niemal pięćdziesiąt, nie opłaciło się. Grzech (chęć posiadania własnej krowy) nie został wypełniony, a kułacy w tych krajach, w których nikt ich nie zabijał sami oczyszczają się stopniowo ze skazy wynajmowania robotników rolnych, bo ci są za drodzy i lepiej robotę wykonuje maszyna. W miarę jak przewracamy stronicę, coraz silniej gruntuje

się w nas podejrzenie, że wszelkie bitwy na froncie cementu czy buraków czy siana były nadludzkiem zmaganiem się z przeszkodami wznoszonymi własną zasługą i to takimi, które żadnemu ekonomiście o zdrowych zmysłach nie przysłyby do głowy, chyba jako pomysł surrealistyczny. Terror usprawiedliwił siebie *ex post* bo państwo sowieckie istnieje i ma sputniki? Argument ten jest dla Rosjanina, zwłaszcza młodego, ważniejszy zapewne niż się przypuszcza, ale żadnego nie-Rosjanina nie potrafi przekonać.

A może chodziło o co innego? O wychowanie obywateli, poprzez strach i podejrzliwość, tak żeby każdy z nich był obserwatorem i donosicielem, obrońcą w ten sposób wspólnej własności? Ideał ten został osiągnięty bez terroru w niektórych jak najbardziej burżuazyjnych kraikach europejskich, gdzie wystarczy kichnąć, a w pół godziny policja jest o tym należycie poinformowana, tam jednak instytucje demokratyczne dostarczają jednostce ochrony. W każdym razie donosicielstwo nie jest cnotą specyficznie socjalistyczną i niemałą osobliwością jest jego dyskretna pochwała (jeżeli jest „sprawiedliwe” tj. służące do demaskowania wrogów) w utworach wymierzonych przeciwko, nazwijmy rzecz po imieniu, zbrodni ludobójstwa. Socjalizm jako mrowisko, w którym żadna mrówka nigdy, ani w dzień ani w nocy, nie może ukryć się przed wzrokiem innych mrówek, wyćwiczonych przy tym w przenikliwości psychologów, nie jest czymś do czego ludzie mogliby tęsknić. Jeżeli pomimo wszelkich swoich porażek, za które odpowiedzialność ponoszą zarówno komuniści jak socjaldemokraci, socjalizm ma pozostać projektem, czynnym oczekiwaniem braterstwa w wolności i wolności w braterstwie, nie należy go identyfikować z jego zaprzeczeniem.

Tym niemniej ironia byłaby na miejscu tylko gdyby „kultura masowa” (a omawiane utwory są jej częścią) nie była w wielu krajach poza Związkiem Sowieckim propagandą bezmyślności a „kultura elitarna” nie przyznawała się do niemocy i cynizmu. Antologia, jeżeli trafi do rąk pisarzy w Polsce będzie dla nich prawdopodobnie ciężkim orzechem do zgryzienia. Gdyby rozpoznali w niej siebie z „minionego etapu” nie łatwo im byłoby zamknąć oczy na różnice w uciążliwości przeżyć i różnice tempa. Ich bardzo zachodni wstyd wzniosłych uczuć czy też obawa śmieszności są na pewno cenne, bo chronią przed ponownym wzięciem na kawał, ale dlatego też nikt z nich nie zdobył się, jak zdobył się Sołżenicyn, na portret Matrony, istoty najniższej, u samego dołu społecznej piramidy, istoty nikomu niepotrzebnej ale obdarzonej łaską odkupiającą. Opowieść w stylu Konopnickiej? Kto wie, czy tylko to. W bardzo katolickim kraju, jak Polska, gdzie chrześcijaństwo jest oddane w monopol kleru, warto może

zaniepokoić się czy czasem w Rosji, gdzie oficjalnie zostało zniszczone, nie nurtuje głębiej i nie przemawia ustami ateistów. Przez „bezreligijność duszy polskiej” Brzozowski rozumiał brak powagi wobec życia i śmierci, a choć coś niecoś przemawia przeciw temu oskarżeniu, nie jest tego wiele i chyba się nie mylił.

W „Wołogodzkiem weselu” Jaszin z sympatią przedstawia „samobiczowników” i być może uważa ich za pisarzy bez pióra, spełniających co pisarze spełniać powinni:

„Pośród mężczyzn szybko pojawiają się na ucztach typowo rosyjscy poszukiwacze prawdy, zabiegający słownie o sprawiedliwość, o szczęście dla wszystkich. Dostaje się od nich i Niemcom i Amerykanom i Turkom, ale najwięcej chyba dostaje się im samym, ich rodakom. Tych ludzi mało interesuje wesołość, śpiew tańce. Oskarżają, demaskują, żądają kary, protestują i przez cały czas pytają co robić, jak ma być, kto winien i czy wiedzą o naszych troskach tam na górze, czy widzą to wszystko? W tej niepowściągliwości przejawiają się zapewne rysy charakteru narodowego. Ale nie daj Boże trafić w ręce takiego samobiczownika na cały wieczór. Nie będzie wtedy uczył ani zgody, niczego się nie zobaczy, niczego się nie usłyszy”.

Niepowściągliwością, jeszcze większą, szczytą się polscy pisarze. Ale jak to się stało, że poszukiwanie prawdy tak szybko im się znudziło? Wszystko przeniknęli, wszystko pojęli i odwrócili się od „problemów” w czym walenie dopomogła cenzura. Czy naprawdę przeniknęli? Czy też można o nich, sprinterach, powiedzieć słowami rosyjskiej anegdoty: „Mik-mak, mik-mak i pobieżał”? Z perspektywy Warszawy chęć wydostania się poza lokalne opłotki, chęć uniwersalizacji jest zrozumiała, niestety jest prawo literatury, które powiada, że nie pisze się z głowy tylko dotykając takich czy innych opłotków. Zerkając jednym okiem ku zagranicznym wydawcom pisze się książki nie mniej fałszywie niż zezując ku władzom. A jeżeli Zachód czyta Pasternaka i Sołżenicyna, to nie tylko dlatego, że Rosja jest wielka, na próżno by się tym pocieszała ich polscy konkurenci. Z „tumiwisizmu” bardzo rzadko coś wynika, z długodystansowych poszukiwań prawdy może wynikać wiele.

Trudno zakończyć recenzję nie pochwalwszy Gustawa Herlinga-Grudzińskiego za mądrą przedmowę i tłumaczy temu liczącego stron 519, Józefa Łobodowskiego, Zdzisława Miłoszewskiego, Kazimierza Okulicza, którzy pobili chyba rekord szybkości, dając wersję polską niemal bez zarzutu, ładną i czytelną.

Kierunki myśli "Ruchu Oporu"

Piętnaście lat pracy badawczej, 842 dużych stron druku, w tym 65 stron bibliografii. To nie jest typ książek, które zwykły robić wiele za wiele zgiełku w okresie „jesiennych manewrów”, z ich wyścigami do tzw. „wielkich” nagród i do jeszcze większych nakładów. Jest to w zamian dzieło, które konkretnie i zdecydowanie posuwa naszą wiedzę: tom bez którego nie obejdzie się odtąd żaden poważny badacz odnośnej dziedziny. Mówię o tezie francuskiego historyka II Wojny Światowej, Henri Michel’a, pt. „Kierunki myśli Ruchu Oporu” (1).

— Ruch oporu wyraża się przede wszystkim (dla wielu zaś tylko) w działaniu. Myśl niezwiązana z działaniem bywa myślą nie bojownika, lecz obserwatora. Do Ruchu Oporu należą zatem te jedynie kierunki, które — *uczestnicząc w walce* — formułują jej teorię, doktrynę, nawet etykę. Myśl taka rozwijała się w codziennej walce, usiłując odróżnić prawdę od fałszu, rozegnać jasno w chaosie sprzecznych propagand, wyznaczyć drogę czynu. Z tego punktu widzenia formułowanie i rozpowszechnianie idei, krytyk i oskarżeń przeciw okupantowi oraz jego sprzymierzeńcom bywało jednak nie tylko zachęcaniem do działania, ale stanowiło już również jedną z form działania. Tym niemniej: pewne ugrupowania (niekiedy zaś nawet małe grupy) manifestowały się obfitą produkcją ulotek, gazetek czy broszur, lecz w ruchu partyzanckim i w sabotażu zajmowały pozycję bez porównania skromniejszą. Z drugiej strony, Ruch Oporu posiadał swoich działaczy milczących: łączników sieci, żołnierzy walczących na obczyźnie, większość bojowników podziemia. Takich odróżnień należy sobie uświadomić dużo więcej przed przystąpieniem do analizy, do umiejscowienia i do należytej oceny szczegółów.

Za należącą do Ruchu Oporu uważa autor każdą działalność, która kontynuowała walkę przeciw Niemcom i Włochom, po militarnej klęsce (podkreślonej we Francji, tzw. „zawieszeniu broni”). Banał? Jak dla kogo. Z definicji tej wynika, że w zakresie jego tematu wchodzi za równo *podziemie* w okupowanym kraju, jak „Wolne Siły”, walczące u boku Sprzymierzeńców. Co do mnie, uważam ten „banałny” punkt wyjścia nie tylko za bardzo istotny, ale za przewrót w ujęciu tego przedmiotu. Dotąd każdy z tych dwóch terenów omawiany bywał (*w praktyce*) oddzielnie i inaczej. Podział taki tłumaczył się gruntowną różnicą w warunkach walki, to prawda. Co nie przeszkadza, że prowadził nieuchronnie do mimowolnego zacierania ważnych szczegółów wza-

(1) Henri Michel: *Les courants de pensée de la Résistance*. Wyd. Presses Universitaires de France. Collection: *Esprit de la Résistance*.

jemnego oddziaływania, ząbieni i... konfliktów. Powiedzmy sobie szczerze: dla historyka Ruchu Oporu w kraju, „Londyn” stawał się pojęciem mniej czy więcej globalnym; podobnie jak takim samym ogólnikiem stawał się „głos kraju” dla historyka „Sił Wolnych” na obczyźnie.

Henri Michel analizuje więc zarówno wszystkie fazy polityki i ruchu gaullistowskiego w Anglii, jak stanowisko poszczególnych kierunków Ruchu Oporu w samym kraju, ich ewolucje, rozgałęzienia i warianty.

Omawianie poglądów a zwłaszcza stosunków zajmowanych kolejno przez samego de Gaulle’a („kondensowanych” później do kilku idei podstawowych i rzekomo „niezmiennych”) zajmuje nie mniej niż 400 stronnic: od pierwszych jego apeli, proklamujących odmowę uznania klęski i wolę kontynuowania walki u boku aliantów, motywowanych *zrazu wyłącznie argumentami żołnierza*, poprzez wszystkie dalsze etapy, wywołane to taktyką w jego stosunkach z aliantami, to układem sił w samym kraju. Tytułem ilustracji: walcząc przeciw gen. Giraud i „giraudyzmowi”, gen. de Gaulle zaczyna wyrażać, a potem coraz bardziej akcentować, republikańskie wyznanie wiary. Akces różnych partii do „Francji Walczącej” a potem przystąpienie (w drugiej połowie 1941, tzn. po napadzie Niemiec na Rosję) nawet komunistów, czyni z de Gaulle’a swego rodzaju prezydenta rządu narodowej unii, zmuszonego brać po uwagę minimum poglądów swoich partnerów. Zmienia się jednak niewątpliwie również polityczna optyka generała: tradycjonalista o formacji i z mentalnością raczej pravicową, de Gaulle zwraca się zrazu odruchowo w kierunku notablów, aparatu i instytucji, luminarzy i korpusów (*corps constitués*), słowem w kierunku tzw. *osobistości*. Z małym wyjątkiem te jednak właśnie czynniki pozostały głuche na jego wezwanie: duża część wysokiego kleru, przemysłowców, głośnych pisarzy, czołowych administratorów uznała kolaborację Vichy z wrogiem. Równocześnie główny udział w podziemnym Ruchu Oporu biorą jednostki „szare”, bez stopnia i bez tytułów: robotnicy, urzędnicy, kolejarze. Odpowiadają na jego apel ludzie nieznanymi, ruchy zawodowe, działacze lewicy. Dla de Gaulle’a było to źródłem napróżd rozczarowania i rozdarcia, później odkrycia, że hierarchia społeczna nie pokrywa się wcale z hierarchią wartości: — „Byłoby śmiesznym snobizmem ubolewanie — oświadcza wtedy de Gaulle — że we *Francji Walczącej* brak wielu nazwisk niegdyś uświęconych”. A kilka dni później: — „To francuscy pracownicy ziemi, fabryk i transportu, otoczeni przez wroga i przez służących mu zdrajców, są tymi którzy — mimo głodu, ucisku i haniebnej propagandy — dają przykład Oporu”. Tych kolejnych retuszów będzie dużo. Wymieńmy, dla przykładu, stosunek do Sowietów: W telegramie z 27. IX.1941, de Gaulle wyraża Stalinowi podziw dla dzielności i odwagi jego armii i jej dowódców. Pochwały te będą później tylko wzrastać. H. Michel zauważa m.in.: „Jedną z konsekwencji *sienlanki Wolnej Francji* ze Związkiem Sowieckim jest opuszczenie

przez tę pierwszą Polski; sprzymierzeńca dużo dawniejszego, lecz bezsilnego": — „Istnienie wolnego narodu polskiego — powie de Gaulle, 13.VII.1942 — jest naszym zdaniem możliwe tylko na podstawie porozumienia z Rosją". Pośpiesza przy tym od razu dodać: „Zamierzamy nie mieszać się do sporów, mogących wyniknąć między tymi dwoma krajami”.

Podobnie dokładnemu omówieniu poddaje autor wypowiedzi partii i ugrupowań francuskiego Ruchu Oporu w samym kraju, analizując beznamyślnie (ale czujnie i drobiazgowo) wiele dziesiątek pism podziemnych: zarówno zajmowane przez nich każdorazowo stanowiska, jak *międzywiersze* tych stanowisk, poglądy w każdej poszczególniej sprawie i plany na przyszłość. Nie zamierzam streszczać tutaj bardzo licznych rozdziałów i podrozdziałów. Ich odkrywczość polega przecież właśnie na tym, że przeciwstawiają się ogólnikom, do jakich każde „streszczenie” musi prowadzić.

Przyznam się jednak bardzo szczerze, że książkę Henri Michel'a czytałem z uczuciem niejakiej zazdrości. Sygnalizując ją czytelnikom polskim, chodzi mi zresztą głównie o sprawę jeszcze inną: o to, że polski Ruch Oporu nie doczekał się — jak dotąd — *nawet zadatku* dzieła w tej dziedzinie. Istnieje w tym zakresie duża ilość publikacji, ale tylko bardzo cząstkowych. Istnieją wspomnienia i dyskusje. Istnieją przygodne studia dotyczące pewnych ruchów, pisane jednak z reguły albo ku chwale danego kierunku, albo w celach polemicznych. W jednym i drugim wypadku nie mogą one posiadać wagi obiektywnego źródła. Nie sądzę również bym był jedynym, któremu przychodziło śledzić z głęboką melancholią tzw. „walkę cytatów” (zaczerpniętych z prasy podziemnej, ulotek instrukcji itd.). Pomijam tutaj nawet sprawę przytoczeń błędnych, tendencyjnie zdeformowanych lub całkowicie zmyślonych (krąży ich dotąd, zwłaszcza w wydawnictwach krajowych, bardzo dużo). Wystarczy jednak zrobić jaki taki wykaz będących „w obiegu” cytatów wiernych i autentycznych, by zrozumieć, że nie dają one w żadnej mierze prawdziwego obrazu.

Nie trudno zresztą odgadnąć przyczyny tego stanu rzeczy. Dla ogromnej większości czytelników (a nawet autorów) komplety polskich pism podziemnych są w *praktyce* po prostu *nie-dostępne*. Muszą oni zatem korzystać z wyjątków cytowanych już w pracach *powojennych*. Ponieważ te ostatnie miały głównie charakter polemiczny, autorowie ich wybierali z natury rzeczy zdania tak lub inaczej (pozytywnie albo negatywnie) „reprezentacyjne”, potwierdzające ich *powojenne* tezy. Te tylko cytaty powtarzane są z reguły przez innych autorów. Ta sama trudność dostępu do autentycznych kompletów, pogłębia jednak *palącą potrzebę* obiektywnego i źródłowego, poważnego i wyczerpującego studium w tej dziedzinie. Czy jest ono możliwe?

Autor (czy zespół autorów) takiej pracy musiałby zanalizować *możliwie największą* ilość pism podziemnych. Nie tylko oficjalnych wydawnictw Delegatury Rządu, ale również publika-

cje wszystkich partii i ugrupowań. Nie tylko centralne ich organy, ale (i to z *równą uwagą*) dzienniki, tygodniki i miesięczniki *terenowe*. Nie tylko artykuły programowe, ale wszystkie rubryki, aż do kronik i do *oświeleń* w *międzywierszach* włącznie.

Praca taka jest niewątpliwie *bardzo trudna*. Wymaga ona nie tylko ogromu (powiedzielibym: benedyktyńskiej) pracy, ale również absolutnej *beznamyślności* i odrzucenia z góry wszelkich *przemilczeń*. Dopóki ona nie powstanie, wszystkie rozprawy zachaczące o powyższe tematy muszą być cząstkowe, hipotetyczne i (niezależnie od dobrej czy złej woli autorów) muszą się ograniczać do „oddawania tych samych piłek”.

Michał BORWICZ

Marksistowskie dzieje Polski

Dla niewtajemniczonych może wydawać to się dziwne ale dotychczas nie mieliśmy żadnej marksistowskiej wykładni polskiej historii. Niespodziewanie ta luka naszej historiografii została częściowo wyrównana i to jak najbardziej autorytatywnym piórem bo samego Karola Marksa. Odkryte rękopisy dają właśnie ów tak bardzo potrzebny szkic.

Rękopisy te zostały odkryte w Amsterdamie, w Międzynarodowym Instytucie Historii Społecznej, wśród przechowywanej tam spuścizny literackiej Marksa. Pisane w latach 1863-4, a więc pod wpływem wiadomości o okrucieństwach Murawiewa, noszą one tytuł „Polska, Prusy i Rosja”, oraz, nazwa dana przez wydawców, „Polska i Francja”. Uszły one dotychczas uwadze uczonych mimo, iż w znanej i wydrukowanej korespondencji Marksa i Engelsa jest kilkakrotnie o nich mowa. Jedynie Rosjanie znali ich treść, a nawet rozporządzają w Moskwie odpisem, ale nie kwapili się zbyt do ich ogłoszenia.

Pobudką do napisania pierwszego manuskryptu była konwencja Alvenslebena z 8 lutego 1863, która przewidywała czynne współdziałanie wojsk rosyjskich i pruskich w zgnieceniu powstania. Nakłoniła ona Marksa do badań nad historią polską i ujęcia wyników swych dociekań w formę studium o stosunkach polsko-pruskich. Zmieniająca się szybko konstelacja europejska w miarę przedłużania się walki, a także choroba, nie dozwoliły mu na spokojne dokończenie zaczętej pracy. Pisana jest ona po niemiecku z licznymi wtrętami angielskimi i francuskimi.

Drugi rękopis powstał pod wpływem polskiej debaty pierwszej międzynarodówki na jesieni w 1864. Gdy Piotr Fox, delegat angielskich robotników, przedstawił swój projekt adresu do narodu polskiego Marks sprzeciwił mu się i zaproponował jego przyjęciu. Uważał, iż adres jest za bardzo profrancuski — obiecywał Polakom, w imieniu angielskiej klasy robotniczej, francuską pomoc w przyszłym wyzwoleniu — i podjął się napisania specjalnej pracy by ukazać „trwałą zdradę Francuzów wobec Polski i to od Ludwika XV do Bonapartego III”. Pisany jest po angielsku z wtrętami niemieckimi i francuskimi. Obydwa manuskrypty są niedokończone, drugi z nich urywa się nawet w połowie zdania. Prawdopodobnie dokończenia przepadły ale nie musiały być one zbyt niokazywane.

Przed zabraniem się do właściwej pracy Marks przeprowadził dość rozległe badania historyczne. Uwzględnił w nich zarówno drukowane zbiory korespondencji dyplomatycznej, ich opracowania, jak i szczegółowe prace dotyczące dziejów Polski. Interesowały go tylko zagadnienia polityczne, tło ekonomiczno-socjalne badanych wypadków jakby w ogóle dla niego nie istniało. Ani w zamierzanej literaturze ani we właściwym opracowaniu.

Rękopis „Polska, Prusy i Rosja” zaczyna się od ogólnego rzutu na stosunki wschodnio-europejskie poczynając od roku 1640, to jest od momentu objęcia rządów przez Wielkiego Kurfürstę. Marks podkreśla związek się „małego szakala” brandenburskiego z „chanem moskiewskim” by uszczknąć przy nim nieco ochłapów kosztem Szwecji, Polski czy Rzeszy Niemieckiej. Gdy bowiem na zachodzie Francja stawiała czoło koalicji angielsko-austriackiej na wschodzie Piotr Wielki obalił szwedzko-polski mur, który trzyma „na wpół azjatycką, chłopską” Rosję z dala od Europy.

Odbudowa Polski, podkreśla autor w następnym paragrafie, równa się zniszczeniu obecnej Rosji, jej ambicji panowania nad światem. Całkowite pochłonięcie Polski przez Rosję byłoby katastrofą Niemiec. Dla tych ostatnich cała polityka zagraniczna streszcza się w jednym najważniejszym celu: odbudowanie Polski.

Zarówno początki nowożytnej Rosji jak i powstanie królestwa pruskiego przypadają na początek XVIII wieku. Prusy sprzymierzają się z Piotrem Wielkim i są dzięki temu dopuszczone do rozbioru szwedzkiego państwa. Był to pierwszy czyn monarchii pruskiej, „szakala Rosji”, na arenie europejskiej. Nowe te nabytki wzmacniają Prusy niesłychanie. Zdruzgotanie Szwecji było pierw-

Karl Marx: *Manuskripte über die polnische Frage (1863-1864)*. Opracowane przez Werner Conze i Dieter Hertz-Eichenrode. Mouton, S-Gravenhage, 1961, str. 202.

szym krokiem Rosji ku hegemonii a domu Hohenzollernów ku stanowisku jej pierwszego sługi. Powołanie Prus by stać się w Niemczech forpoczta rosyjską ustala się ostatecznie w okresie rządów Fryderyka II. Był to wielki człowiek do małych rzeczy, szczególnie na terenie polityki międzynarodowej. Przez pokój hubertowski stał się on właściwie „królem z łaski Rosji”, gdyż tylko dzięki niej został uratowany przed powrotem do tytułu margrafa brandenburskiego, od niej otrzymał także w podarunku Prusy Wschodnie okupowane przez wojska rosyjskie.

Biorąc udział w rozbiórce Polski, Fryderyk II zdradził zarówno interesy Europy jak i Niemiec, wypełnił natomiast sumiennie powołanie swej dynastii: „być szakalem rosyjskim”. W pokój cieszyńskim wciągnął już Rosję bezpośrednio w wewnętrzne sprawy niemieckie, zapraszając Katarzynę II, „kurwę pospolitą” na gwarantkę cesarskiej konstytucji (str. 111). Zastępcą jego na tronie pruskim został Fryderyk Wilhelm II, nazywany potocznie przez Rosjan „świnia” (*porcus epicureus*) (str. 121).

W Polsce, w latach 1788-90, następuje odrodzenie narodu. Walka o nową konstytucję była jednocześnie walką przeciwko Rosji, która narzuciła się z gwarancją starej polskiej anarchii. „Ze wszystkimi swymi niedociągnięciami konstytucja majora jest jedynym dziełem wolności jakie się samotnie ukazało w Europie wschodniej, w centrum prusko-rosyjsko-austriackiego barbarzyństwa. Była wyłącznie dziełem tych klas (duchowieństwa i szlachty). Dzieje świata nie znają podobnego przykładu szlachetności szlachty” (str. 124). Gdy Rosja w następstwie tejże konstytucji wypowiedziała Polsce wojnę Fryderyk Wilhelm II nie dotrzymał zawartego z tą ostatnią w 1790 r. przymierza. Przychodzi Targowica zwołana przez „bestie” to jest przez „ohydnych zdrajców” Branickiego, Szczęsnego Potockiego, Rzewuskiego, przymierze prusko-rosyjskie i drugi rozbiór (str. 132-3). Polacy, pod wodzą Kościuszki, zrywają się do walki. Początkowo odnoszą sukcesy, „pruskie psy” zostały we wrześniu 1794 zmuszone nawet do odwrotu spod Warszawy (str. 134). Następują jednak Maciejowice, rzeź Pragi, trzeci rozbiór i Finis Poloniae. Ale dzięki polskiej walce uratowała się rewolucja francuska.

Marks zaczyna następny paragraf od kongresu wiedeńskiego i od świętego przymierza, które było zwykłym aktem rosyjskiej hegemonii. Europa zdobyła Księstwo Warszawskie dla Rosji. „Psy hohenzollernskie” walczyły przyczyniły się do tej moskiewskiej przewagi. „Ta hegemonia Rosji zasadza się na posiadaniu Polski. W razie powrotu polskiej niepodległości Rosja staje się ponownie mocarstwem azjatyckim a Prusy (z wyjątkiem rewolucji), położone między Polską, Austrią a Francją, spadły-

by ze średniego mocarstwa europejskiego do rangi małego państwa niemieckiego" (str. 143).

Rok 1830 i powstanie polskie dało nową sposobność pruskiemu szakalowi by służyć swemu panu, „moskiewskiemu Zeusowi”. Wiernie wypełnił swą służbę ogara, strzegąc granicy rosyjskiej by nie przeszła do Polaków żadna broń czy pomoc. Następnie, gdy resztki armii polskiej schroniły się do Prus, barbarzyństwo objawione wobec nich przez Prusaków nie było bynajmniej mniejsze od „barbarzyństwa Rosjan” (str. 149). Układ münchengrätzki jeszcze raz potwierdził solidarność państw rozbiornych.

W roku 1840 Fryderyk Wilhelm III, „w każdym calu bydle”, wyniósł się nareszcie do diabła. Przyszedeł Fryderyk Wilhelm IV, „eunuch” (str. 155). W czasie wiosny ludów uratował on Rosję, „tego najwyższego rabina Hohenzollernów”, przed polską rewolucją (str. 156). Armia pruska, wspólnie z niemieckimi kolonistami i Żydami, „których nagle każdy Niemiec musiał kochać” (str. 157), rozbiła polską armię szykującą się na Rosję. W czasie wojny krymskiej „eunuch” zachowywał się jak przystało na „niższego urzędnika rosyjskiego” (str. 164). W kilka lat potem, zawierając konwencję Alvenslebena, Prusy uznały swe terytorium za ziemię rosyjską. Na tym kończy się pierwszy rękopis.

Drugi rękopis zaczyna się od stwierdzenia, iż przymierza Francji w XVI i XVII wieku z Polską, Turcją i Szwecją były skierowane nie przeciw Rosji, bo ta jeszcze wtedy nie istniała, ale przeciwko cesarstwu niemieckiemu. Francja nie potrzebowała wtedy ochraniać Europy bowiem istniała jeszcze silna Polska. Rządy Ludwika XIV były jednym pasmem rozbojów i rabunków, czego najlepszym dowodem jest to, iż rosyjscy dyplomaci w 1837 roku zalecali je jako najlepszy przykład do naśladowania dla swego kraju.

Polska wojna sukcesyjna przyniosła dla Rosji dalsze, po nabytkach szwedzkich, wzmocnienie kosztem Polski i Turcji; Francji dała Lotaryngię kosztem cesarstwa. W czasie wojny siedmioletniej Rosja traktowała Polskę jako swoją własność, rujnując ją przemarszami swych armii. Francja ponosi w tym wielką winę, gdyż w ówczesnej sytuacji to Rosja i Austria potrzebowały Francję i ta ostatnia była w stanie dyktować im sposób zachowania się w Europie wschodniej. Następujący po wojnie pokój przygotował rozbiór Polski. „Wojna konfederacji barskiej” nie mogła już niczego uratować. Książę d'Aiguillon oświadczył zresztą Prusom, iż Francja nie interesuje się Polską i przyzwoli na wszystko na co zgodzą się Berlin i Wiedeń. A prawdziwa wtedy Francja,

Francja Woltera i Diderot, podnosiła pod niebiosa zarówno Fryderyka II jak i Katarzynę II.

Wyprawa krzyżowa przeciw Francji w roku 1792 nie przyniosła żadnego rezultatu, gdyż Prusy przerzuciły swe wojska do Polski by wziąć udział w drugim rozbiornie spowodowanym przez „zdychających zdrajców Targowicy”. Przyszło powstanie kościuszkowskie. Interweniując wojska pruskie zostały pobite pod Warszawą. Jednocześnie i Austria część swych pułków z armii reńskiej skierowała do Polski. Gdy Suworow mordował Pragę oddziały francuskie odnosiły sukcesy na całym froncie od Morza Północnego do Alp i Pirenejów. Francja republikańska, podpisując traktat bazylejski, zdradziła Polskę; ani jeden z jego punktów nie wspominał o niej; dawał Prusom zupełnie wolną rękę w sprawach Europy wschodniej. Francja powtórzyła następnie swą zdradę w traktacie Campo Formio. Nic dla Polski nie zrobiła także i Francja konsulatu.

Rok 1806 przynosi nową koalicję. Resztki legionów Dąbrowskiego wkraczają do Polski, oblegają Gdańsk. Napoleon witany jest wszędzie przez Polaków entuzjastycznie. Żąda od nich krwi i licznych dostaw. Powstaje polska armia. W pokoju tylickim objawia się cała ograniczoność Napoleona; tworzy małe, bez żadnego znaczenia europejskiego, Księstwo Warszawskie. Rozporządza się nim jak prywatną własnością; liczne polskie majątki oddaje swym generałom. Aleksander II dostaje od niego wolną rękę w stosunku do Szwecji i Turcji oraz okrąg białostocki.

Nigdy żaden mąż nie zrobił tyle dla wywyższenia rosyjskiej potęgi co Napoleon w latach 1807-1812. W tym samym czasie Polacy wyczerpali swe siły w Hiszpanii. Rok 1809 przynosi powiększenie Księstwa ale także i nowe zdobycze dla Rosji. Dostaje ona okrąg tarnopolski, „w samym sercu Polski” (str. 185). Kampania roku 1812 została Napoleonowi narzucona przez Rosję, on tej wojny wcale nie pragnął i jej nie zaczął. Przegrał kampanię bo rozproszył polską armię po swych dywizjach; ponowna zdrada Polski przyniosła klęskę.

W roku 1830 Polacy oddali Francji jeszcze większą przysługę niż w 1794. Rzucili się otwarcie do walki, by powstrzymać armie rosyjskie przed marszem nad Ren. Monarchia lipcowa nie uczyniła nic, by pomóc Polsce a Sebastiani skwitował koniec nierównej walki twierdzeniem, iż „porządek panuje w Warszawie”. Napoleon III „zneutralizował” Polskę w czasie wojny krymskiej. Po wojnie zbliża się niezwłocznie do Rosji. W roku 1863, po konwencji alvenslebenowskiej, Paryż proponuje Anglii wspólny protest w Berlinie ale nie w Petersburgu. Na tym incydencie kończy się drugi rękopis.

Tekst rękopisów nie jest łatwy w czytaniu. Wydawcy umieścili w nawiasach, zresztą jak najbardziej słusznie, wszystkie skreślenia i warianty, a nawet poszczególne słowa. Mamy w ten sposób unaoczniony warsztat pracy Marksa, jego poszukiwania najbardziej odpowiednich wyrażeń czy szyku zdań. Nie jest to rękopis wykończony, na co wskazuje choćby jędrność języka. Znana jest nienawiść Marksa do Rosji i w tym co było na razie pracą brulionową ulżył sobie w swej niechęci, rzecz zupełnie wytłumaczalną psychologicznie. Obydwie prace były pisane z góry założoną tezą, dlatego też jest wiele w nich nieścisłości, jak na przykład pomniejszanie roli Austrii w pierwszym rozbiórce Polski, czy zupełnie błędne przedstawienie całej polityki polskiej Napoleona. Autor pomija jakiegokolwiek związek między historią polityczną a podłożem ekonomiczno-socjalnym, nie widzi, a w każdym razie nie wspomina, by takie powiązania mogły w ogóle istnieć. Obce jest mu w tym wypadku i pojęcie walki klas, chwali polską szlachtę i polskie duchowieństwo za dzieło majowe. Natomiast zupełnie zgodnie z najbardziej nawet rygorystycznym marksizmem tłumaczy obcość Rosji w rodzinie narodów europejskich i jej nienasyconą chęć grabieży i rozbojów. Wspomnienie diabła, do którego udał się po śmierci Fryderyk Wilhelm III, znowu nie pasuje do wykładni materializmu dziejowego, ale bo też go i nie wiele w całym dziele.

W przedmowie Werner Conze przypomina stanowisko Marksa wobec zagadnień narodowościowych Europy wschodniej. Uznawał on tylko narody historyczne i im dawał prawo do własnego państwa. Tego wymagał „postęp cywilizacji” i „prawo historii”. Narody te miały prawo a nawet obowiązek rozciągnięcia swej władzy nad małymi narodowościami, które swym ograniczonym i hałaśliwym nacjonalizmem wprowadzały niepokój i zamieszanie w koniecznie i „w zasadzie łagodny (*grosszügig*)” proces historii. To tych pełnowartościowych narodów zaliczał Niemców, Węgrów, Polaków i Rosjan. Polska, a właściwie Rzeczpospolita polsko-litewska, powinna mieć co najmniej granice z 1772 roku. W żadnym wypadku wschodnie obszary Europy nie powinny stać się rosyjskimi. Jeżeli chodzi o granicę polsko-niemiecką, to Niemcy nie powinni zbytnio się przejmować polonizacją Gdańska, gdyż Polska musi go mieć jak i ujścia swych najważniejszych rzek. Polacy natomiast nie powinni podtrzymywać swych żądań do ziemi śląskiej i zgodzić się na jej pełną germanizację. Zresztą w trwałej przyjaźni polsko-niemieckiej, po zniszczeniu Prus, które nie były Niemcami a tylko rosyjskim szakalem, Marks widział trwałe i konieczne podstawy przyszłej Europy i najlepsze zarazem zabezpieczenie cywilizacji przed barbarzyństwem rosyjskim.

Miejmy nadzieję, że tłumaczenie polskie tych rękopisów ukaże się niedługo w Warszawie i wywrze wpływ na nauczanie historii w kraju. Po poprawieniu pewnych nieścisłości studenci polscy wiele skorzystają na zapoznaniu się z właściwą myślą Marksa o dziejach ojczystych.

Stanisław BÓBR-TYLINGO

Nadesłane nowości wydawnicze

- HERMAN (Maxime). *Histoire de la Littérature Polonaise* (Des origines à 1961). Str. 634 i 6 nlb. (Publié avec le concours de la Caisse Nationale des Lettres par A.G. Nizet, éditeur, Paris, 3-bis, rue de la Sorbonne, 1963).
- MIREWICZ (Jerzy, ks. T.J.). *Słowo które nie przemija*. Str. 295 i 9 nlb. (Nakładem Ojców Jezuitów. Druk Oficyny Poetów i Malarzy, Londyn, 1963).
- BRZEKOWSKI (Jan). *Życie w czasie*. Studia i szkice. Str. 128 i 3 nlb. (Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1963).
- Jahresring 63/64. Beiträge zur deutschen Literatur und Kunst der Gegenwart. Str. 383 i 3 nlb. Z licznymi fotografiami i kolorowymi reprodukcjami w tekście. (Wyd. Deutsche Verlags-Anstalt, Stuttgart, 1963).
- ILIŃSKI (Paweł, ks. dr.). *Bądźcie wierni*. Przemówienia religijne. Str. 315 i 5 nlb. Wyd. II. (Nakładem Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, Londyn, październik 1963).
- HEYDENKORN (B.). *„Związkowiec”* Monografia pisma polonijnego. Przedmowa dr. Adama Bromke. Wstęp Jana Kowalika. Str. 152. (Wyd. Polish Alliance Press Ltd., Toronto, Kanada, 1963).
- GROSS (Feliks). *Uwagi o zmianie społecznej*. Z przedmową Normana Thomasa. Str. 68 i 4 nlb. (Wyd. Democratic Press and Liberty Publications Ltd., Londyn, 1964, cena 10 sh.).
- SADZIK (Joseph). *Esthétique de Martin Heidegger*. Str. 211 i 5 nlb. (Wyd. Editions Universitaires, Paryż, 1963).
- ROZANOV (Vassily). *La face sombre du Christ*. Traduit du russe par Nathalie Reznikoff. Préface de Joseph Czapski. Str. 282 i 6 nlb. (Wyd. Editions Gallimard, Paris, 1964, cena 12 F).
- JASPERS (Karl). *Les grands philosophes*. Socrate. Buddha. Confucius. Jésus. Platon. Saint Augustin. Kant. Anaximandre. Héraclite. Parménide. Plotin. Saint Anselme. Spinoza. Lao Tseu. Nagarjouna. Przekłady z niemieckiego pod kierownictwem Jeanne Hersch. Str. 980 i 4 nlb. (Wyd. Plon, Paryż, 1963).
- MATEJA (Tadeusz). *Dzieje grzechu Stanisława Mikołajczyka*. Po wielacz. Str. 73. (Nakładem mies. „Nasz Znak”, Linköping, Szwecja).
- DZIECIOŁ (Witold). *Aleksander Wielki Macedoński*. Str. 260. (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, Londyn, listopad 1963. Cena 20 sh.).

Humor krajowy

OGŁOSZENIE W „ŻYCIU WARSZAWY”

Zamienię za dopłatą udział w bitwie pod Lenino za udział w partyzance w Lasach Janowskich.

Mówią, że na podwórzu „Białego Domu” w Warszawie zasadzono lasek... A to dlatego, żeby partyzanci lepiej się w nim czuli.

Popularna nazwa warszawskiej „Kultury”: Doniesienia kulturalne.

CHINY

Mówią, że ostatnio nastąpiła zasadnicza zmiana w polityce Chin: o ile do niedawna były one stanowczo przeciwne spotkaniu Kennedy-Chruszczow, o tyle obecnie są jak najbardziej za tym spotkaniem.

W czasie Kongresu Pokoju w Warszawie doszło do rękoczynów pomiędzy delegacją chińską a rosyjską. Chińczycy usiłowali usunąć telewizję, a Rosjanie i inni komuniści czynnie im w tym przeszkadzali. Wtem na ekranie w jakiś cudowny sposób ukazała się wielka głowa Marksa z brodą, który zawołał: „Proletariusze, rozłączcie się!”

Mówią, że Cyrankiewicz zapuszcza warkocz.

— Dlaczego?

— Na wszelki wypadek.

O KIERUNKACH W MALARSTWIE

Naturaliści — malują jak widzą. Impresjoniści — malują jak czują. Soc-realiści: malują jak słyszą.

PYTANIA I ODPOWIEDZI

Pytanie: jakie są dwie doktryny w łonie obozu komunistycznego?

Odpowiedź: kitaizm i nikaizm.

Pytanie: jaka jest różnica między Marksem a Marią Iwanowną?

Odpowiedź: Marks był ekonomistą a Maria Iwanowna jest starszym ekonomistą.

Pytanie: Jaki był ostatni car rządzący Polską?

Odpowiedź: Carynkiewicz.

Pytanie: Dlaczego Spychalski został marszałkiem?

Odpowiedź: Bo cóż to z niego za generał!

Pytanie: Co by było, gdyby nie było Polski Ludowej?

Odpowiedź: — Wszystko.

Pytanie: — Jaka jest różnica pomiędzy Polską a Japonią?

Odpowiedź: — Japonia jest krajem kwitnącej wiśni, a Polska krajem kwitnącej lipy.

Mówią, że Chruszczow kolekcjonuje dowcipy o sobie oraz ich autorów.

Rabin z Polski przyjechał do Rzymu i ogląda Colosseum. Orowadzający wyjaśnia: tutaj w roku 39 naszej ery pożerały chrześcijan. Rabin słysząc to, pokiwał głową i powiedział: To ciekawe, bo ja sam widziałem w 1939 roku jak prawosławni pożerali Lwów.

Kardynał Wyszyński rozmawiał z ministrem Opieki Społecznej Sztachelskim, który się skarżył, że jak partia chce zwołać miting, to musi zwolnić robotników z fabryki, bo inaczej nikt nie przyjdzie. „Wam, katolikom, to dobrze, powiedział — jak chcecie zebrać wiernych, to tylko zadzwonią w kościele a już wszyscy są”. Wyszyński pokiwał głową i odparł: „To wszystko prawda, ale nie może się pan temu dziwić; między nami są olbrzymie różnice: przede wszystkim nasza religia ma już prawie dwa tysiące lat, a waszej daleko jeszcze do stu. Ponadto mam wrażenie, że nawet jeżeli wasza będzie o wiele starsza to i tak nic się nie zmieni. Wy popełniacie zasadniczy błąd: obiecujecie raj na ziemi, a my w niebie...”

Listy do Redakcji

Londyn, dn. 2 lutego 1964 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Pański korespondent londyński zapytuje w numerze styczniowym dla-
czego „Pankowski, Brzękowski, Giergielewicz” nie zwrócili uwagi na „od-
krywcze eksperymenty poetyckie” młodszych poetów przebywających poza
Polską.

Na wieczorze autorskim Brzękowski-Pankowski-Sowiński, który *W
oczach Londynu* również został odnotowany, powiedziałem m.in., że „Brzę-
kowskiego (...) cechuje żywe zainteresowanie twórczością młodych. Eseje
Brzękowskiego na ich temat są wartościowe nie przez to że kogoś chwala czy
gania, ale dlatego, że z dużą wnikliwością określają zasadnicze składniki
poezji, która doszła do głosu w latach pięćdziesiątych. Jeżeli chodzi o autora,
eseje te dowodzą, że potrafił on z wielką łatwością uchwycić jakby z powie-
trza skraplające się właśnie idee poetyckie — jeżeli zaś chodzi o autorów,
których twórczość przeanalizował, winni są mu wdzięczność, że w okresie
ich dojrzewania znalazł się ktoś, kto pomógł skryształizować im ich własne
dążenia i poszukiwania”.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku.

Adam CZERNIAŃSKI

Berlin, styczeń 1964 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Redakcja krakowskiego „Życia Literackiego” zdecydowała się — po
dwumiesięcznym namyśle — zamieścić moje sprostowanie oszczerstw pani
Barbary Swinarskiej. Które to sprostowanie, rzecz jasna, nic już oszczer-
stwom nie zaszkodzi, ponieważ oszczerstwa w ciągu tych dwóch miesięcy
wyfrunęły, poleciały, hej ha, na pola, na lasy, i kto je tam zgoni!

Ten mój list został opatrzony odpowiedzią pani Swinarskiej. Pani Swi-
narska przysięga jakobym ja w rozmowie z nią miał się wyrazić: „mój
kuzyn, hrabia, mówił, że w Polsce Niemcy zachowywali się przyzwoicie”.
Nie mogłem tak się wyrazić, chociażby dlatego że „mój kuzyn hrabia” mówi
się tylko w operetkach. Natomiast jest prawdą, że niedawno spotkałem mego
wujka, księcia, który powiedział mi, iż pani Swinarska okropnie bzdurzy
kompromitując swymi banialukami powagę organów prasowych Rzeczypospo-
litej Ludowej.

Redakcja „Życia” podała też kilka cytatów z mego Dziennika na dowód,
że jestem potworem. Cytaty podane zostały „bez komentarza”, że to, niby,
niech mówią same za siebie! Obawiam się jednak, że gdyby cytaty napraw-
dę mogły przemówić, musiałyby wykrzyknąć pod adresem Szanownej Re-
dakcji „spryciarze!”. Są to cytaty-kikuty, pokiereszowane, powykręcane, po-
wyrywane ze swojego sensu i nadziane sensem wręcz odwrotnym.

Także i inne osoby — na przykład p. Krzysztof Toeplitz w warszaw-
skiej „Kulturze” — trudnią się dziś w kraju nadziewaniem moich sensów
sensem zupełnie odwrotnym. Uwaga!

Łączę wyrazy poważania.

Witold GOMBROWICZ

Londyn, 1.1.1964 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Zgadając się w pełni z listem p. Zbigniewa Grabowskiego („Kultura”,
grudzień, 1963 r.), prostuję parę nieścisłości i uzupełniam go paru infor-
macjami i wspomnieniami.

Ojciec Br. Malinowskiego nie był lektorem języka francuskiego, lecz
profesorem slawistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim. Ukończył w War-
szawie Szkołę Główną, kolegując z prof. Janem Baudouin de Courtenay i
z prof. Adamem Antonim Kryńskim.

Ważny jest fakt, że prof. M. Malinowski był pierwszym badaczem
gwar polskich (Śląsk) na poziomie naukowym. Czyli, że pracował w terenie
wśród żywych ludzi, a więc u źródła również żywego, mówionego języka.
Opowiadał Ojcu memu o zainteresowaniu tą pracą swego dziewięcioletniego
synka.

Bronisław Malinowski rozpoczął swe studia na Uniwersytecie Jagiel-
lońskim, idąc z początku śladami Ojca. Potem pociągnęła go filozofia,
przede wszystkim logika. W tym okresie pogłębiła się jego przyjaźń ze
St. I. Witkiewiczem. Sądzę, że dozgonna przyjaźń dwóch, tak niezwykle
utalentowanych ludzi, odegrała wielką rolę w kształtowaniu się myśli Mali-
nowskiego. O niekończących się dyskusjach filozoficznych, pełnych polot-
nych inwencji opowiadał mi kolega uniwersytecki Malinowskiego, zmarły
w młodym wieku, T. Nalepiński (poeta, literat). Czasem przysłuchiwał się
tym rozmowom, starszy od nich, poeta dużej miary. T. Miciński: „co oni
mówią?” Więc nie da się zastosować pojęcia rozwoju do kultury?! Więc
jakże?! Więc co będzie z „Królem Duchem” Juliusza? (Cytuję bezbłędnie,
w redakcji Tadeusza Nalepińskiego — ten urywek słownego szamotania się
drugiego Tadeusza z krytyką teorii ewolucji. Nalepiński ją często odtwarzał.

Sądzę, że o kierunku funkcjonalnym w metodzie badań Malinowskiego
mogła zdecydować zaprawa do poznawania i badań obiektów „na pniu”,
zdobyta w Polsce, w Zakopanym. Zawdzięczał ją Witkacemu (St. I. Witkie-
wiczowi). On wprowadził swego przyjaciela w autentyczną góralszczyznę.
W jej sedno.

Nie były to dorywcze etnograficzne badania „terenowców”, lecz coś o
wiele bardziej istotnego. Obcowanie, współżycie z juhasami w górach, jak
i wżywanie się w układ stosunków społecznych i w styl kultury gazdów
w ich zagrodach, których Witkacy znał od zarania swego życia przez cały
jego bieg.

Toteż nic dziwnego, że z czasem, we wstępie do jednej ze swych ksią-
żek, napisał Malinowski z ironią o tych badaczach ludów pierwotnych,
którzy siedząc wygodnie na tarasie hotelu, kurząc fajkę i popijając whisky,
porozumiewają się z obiektem swych studiów za pośrednictwem tłumacza
i zbierają „teksty” tylko przy pomocy fonografu. W oderwaniu od osiedli
tuziemców i wiru ich życia. Ich reakcją na nie i tradycję.

Po francusku mówił B. Malinowski od dzieciństwa dzięki swej matce.

Niemiecki znał, gdyż uczęszczał do gimnazjum w Krakowie, wówczas, gdy należał on jeszcze do Austrii.

Nie znam prac Malinowskiego pisanych po niemiecku. Zresztą wszystkie swe zasadnicze i rewolucyjne w historii nauki dzieła, drukował w języku angielskim.

Na początku lat 20-tych, prof. Jan St. Bystron złożył mu wizytę w Anglii. Chcieliśmy go pozyskać dla Uniwersytetu Warszawskiego. Malinowski odmówił objęcia katedry. Odmówił, niestety, słusznie. Polskę nie stać było na subsydiowanie niezmiernie kosztownych z natury rzeczy — badań w dalekim „terenach”. Tym bardziej, że nie byliśmy imperium kolonialnym i nie mieliśmy własnych placówek, ułatwiających tego rodzaju badania.

Stał się więc Malinowski uczonym brytyjskim wszechświatowej sławy. Nie przestał jednak być również uczonym polskim i prace jego, tłumaczone na polski, były czytane i przez szersze koła naszej inteligencji. Cieszył się sympatią swych angielskich kolegów i adoracją, dotąd trwałą, uczniów. Oczywiście podlegał krytyce jak każdy samodzielnie myślący uczonego, wnoszący nowe wartości do nauki. Przy tym jego polskość trochę też wazyła w tych sporach i starciach.

Rozmawiałam kiedyś podczas podróży ze Wschodu do Anglii z młodzieżą uniwersytecką z Edynburga. Jeden ze studentów interesował się „social anthropology”. Zapytałam go o Malinowskiego. Zachwyt, ale jakby okrojony. Dlaczego, pytam, uważa Pan, że Malinowski inaczej myśli niż Anglicy? Prosiłam o argumenty, „bo był Polakiem”, odpowiada. Na to studentka: „To tak, jak Conrad”. „Nie lubicie Conrada?”. Na to kilka głosów: „to był wielki pisarz, pełen talentu, ale... *too sad, ...too deep* itp.

Często nie możemy go zrozumieć.

Niestety raz w życiu tylko spotkałam Malinowskiego. Było to w Rabce. Budowaliśmy z kamieni, brnąc w rzece, zamki i tunele. W pewnej chwili spostrzeżliśmy Rodziców, spacerujących z prof. Malinowskimi. Smukły chłopaczek, ze zmrużonymi oczami krótkowidza, podszedł do nas: „jestem Bronka Malinowski”. Doskonale — odpowiedziałam, wymieniając imiona rodzeństwa i swoje. Baw się z nami”. — „Tak się bawią tylko małe dzieci” i podbiegł do pani Malinowskiej, wsuwając rękę pod jej ramię. „Och, on jest jeszcze też mały”, zawyrokował mój brat. „Ale biedny, jedynak”.

„Postanowiłam pisać pamiętnik”. Tak rozpoczęłam moje „memoiry”. — Oprócz tych słów dodałam: „Okropnie smutna nowina. Ojciec Bronka Malinowskiego, kolega Tatusia, umarł nagle na serce”. Na tym skończyło się moje pamiętnikarstwo.

Podobnie jak Ojciec umarł syn, inaugurując jako Prezes — Polski Instytut Naukowy w Nowym Jorku. Był więc Polakiem. I polskim uczonym o szerokich horyzontach.

C. C.-de-B. JĘDRZEJEWICZOWA

Londyn, 10.II. 1964 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W „Kulturze” nr 195-196 z br. w „Urywkach z Dziennika Wincentego Witosa” jest pod datą 19.8.1938 zapis o spotkaniu ze mną w Żylinie i naszej rozmowie. Czytałem go z pewnym zdumieniem. Bo jeśli musiała być w tej rozmowie poruszona sprawa rozkładu obozu rządzącego (porównaj jak kończy historię Dwudziestolecia Pobję-Malinowski), to nie wydaje mi się,

byłbym wiedział w ogóle o włoskiej propozycji dygnitarstwa masonskiego dla Sikorskiego; widzi mi się to fantazją. Także i dalsze szczegóły anegdotyczne tam podane nie pochodzą chyba ode mnie. Mogły być w jakimś liście, który przywożłem. Nie ma natomiast nic o właściwym przedmiocie rozmowy. Na spotkanie z Witosem wyprawiałem się na życzenie gen. Sikorskiego w określonym celu: dowiedzieć się co mu wiadomo o stanie mobilizacji czeskiej, jej przebiegu, nastrojach w rządzie i wojsku, czy będą się bić, czy mogą liczyć na zachodnich sprzymierzeńców, co z Małą Ententą, czy dla sojuszu z nami gotowi są na ustępstwa terytorialne na Śląsku, które wywołałyby zupełny zwrot w opinii polskiej. Przez parę godzin słuchałem informacji Witosa, a były gruntowne, trzeźwe, rzeczowe, a w sumie optymistyczne we wszystkich punktach. Twierdził, że jeśli był upoważniony to w parę dni może doprowadzić przez swych przyjaciół w rządzie czechosłowackim do paktu wieczystej przyjaźni i sojuszu, ze zwrotem Polsce prawie wszystkiego czego żądamy.

Gdyby nawet ta wiadomość, przekazana niezwłocznie gen. Sikorskiemu, mogła podziałać na Wierzbowej, już chyba było za późno skoro lord Runciman właśnie wchodził w porozumienie w Henleinem.

Rozumiem zupełnie, że ostrożność Witosa (nic w tej sprawie na piśmie!), nie pozwoliła mu zapisać z naszej rozmowy tego co było jedynie ważne.

Dla mnie zostało z tej wycieczki tylko wrażenie (nie po raz pierwszy), że rozmawiałem z wielkim patriotą i mężem stanu. A zarazem melancholijne wspomnienie, że wtedy po raz ostatni przeszedłem samotnie Polski Grzebień w jedną stronę a przełęcz Mięgoszowiecką w drugą. Za legitymacją tatrzańską.

Łączę, Panie Redaktorze, uprzejme wyrazy.

M. KUKIEL

Polska, 14 stycznia 1964 r.

Mieszkając w kraju, prawie zupełnie nie mam możliwości czytania „Kultury” paryskiej. Przypadkiem jednak wpadł mi do rąk ostatni numer. Przeczytałem artykuł Marii Czapskiej pt. „Alleluja” (Czemu nie „Misere-re?”) i w związku z tym posyłam moje uwagi.

Żałowałem zawsze, że do kraju nie dociera to pismo tak ciekawie i dobrze redagowane. Dziś po raz pierwszy cieszę się z tego, wyobrażam sobie bowiem, jakie fatalne wrażenie wywołałby artykuł M. Czapskiej u ogromnej większości społeczeństwa polsko-katolickiego, a radość u innych.

Znamy aż nadto dobrze wypowiedzi „na zamówienie społeczne”, drukowane w prasie krajowej np. w ateistycznych „Argumentach”, przeznaczonych specjalnie do zwalczania Kościoła. Artykuły te, nieraz pisane w sposób bardzo kulturalny, są bezwarunkowo bardziej szkodliwe i niebezpieczniejsze od brutalnych napaści. Artykuł M. Czapskiej mogłyby, zdaniem moim doskonale nadawać się do „Argumentów”. — Nie chcę w tej chwili podejmować polemiki merytorycznej, choć zdaje mi się że wiele też tam zamieszczonych można by łatwo zwalczyć. Przyznaję jednak, że jest w nich i pewna doza słuszności. Ale pytam się: po co w ogóle, a w szczególności teraz, było to napisane? — Przeżywamy okres wspaniałych nadziei ekumenicznych, wierzymy, że dialog katolicko-prawosławny, wkrótce się zacznie, po cóż więc osłabiać swoje pozycje wyjściowe?! Myślę że patriarcha Atenagoras na

pewno nie stanie na stanowisku autorki, ale czy tego nie robi patriarcha Aleksy, pod wpływem natchnienia swego otoczenia?

Mogę się spotkać z odpowiedzią Redakcji, że prawda światła się nie boi. Ale takie twierdzenie w danym wypadku nie odpowiadałoby mi zupełnie. Ewangeliczna roztropność też ma tu coś do powiedzenia. A w dodatku dosyć już mamy wszelkich „kajań się”. Niepotrzebne oskarżenia siebie jakoś mocno przypominają tak zwane „procesy pokazowe”.

Przejrzałem teraz kilkanaście ostatnich numerów „Kultury”. Z największym zdumieniem spostrzegłem, że tak poważne pismo właściwie nie dostrzegło faktu, który wstrząsnął całym światem: Soboru. Ale może szczególnie się stało, bo lepiej nic nie pisać, niż wołać takie „Alleluja”.

„Kultury” warszawskiej nie czytam, bo nie chcę, „Kultury” paryskiej nie czytam bo nie mogę, ale przychodzi mi na myśl gorzkie przypuszczenie i strach, czy obie „Kultury” nie są „poputczykami” w sprawach dla Narodu tak ważnych, jak sprawy kościelne.

Niestety ze względów zrozumiałych nie mogę podać nazwiska, prosząc o umieszczenie mego listu, bo mieszkam w kraju, gdzie słowo „wolność” trzeba pisać w cudzysłowie. Ale gorzko mi, gdy widzę, że gdzie indziej ten wspomniany atut używany zostaje na szkodę tego co mi jest najdroższe. Zapominać nie możemy przecież, że jak zawsze w historii naszego Narodu, Kościół jest najsilniejszym, a czasami jedynym bastionem obrony.

(Nazwisko znane Redakcji)

Paryż, luty 1964

Z uwagą przeczytałem krytyczne notatki, które ukazały się w „Kulturze” oraz innych pismach, na temat mojego eseju o Władysławie Gomułce. Pragnę od razu podziękować dyskutantom i przyznać im wiele racji, tam zwłaszcza, gdzie prostują fakty przedstawione nieścisłe lub niejasno. Nie zapominajmy jednak że dotychczas nie ma oficjalnego, pełnego życiorysu Pierwszego Sekretarza PZPR, że dotychczas strzeżone są całe masy dokumentów odnoszących się do działalności Gomułki w okresie przedwojennym a zwłaszcza okupacyjnym.

Stąd też usiłowałem dać przegląd (niekompletny niestety) źródeł, mnożąc uwagi na marginesie i odnośniki. Do tych źródeł należałoby jeszcze dodać książkę Hansjacob Stehle: „Nachbar Polen”, gdzie znaleźć można kilka ciekawych informacji (1). Zresztą jestem przekonany że mój szkic będzie jedynie skromnym początkiem bardzo ciekawego życiorysu jednego z polskich przywódców komunistycznych.

Wydaje mi się też słuszną uwaga dotycząca Zofii Gomułkowej, jej skromnego i taktownego zachowania się w ostatnich latach i wiele innych uwag, jak np. sprostowanie p. Stefana Korbońskiego. Skoro już jesteśmy przy

(1) A oto kilka jeszcze źródeł biograficznych:

— Trybuna Ludu z 21 grudnia 1956.

— Gomułka: „W Walce o Demokrację Ludową”, Łódź 1947, wyd.

„Książka”, s. 7-9.

— Poland's Communist Party, Free Europe Committee, 1959, str. 15 i 21.

— Staar (R.) „Profile of Poland” w piśmie Current History N° 261, maj 1963, str. 257-264.

— Swiss Review of World Affairs, październik 1962: „Gomułka's Regime”, str. 7-12.

prywatnej stronie tego życiorysu, pragnę potwierdzić że Gomułka istotnie pobierał 4.000 zł. w momencie objęcia funkcji I Sekretarza w 1956. Informował mnie o tym jeden z pracowników działu plac K.C. z początkiem 1957 roku. Zapewne wiele się od tego czasu zmieniło, ale tu opuszczamy płaszczyznę faktów a przechodzimy do komentarza („... p. Mond... operuje też kliszami zdradzającymi jego sympatie klikowe...”).

Zdaję sobie sprawę z tego że nie ma na świecie idealnej obiektywności ani pełnej bezstronności; można się starać zbliżyć do ideału, można świadomie starać się przedstawić różne punkty widzenia i różne opinie, nigdy jednak nie dochodzi się do perfekcji. A jednak moją ambicją było i jest zbliżyć się do prawdy, o tyle o ile to jest w mojej możliwości. Stąd czerpanie ze wszystkich dostępnych mi źródeł, relacji i wspomnień.

Jednym z głównych zarzutów pod adresem stalinizmu było (i jest) to, że każe patrzeć i oceniać wszystko w dwóch kolorach: czarnym i białym. Z góry wiedziano co ma być czarne, a co ma być białe. Otóż chciałbym się bronić przed tą metodą. Jestem najgłębiej przekonany że w życiu i w działalności Gomułki są momenty jasne i ciemne, są wzloty i załamania. Nie jestem absolutnie pewny czy ten życiorys jest już zamknięty dogmatycznym akordem XIII-go anty-zachodniego i anty-intelektualnego Plenum KC. Stąd, nieudolna zapewne, moja próba oddania tego poglądu w artykule „Władysław Gomułka”.

A oto zakończenie tego artykułu, które nie zostało początkowo zamieszczone gdyż wążąc „blaski i cienie” (okazuje się że można żywić... cienie...), mogłoby się wydawać że przedstawiam Gomułkę w zbyt korzystnym (a więc nieobiektywnym) świetle nie stawiając kropki nad „i”. Teraz gdy rozpoczęła się dyskusja, gdy redakcja „Kultury” (jednego z jakże nielicznych pism szanujących prawo czytelnika i autora do odrębnego poglądu) publikuje uwagi krytyczne na temat mego szkicu — pozwalam sobie opublikować to zakończenie i bronić swojej racji, prawa do wątpliwości, prawa do oceny ludzi i spraw z perspektywy człowieka, a nie prokuratora czy sędziego.

Oczywiście, te rozważania nie angażują w żadnym stopniu redakcji „Kultury”.

Jeśli wiele pociągnąć godnych potępienia i rozmaitych ciemnych machinacji na pewno nie jest dziełem Gomułki (np. śmierć Hollanda, aresztowanie Stanisława Brodzkiego czy Józefa Muszkata-Jotema itd), to jednak autorami są ludzie postawieni na ich stanowiskach przez Gomułkę. To właśnie I Sekretarz KC PZPR powierzył wysokie funkcje Witaszewskiemu, Nowakowi, Strzeleckiemu, Tokarskiemu, Moczarowi i innym „Partyzantom” czy też „Natołińczykom”. Oznacza to logicznie: Gomułka jest świadom tego co robi, tego że przechyla się ku skrzydłu stalinowskiemu partii. Całe jego życie, przeszłość starego komunisty, człowieka aparatu partyjnego, wymogi aktualnej polityki i praktyka wykonywania władzy przeważają nad stanowiskiem człowieka, który tyle przeżył, cierpiał, przemysłował, człowieka odważnego i ludzkiego.

Nie wydaje mi się wykluczone, że Gomułka pewne rzeczy widzi lepiej, więcej wie i ma pełniejszy obraz argumentów „za” i argumentów „przeciw”, zanim podejmuje te czy inne decyzje.

Trudno jednak na to „konto” wątpliwości („in dubio pro reo”) usprawiedliwiać wiele błędnych i niemoralnych decyzji szefa partii (do takich m.in. trzeba zaliczyć ciągłe, świadome choć nieudolne fałszowanie historii

Polski). Podobnie można by powiedzieć jeżeli chodzi o życie gospodarcze zwłaszcza ale także i polityczne. Dlatego też nie formułuję oceny końcowej.

Powyższe rozważania oddaję raczej czytelnikowi pod rozwagę, dla wyciążenia wniosków osobistych i zapoznania się z tym trudnym i ciekawym życiem.

Jerzy MOND

P.S.: — Wszystkim czytelnikom „Kultury” będę wdzięczny za dalsze uwagi krytyczne, zwłaszcza na temat stosunku Gomułki do opinii publicznej i do prasy i intelektualistów w szczególności.

Houston, 24.1.1964 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Niestety p. Mieroszewski, pisząc o „polskiej drugorzędności”, znowu grzeźnie w swoje często powtarzane gmatwaniny na temat stosunków rosyjsko-niemieckich.

Silne Niemcy, „czerwone” nawet, nie mają najmniejszego sensu dla Rosji. Znany jest fakt, że Stalin nie chciał silnych, zjednoczonych Chin, nawet pod rządem komunistów. Czerwona oś Berlin-Pekin byłaby groźną dla Rosji powtórką osi Berlin-Tokio. O wiele pewniejszym rozwiązaniem dla Rosji jest hegemonia nad narodami słowiańskimi, oparta o granicę na Odrze i Nysie i o wspólną amerykańsko-rosyjską pozycję przeciw Chinom.

Ulbricht może mieć swoje mrzonki rewizjonistyczne w sprawie Szczecina i Pomorza, ale nie przypuszczam żeby uzyskał poparcie Rosjan, dla których Niemcy Wschodnie są raczej *zakładnikiem* niż kandydatem na partnera, czy też na „jednoczyciela” całych Niemiec pod rządem komunistycznym.

Z poważaniem.

Iwo C. POGONOWSKI

Montreal, 2 stycznia 1964 r.

Drogi Panie!

Interesująca notatka Londyńczyka „Hegel-Napoleon-Gomułka” w nrze 12/194 „Kultury” nasuwa parę uwag.

Nie sądzę aby twierdzenie „by jedna klasa społeczna przejęła ideologię innej klasy społecznej i zrationalizowała ową ideologię pod kątem swoich wyłącznych interesów” było „historycznie i ideologicznie operacją bez precedensu”. Nie jestem dostatecznie mocny w historii, ale wydaje mi się, że objaw tego rodzaju jest częstym, bodaj „normalnym” procesem mechanizmu zdobywania i legitymowania władzy. Czymś podobnym było identyfikowanie interesów rodzin magnackich z interesami masy szlacheckiej w Rzeczypospolitej XVII i XVIII wieku, wielkiej burżuazji francuskiej z interesami rzemieślników a nawet robotników w pierwszych dziesiątkach XIX w. itd., itd. Warto by może sprawdzić, czy nieufność Marksa do intelektualistów nie opierała się na historycznych doświadczeniach.

Dla poparcia swego twierdzenia Londyńczyk wysuwa metodą *reductio ad absurdum* możliwość, że w Anglii klasa kapitalistów i menedżerów tworzy autorytatywną organizację polityczną pod mianem „Zjednoczonej Brytyjskiej Partii Robotniczej”. Osobiście byłbym mniej kategoriyczny i nie wykluczał, że jeżeli konserwatywny *establishment* nie zmieni skóry, tj. nie zmądrzeje, a Partia Pracy nie przestanie myśleć i działać według XIX-wiecznych recept, podobna partia może powstać naprawdę i Londyńczyk zaawansuje mimowoli na brytyjskiego Wernyhorę.

Przedostatni ustęp notatki nasuwa jeszcze jedno pytanie. O ile mogę sądzić z odległości Oceanu, sfery intelektualne i inteligentne (w tym także starsze pokolenie) w kraju stoją zgodnie na stanowisku, że jedynym modelem odpowiednim dla Polski, nawet w razie uzyskania swobody wyboru, jest ustrój, w którym najwyżej drobne przedsiębiorstwa i usługi, oddane byłyby prywatnej inicjatywie. Te same koła dążą, oczywiście, do usprawnienia gospodarki i podniesienia stopy życiowej mas. Istnieje tutaj oczywista sprzeczność bo ustrój typu prekonizowanego dla Polski jest mniej sprawny tj. znacznie bardziej kosztowny w sensie ekonomicznym i społecznym od oświeconego kapitalizmu współczesnego. Nie ulega chyba wątpliwości, że Rosja byłaby dzisiaj krajem bogatszym i bez porównania szczęśliwszym gdyby nie miała komunizmu, i że nieudolność systemu będzie występować coraz bardziej jaskrawo, w miarę jak kraje „demokracji ludowej” dochodzą do stadium gospodarczej dojrzałości. Jeżeli stosunkowo elastyczny ustrój zachodni szuka z trudem rozwiązań nowych problemów *affluent economy*, to nie widzę najmniejszych widoków aby ustrój oparty na XIX wiecznej dogmatycznej teorii znalazł rozwiązanie zagadnień przed którymi stanie z opóźnieniem dziesiątków lat. Powstają zatem następujące pytania. Czy polska „elita” szczerze wierzy w wyższość ustroju socjalistycznego jako narzędzia podnoszenia stopy życiowej mas w XX wieku? Jeżeli tak, czy pochodzi to: a) z niezajomości współczesnego kapitalizmu na Zachodzie, b) wspomnień anemicznego kapitalizmu krajowego i nagonki na „klusowniczy kapitał zagraniczny” w okresie Dwudziestolecia, c) lub z innych przyczyn? A może inteligencja w kraju wierzy, że tylko ona potrafi uszczęśliwić Naród utrzymując pełnię władzy w rękach rządowej biurokracji? Może dzielenie się władzą czy wpływami z menedżerami gospodarczymi, nie mówiąc o politykach z wolnych wyborów, zupełnie się jej nie uśmiecha? Ostatecznie nawet pokolenie wychowane w szkole Dwudziestolecia posiada niezłe przygotowanie „ideologiczne” w podobnym kierunku a polski „zamordyzm” może się legitymować bogatą galerią antenatów w kontuszach, mundurach i marynarkach.

Mam nadzieję, że Pan Redaktor i Londyńczyk widując bez porównania więcej Polaków z kraju niż podpisany mieszkający w prowincjonalnej Kanadzie, mogliby odpowiedzieć na powyższe pytania.

Z okazji zmiany Roku przesyłam wiele bardzo serdecznych życzeń dla obu Panów i „Kultury”.

Tadeusz SOŁOWIŃ

Chicago, 24 stycznia 1964 r.

Szanowny Panie!

Za ostatnie parę lat na stronach „Kultury” coraz wyraźniej dają się odczuwać tendencje antypolskie i antyludzkie. Szczytem tego był przedruk

fragmentu z „konarmii”, w którym dziennikarz bolszewicki Babel „z ukrytym chichotem oddaje moc na trup polskiego żołnierza, poległego w walce z najazdem hordy bolszewickiej na Polskę. Babel i Zaslawskij należeli do najbardziej cynicznych i plugawych dziennikarzy bolszewickich, pogardzanych nawet przez własnych współziomków. Bolszewik śmierdził zawsze tak samo jak hitlerowiec i nie ma między nimi absolutnie żadnej różnicy. Chyba tylko ta, że to nie hitlerowiec zrodził bolszewika, ale właśnie odwrotnie — to bolszewik zrodził hitlerowca.

Budzi też niesmak płaszczenie się kierownictwa „Kultury” przed władzą „amerykańską” i to do takiego stopnia, że na stronicach „Kultury” można znaleźć przekłady „z języka amerykańskiego”. Nic nie słyszeliśmy tu, w Stanach Zjednoczonych, o istnieniu podobnego języka, mówimy sobie zwykle po angielsku. Jako inżynier pracowałem w Boliwii i Paragwaju. W tych krajach większość ludności rzeczywiście stale używa języków amerykańskich, a mianowicie: Guarani, Quechua i Amara. Z drugiej znowu strony „Kultura” niewolniczo wychwala obrotnego „projdochę” sowieckiego Jewtuszenko i to jeszcze w okresie kryzysu kubańskiego, kiedy to NKWD przywoziło Jewtuszenko do Habany, żeby wystawiał Fidela Castro i pisał wierszyki skierowane przeciw Stanom Zjednoczonym.

Świetny dziennikarz żydowskiego pochodzenia Argus doskonale przejrzał i skrytykował tego sowieckiego franta. Coraz to mniej uczciwych pisarzy zamieszcza swoje artykuły na stronicach „Kultury”. Widocznie coś tam gnije w królestwie duńskim.

I to są powody, że żałuję marnować dolary na takie coś.

Z poważaniem.

Jerzy STOSIUS

Toronto, dnia 23 grudnia 1963 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Uprzejmie proszę o przesłanie mi drugiego egzemplarza książki Abama Terca pt. „Sąd idzie”.

Przeszło trzy lata temu „Sąd” pożyczono ode mnie na dni kilka. Lekomyślnie zdekompletowałem swój zbiór Wydawnictw „Kultury”.

Pragnę tą drogą uprosić pożyczającego, aby wpisał na odwrocie okładki książki poniższą notatkę — dedykację:

— Książka ta przypominać mi zawsze będzie zasadę, którą kierować się winien każdy głoszący patriotyczne frazesy o obowiązkach Polaka w diasporze. Brzmi ona prosto:

— Jeśli chcesz czytać książki wydawane na emigracji po polsku z tak wielkim trudem i wysiłkiem — kupuj je.

— Przyczyni się do rozwoju wolnego polskiego piśmiennictwa.

— W dowolnych zaś ilościach pożyczać możesz sensacyjne „bestsellery”.

Zechce Pan Redaktor przyjąć wyrazy prawdziwego szacunku.

Z. SZPIKOWSKI

Bordeaux, dnia 18 grudnia 1963 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Mam nadzieję, że pozwoli mi Pan wypowiedzieć kilka uwag o artykule p. Mioszewskego pt. „Monachium — Jałta — Atlantyk”.

Prawda o tym, że podział Europy leży w interesie zarówno Rosji jak i Ameryki (str. 66 i 69) oraz prawda, że w interesie Ameryki leży ponadto, by Europa zachodnia była raczej skłócona niż zjednoczona (str. 69), to prawdy nie nowe, ale miło spotkać się z nimi na łamach „Kultury”.

Niestety, p. Mioszewski odbiera tym prawdom ich siłę przekonującą przez to, że nie interesuje się nimi jako takimi, ale wyłącznie dla tego, że opór Rosji i Ameryki przeciw wszelkim zmianom *status quo* zdaje się skazywać na niepowodzenie politykę gen. de Gaulle. P. Mioszewski nie próbuje wysunąć żadnego argumentu w obronie *status quo*, a cały swój wysiłek skierowuje na wykazanie, że nie ma w świecie siły, która by go mogła zmienić (str. 68). Czyżby rzeczywiście *status quo* miał za jedyne uzasadnienie fakt, że dogadza Rosji i Ameryce?

Status quo w Europie, to jak wiadomo podział tego kontynentu między Rosję i Amerykę: połowa Europy jest zjednoczona z Ameryką (rzekomo przeciwko Rosji), a druga połowa z Rosją (rzekomo przeciwko Ameryce). Jakiż sens ma wobec tego faktu twierdzenie p. Mioszewskego, że „Europa może się jednoczyć z Ameryką przeciwko Rosji albo z Rosją przeciwko Ameryce — innego wyboru przed nami nie ma” (str. 69)?

Jeżeli istnieje decyzja Rosji i Ameryki utrzymania *status quo*, to wybór taki musi być dokonany wbrew Rosji i Ameryce. Innymi słowy, zjednoczenie Europy z Ameryką mogłoby nastąpić tylko wbrew woli Ameryki. I tak niewątpliwie jest, po co więc mówić o wyborze? Ani Ameryka ani Rosja żadnego wyboru nam nie pozostawiają. Europa amerykańska nie jest alternatywą Europy rosyjskiej. Europa rosyjska nie jest alternatywą Europy amerykańskiej. Natomiast zjednoczenie Europy bez Rosji i Ameryki jest jedyną alternatywą podziału Europy między Rosję i Amerykę.

Należy jednak zapytać, dlaczego p. Mioszewski zapomina o swoim głównym odkryciu, tj. o solidarności rosyjsko-amerykańskiej w obronie *status quo*, gdy szuka alternatywy do europejskiej polityki niepodległościowej de Gaulle'a? Dlaczego Ameryka miałaby wymuszać na Rosji zmianę *status quo*, który sama uważa za wygodny? A jeżeli z drugiej strony przyjąć, że Europa może uzyskać „formatywny wpływ na politykę Waszyngtonu” (str. 71), a więc skłonić Amerykę, by zrezygnowała z obrony *status quo*, to trzeba też chyba przyjąć, że *istnieją* w świecie siły, zdolne zmienić *status quo*.

I tak też zapewne jest, skoro nawet Rosję można skłonić do zgody na zmianę *status quo* (str. 71). Pod warunkiem, że „problem zjednoczenia Niemiec (zostanie) odcięty od zmyru rewizjonizmu”, Europa może uzyskać „potężne poparcie narodów wschodnio-europejskich” (tamże). Jeżeli zdobycie „zaufania wschodnio-europejczyków” wystarczy, by Niemcom zapewnić „decydującą rolę w przebudowie układu europejskiego” i zmusić Rosję do „ustępstw”, to jeszcze raz staje się oczywiste, że sił mogących zmienić *status quo* nie brak, ale z drugiej strony powstaje pytanie, dla czego Niemcy upierają się przy rewizjonizmie, który je paraliżuje?

P. Mioszewski pytania tego nie stawia. Dlaczego nie korzysta z okazji, by stwierdzić, że Europa musi pozostać podzielona, by mogły pozostać podzielone Niemcy? Jeżeli system rosyjsko-amerykański miał kiedykolwiek inne uzasadnienie, niż przemoc Rosji i Ameryki, to tu można by je znaleźć. Półoficjalnie Rosjanie i Amerykanie chętnie powołują się na to uza-

sadnienie, ale oficjalnie zawsze się obrażają, gdy Niemcy zaczynają powątpiewać w istnienie amerykańskiego rewizjonizmu.

Niemcy sami nie wierzą w realizm polityki zjednoczenia. Każdy Niemiec pragnąłby zjednoczenia, ale żaden Niemiec nie w tym kierunku nie robi. Niektórzy dają nawet do zrozumienia, że się go boją. Jest rzeczą oczywistą, że droga do zjednoczenia Niemiec pozostanie zamknięta dopóki się o nim nie przestanie mówić. Dopiero wtedy bowiem można by zacząć o nim myśleć. Toteż nikt tyle nie mówi o zjednoczeniu Niemiec, co Rosjanie i Amerykanie; obie strony zmuszają „swoich” Niemców, żeby o zjednoczeniu mówili jak najczęściej. Dopóki Rosja i Ameryka pozostaną gwarantami zjednoczenia Niemiec, Niemcy pozostaną podzielone. Ale równocześnie podzieleną pozostanie Europa.

Czy można Europę na wieki przywiązywać do trupa Hitlera? Rosjanie i Amerykanie niczego tak nie pragną jak tego. Europejczycy nie powinni się z tym godzić. Moskwa i Waszyngton żądają od nas, byśmy do zjednoczenia Europy szli przez jednoczenie Niemiec. Ten porządek musimy odwrócić: zjednoczenie Niemiec nie powinno być problemem, dopóki zjednoczona nie będzie Europa. Europę powinni jednoczyć sąsiedzi Niemiec, nigdy Niemcy. Ani tym bardziej protektorzy pół-Niemiec, Rosjanie czy Amerykanie.

Niemiecka schizofrenia polityczna jest odbiciem światowej schizofrenii politycznej. Żadnego problemu politycznego nie można postawić z sensem, dopóki wolno mówić równocześnie i bez zajknięcia, że świat jest podzielony między dwóch „rywali” i że ideałem tych „rywali” jest utrzymanie tej równowagi, tj. dopóki wolno bez ośmieszenia się mówić, że Rosja i Ameryka, to równocześnie wrogowie i sojusznicy.

Wreszcie dostrzegam w obrazie sytuacji światowej, jaki szkicuje p. Mieroszewski, jeszcze jedną lukę. P. Mieroszewski twierdzi, że przeciwnikami *status quo* są tylko Niemcy i Francja (str. 70). Pod sam koniec artykułu przypomni sobie wprawdzie, że *status quo* ma przeciwników także za zewnętrzną kurtyną, ale i wtedy jeszcze zapomni o największym przeciwniku podziału świata między Rosję i Amerykę — Chinach. Może sądzi, że dla Europy Chiny nie mają znaczenia? Europy nie można i nie należy izolować od świata. System rosyjsko-amerykański jest globalny. Atakowany przez Paryż z jednej, a przez Pekin z drugiej strony, musi już dziś bronić się na dwóch frontach. I broni się coraz gorzej. Moskwa i Waszyngton koncentrują się na Europie, bo dzięki Niemcom jest to najsłabszy punkt oporu przeciw ich hegemonii. Tu ich ofiary leżą między nimi. Wyzwolenie przyjdzie od tych, którzy Rosję i Amerykę *otaczają*.

Proszę przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy najgłębszego szacunku.

Jan ULATOWSKI

© Copyright by Institut Littéraire, 1964.

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CH1swick 1860

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE,
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Directeur-gérant: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 1^{er} trimestre 1964

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA: Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	75 cent.	4,20 rand	8,00 rand
ARGENTYNA: Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
AUSTRALIA: « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	10 sh. (A)	£ A. 2.13.00	£ A. 5.00.00
AUSTRIA: Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien III, Salesianergasse Nr. 2 (Internationale Leih-bibliotek, godz. 19-21).		145 szyl. a.	280 szyl. a.
BELGIA: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 116, rue Joseph-III, Bruxelles 4, Nr konta pocztowego 7315.20	60,00 F. b.	300,00 F. b.	560,00 F. b.
BRAZYLIA: Julia Barcinska, rua Maria Angelica 367, ap. 301 (Jardim Botanico), Rio de Janeiro; Seweryn A. Hartman, Av. Ipiranga 1071 - 8º Sala 811, Cx Postal 4530, Sao Paulo, tel. 35-5432			
FRANCJA: do rąbca w redakcji « KULTURY » i w siegarniach polskich w Paryżu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
HOLANDIA: T. Szpilczynski, Ruysdaelkade 5 Amsterdam-Z, tel.: 716080. Nr konta pocz. 13500 — t.b.v.S. 6538	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
IZRAEL: « Sifri-Holon », Stanislaw Wytrzyk, Holon, Sokolow str. 40		15 £ Izr.	28 £ Izr.
KANADA: M. Jaxa-Debicka, 223 Geoffrey Street, Toronto, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., ul. Krakowska, 2318 Hingston Ave. N.D. de G., Montreal/Queb., Tel.: HU 8-5224; H.R. Radomski, 55 Ridge Drive, Toronto 7, Ont. Tel.: 9-0829; M. Krol, 781 Beaverbrook, Winnipeg, Man.; « Zwiakowiec », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tel.: LE 1-2491; W.T. Drymmer, 31 Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tel.: LE 33407	1,50 \$ Can.	8,00 \$ Can.	13,00 \$ Can.
NIEMCY: St. M. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. tel.: 33 34 20, Nr konta pocz. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA: Red Norbert Zaba, Kallskärsgetan 3/IV Stockholm	6,00 Kor.	30,00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A.: Jerzy Bienkowski, 627 Tracy St., Utica, N.Y.; Dobczynski, Alma Shipping Co., 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; L. Dudarew Ossetynski, 1608 No Fuller Ave., Hollywood 46, Cal.; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoya Ave., Hollywood 28, Cal.; M.K. Dziewanowski, 41, Katherine Rd., Watertown 72, Mass.; T. Konopacki, 1242 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 6947 Oregon Ave., La Mesa-San Diego, Cal.; V.B. Kwast, 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; Polish Amer. Book Co., 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; The Polish Book Importing Co., Inc., 156 Fifth Ave., New York 10, N.Y.; R.J. Sas-Babczynski, 600 Imogen Ave., apt. 108, Los Angeles, Cal. 90026; Jan Wojcik, 24 Doris Street, New Britain, Conn.; A. Wisniewski, 1029 Cuba St., Toledo 17, Ohio; Jan Zych, 6428 Morse, Detroit 10, Mich. Tél. TA-5-6740	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA: « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
WŁOCHY: Prosimy o przekazywanie prenumerat czakiem lub przekazem pocztowym	700 L.	3.600 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F. Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Mesnil-la-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.) — C.C.P. PARIS 18.228-86

BIBLIOTEKI "KULTURY"

TOM XCVI

MAREK HŁASKO

WSZYSCY BYLI ODWROCENI

BRUDNE CZYNY

Marek Hłasko, dotąd celujący w „małych formach” okazuje się również świetnym powieściopisarzem.

Str. 356

Cena egz. 16,50 F (dol. 3,50; 24/6)



TOM XCVII

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

KUFER NA PLECACH

Jubileuszowy tom, obejmujący 70 nowych wierszy z okazji 70-ciolecia urodzin zawsze młodego poety

Str. 104

Cena egz. 7,50 F (dol. 1,75; 11/6)



TOM XCVIII

BOGDAN CZAYKOWSKI

SPÓR Z GRANICAMI

Poezje

Str. 64

Cena egz. 6 F (dol. 1,25; 9 sh.)